

K E N
M c C L U R E

KOVADLINA

KLOKAN

Ken McClure

Kryptonim kowadlo

(The Anvil)

Przekład Maciej Pintara

Kiedy umre, najdrozszy,

Nie spiewaj mi smutnych piesni;

Nie sadz nad moja glowa roz

Ani cienistego cyprysu;

Niech rosnie nade mna trawa

Mokra od deszczu i kropel rosy;

I jesli chcesz, pamietaj,

A jesli nie – zapomnij.

Christina Rosetti 1830- 1894

1

Genewa, kwiecień 1988 Jutte Hahn cicho otworzyła drzwi sypialni i popatrzyła na spiacego Seana MacLeana. Uśmiechnęła się i odgarnęła włosy z twarzy. Każdy odgadłby po jej spojrzeniu, że go kocha. Mieszkali razem niemal od roku i wszystkie dni przypominały ten pierwszy. MacLean poruszył się we śnie. Jutte podeszła i przysiadła na brzegu łóżka. Delikatnie przesunęła palcem po nagim ramieniu mężczyzny. Znow się poruszył. Uśmiechnęła się. Dotarła do dłoni i pomyślała, jak bardzo lubi dotyk silnych, opalonych rąk i długich palców, tak potrzebnych chirurgowi.

Na prawej ręce Sean nosił złotą obrączkę ślubną po ojcu. Widniały na niej inicjały JM. Wiedziała, że jest tam również małe godło Szkocji, choć teraz nie mogła go dostrzec w słabym świetle poranka przebijającym przez zaciągnięte zasłony. MacLean szczylił się swoim szkockim pochodzeniem. Współczuła tym pracownikom kliniki, którzy osmielali się sugerować, że jest Anglikiem. Uśmiechnęła się; w gruncie rzeczy MacLean był łagodnym człowiekiem.

Poznali się na nartach, na stokach Zermattu. On spędzał tam weekend, ona uczyła szkolne dzieci podstaw narciarstwa. Zaskoczyła ją jego bezpośredniość. Podeszedł i zapytał wprost, czy pojedzie z nim na drinka, kiedy skończy zajęcia z uczniami. W pierwszej chwili chciała go posłać do diabła, ale spodobała się jej taka otwartość. Zgodziła się. Nie wyglądał na typowego podrywacza. Zachowywał się z chłopiecia niewinnością. Jeszcze nie widziała tak szczerych oczu.

Przypomniała sobie ich pierwszy wieczor. Rownie dobrze mogli byc ostatni. MacLean mowil tylko o swojej pracy. Odnosil sie do niej z wielkim entuzjazmem. Firma, dla ktorej pracowal, wynalazla jakis nowy srodek medyczny, bardzo przydatny w chirurgii. Jutte niewiele z tego rozumiala, ale jednego byla pewna: MacLean naprawde troszczyl sie o pacjentow. Kiedy odwiozl ja do domu, myslala, ze zrobi pierwszy krok. Zamiast tego przeprosil, ze byl taki nudny. Ucalowal czubki jej palcow i zapytal, czy moze liczyc na nastepne spotkanie.

Po dwoch miesiacach postanowili zamieszkać razem. Gdyby MacLean zaproponowal wspolny lot na Ksiezyc, Jutte zgodzilaby sie bez wahania. Zakochala sie po uszy, poza nim nie widziala swiata.

Odgarnela z czola Seana kosmyk ciemnych wlosow. Z calego serca pragnela mu pomoc; przezywala teraz ciezkie chwile. Sprawy nie ukladaly sie dobrze; klinika przerwala eksperymenty z nowym srodkiem, poniewaz zdarzyl sie smiertelny wypadek, i MacLean winil za to siebie.

Delikatnie pogladzila go po twarzy. Przesunela palcami po nieogolonym policzku i za uchem. MacLean poruszył sie, jakby przeszkadzala mu natretna mucha. Jutte cofnela reke. Po chwili znow dotknela jego ucha. Zakryl je dlonia. Powiodla palcem po jego rekach. Wiedziala, ze to lubi.

–Potwor... – mruknal MacLean.

Jutte wybuchnela smiechem. Otworzył oczy.

–Wiesz, ktora godzina? – zapytala.

–Nie – odparl zaspanym glosem. – I nie chce wiedziec.

–Siodma trzydziesci.

–Jest sobota – MacLean odwrocil sie na brzuch i nakryl glowe poduszka. Jutte pomasowala mu plecy.

–Calkiem przyjemnie – stwierdzil. Usmiechnela sie.

–Powinienes byc kotem.

–W nastepnym zyciu.

–Co chcesz na sniadanie?

–Ciebie.

–Zamiast owsianki? – zadrwila Jutte. – Co by na to powiedziala twoja szkocka

babcia?

–Dziadek by zrozumial – mruknal MacLean. Odwrocil sie, chwycil Jutte i przyciagnal do siebie.

Pisnela z udawanym oburzeniem i pocalowala go mocno w usta.

–Czy mowilem ci ostatnio, jak bardzo cie Kocham? – zapytal MacLean.

–Juz dawno tego nie mowiles.

–Wiec mowie teraz.

–Chce to uslyszec – zazadala Jutte.

–Kocham cie.

–W porzadku. – Jutte uwolnila sie z jego objec. – Wiec nie zapomniesz o obietnicy?

–Obietnicy? – mruknal niepewnie MacLean.

–Na weekend wyjezdziemy w gory.

–A tak... – odrzekl w zamysleniu.

–Obiecales – przypomniała Jutte.

–Zgadza sie – przyznal z rezygnacja.

–Wiec wstawaj i wlaz pod prysznic.

–Jutte, nie wydaje mi sie, zeby... Polozyla mu palec na ustach.

–Wyjezdziemy – powiedziala z naciskiem. – Musisz troche odpoczac; oboje musimy. Oderwiesz sie na chwile od klopotow.

MacLean poddal sie.

–Dobrze, jedzmy. – Wstal z lozka.

–Kiedy bedziesz bral prysznic, przywieze z piekarni madame Renaud jej slynnne croissanty.

–Niech cie Bog blogoslawi – ucieszyl sie.

–Moge wziac twoj samochod?

–Oczywiscie. Kluczyki leza przy drzwiach.

–Niedlugo wroce. – Jutte wlozyla jasnoniebieska kurtke, pocalowala MacLeana w policzek i wyszla.

MacLean wszedl do lazienki i zdjal bokserki, ktorych uzywal zamiast pizamy. Przyjrzel sie sobie w lustrze i skrzywil sie na widok rosnacego brzuszka. Za malo cwiczyl. Przy stu osiemdziesieciu centymetrach wzrostu i barczystej sylwetce nie wygladal jeszcze zle, ale nie podobalo mu sie wlasne odbicie. Trzeba bedzie znow pobiegac. Zrezygnowal z tego, gdy sprawy w klinice przyjely zly obrot. W dodatku za duzo pil. Pomagalo mu to, ale czas wziac sie w garosc. Od poniedzialku narzuci sobie ostry rezim.

Wszedl pod prysznic i ustawil temperature wody. Kiedy siegal po mydlo, rozlegl sie huk eksplozji. Budynek zadrzal. Z pokoju dobiegl brzek tluczonego szkla. MacLean owinal sie w pasie recznikiem i wypadl z lazienki. Drzwi balkonowe wylecialy z ramy. Wyjrzel na zewnatrz. Z jego mercedesa zostala dymiaca kupa zlomu. Na ulicy walaly sie poskrecane blachy i plonace opony. W powietrzu unosil sie dym i skrawki papieru. Jeden wolno wyladowal na balkonie. MacLean podniosl go jak w transie. To nie byl papier, lecz strzep jasnoniebieskiego materialu.

Zurych, czerwiec 1988 Lisa Vernay otworzyla oczy, gdy poczula na twarzy promien porannego slonca. Minela szosta. Odwrocila sie na bok i bezwladnie opuscila reke na puste miejsce obok. Kilka miesiecy temu rozplakalaby sie z rozpaczy, ale to juz minelo. Jean Pierre oszedl i pogodzila sie z tym. Przeniosla sie z Genewy do Zurychu i znalazla prace w klinice Klausmana; byla immunologiem. Miala teraz ladne mieszkanie w eleganckim budynku, bialego volkswagena kabrioleta i rosnacy krag przyjaciol.

Wśród nowych znajomych byl Jeff Edelman, amerykanski chirurg, ktory nie kryl zainteresowania Lisa. Lubila go, ale nie spieszyla sie z nawiązaniem blizszych stosunkow. Trzymala go na razie na dystans, dopoki nie zagoja sie stare rany. Poza tym podejrzewala, ze jest o kilka lat mlodszy od niej. Choc moze to bez znaczenia w dzisiejszych czasach...

Jean Pierre okazal sie bardzo hojny w chwili rozstania. Z pewnoscia dlatego, ze czul sie winny, bo Lisa nie potrzebowala niczyjego wsparcia. Powoli dala sobie rade sama. W glebi serca przebaczyła mu i nawet dobrze zyczyla. Ale nie tej malej suce, pielegniarce, dla ktorej ja porzucil.

Lisa wstala z lozka i rozsunela zaslony. Przez chwile rozkoszowala sie cieplem zza szyby, potem wyszla na balkon. Pogoda byla wspaniala. Dziesiec pieter nizej polyskiwala niebieska woda w basenie. W ogrodzie nie zauwazyla zywej duszy. Musiala byc w klinice dopiero o dziewiatej, a pierwsze probki dostarcza do

laboratorium pol godziny pozniej. Miala mnostwo czasu.

Zrzucila nocna koszule i lekkim krokiem podeszla do szafy, gdzie lezaly trzy kostiumy kapielowe. Wysunela gorna szuflade i wybrala niebieski, jednoczesciowy. Od gory do dolu przecinal go na skos jasnieszy wzor podobny do blyskawicy. Wlozyla kostium i poprawila elastyczny material opinajacy jedrne posladki.

Obejrzala sie z zadowoleniem w wysokim lustrze. Mimo trzydziestu pieciu lat wciaz miala plaski brzuch, sterczace piersi i czarne wlosy bez sladu siwizny. Wygladala na kobiete sporo ponizej trzydziestki. Narzucila szlafrok, schowala do sportowej torby recznik i klucze i wsunela stopy w sandaly ze sznurka. Kupila je rok temu w San Raphael. Przy drzwiach nagle zawrocila. Wbieгла do kuchni i wlaczyla elektryczny czajnik. Kiedy wroci, woda na kawe bedzie goraca. Zaoszczędzi kilka minut.

Lisa rzucila szlafrok na jedno z plastikowych krzeselek i wsunela pod nie sandaly. Podeszla do basenu i popatrzyła na wode. Postronny obserwator moglby podejrzewac, ze szykuje sie do skoku, ale mylilby sie. Nigdy nie skakala do basenu. Kiedy miala czternascie lat, sprobowala pojsc w slady starszego brata Paula i zanurkowac w morzu. Spedzali wtedy lato w Bretanii. Skoczyla ze skaly, ale zle ocenila glebokosc i uderzyla glowa w dno. Reszte wakacji przelezala w szpitalu.

Bezwiednie dotknela blizny na czole, podeszla do drabinki i powoli opuscila sie do wody. Poczula zimno i wstrzymala oddech. Kiedy woda siegnela jej do brody, odbila sie i poplynela na plecach. Patrzyla w blekitne niebo i rozkoszowala sie zapachem kwitnacych krzewow. Pokonala jedna dlugosc basenu, przekrecila sie na brzuch i zaczela plynac leniwym kraulem. Z przyjemnoscia prostowala rece i nogi.

W koncu – sie zmeczyla i doplynela zabka do plytkiej czesci basenu. Przez chwile sunela strzalka tuz pod powierzchnia i czula sie jak ryba. Kiedy sie wynurzyla, zobaczyla na brzegu mezczyzne. Byl w kombinezonie roboczym i opieral sie na grabiach.

Lisa stanela na dnie.

–Bonjour – powiedziala i wytarla wode z oczu.

–Bonjour, madame – odrzekl mezczyzna. – Dobrze pani plywa.

–Merci – mruknela chlodno. Nigdy przedtem nie widziala tego ogrodnika i jego uwaga wydala jej sie zbyt poufala. Wspiela sie po drabince i ze zdumieniem stwierdzila, ze obcy zagradza jej droge.

–Moglby sie pan odsunac?

Mezczyzna spojrzal na nia z gory. Usmiechnal sie, ale jego oczy mialy lodowaty

wyraz. Nie odezwał się. I ani drgnął.

Lisa poczuła ucisk w gardle. Płytką część basenu była zupełnie odgradzona od świata gestymi krzewami. Ogarnął ją strach.

–Oszalał pan?! – naskoczyła na niego. – Powiedziałam, żeby się pan odsunął!

Obcy nadal się uśmiechał.

Lisa zamierzała zanurzyć się z powrotem w wodzie, gdy mężczyzna nagle się schylił i chwycił ją pod prawą pachę. Bez trudu wyciągnął kobietę z basenu i wolną ręką zasłonił jej usta. Próbowala krzyczeć, szarpała się i wrywała, ale na próżno. Zaciągnął ją w krzaki, rzucił na plecy i przygwozdził do ziemi. Powoli zabrał rękę z jej ust, ale w jego spojrzeniu wyczytała ostrzeżenie, że lepiej nie krzyczeć.

Była przerażona. Jeszcze nigdy tak się nie bała.

–Mam pieniądze... – wykrztusiła. – Oddam wszystko, co tylko pan zechce, tylko proszę nie robić mi krzywdy. Błagam, niech pan nie robi mi krzywdy!

Na twarz mężczyzny powrócił uśmiech, ale oczy wciąż patrzyły lodowato. Odwrócił się na bok, otoczył ramieniem jej szyję i chwycił za brode. Przez moment nie wiedziała, o co mu chodzi. Potem zrozumiała straszna prawdę.

–O mój Boże! – zdążyła szepnąć. Otworzyła usta do krzyku, ale obcy zacisnął mocniej chwyt i gwałtownie szarpnął. Kark Lisy pękł z trzaskiem jak sucha gałązka.

Zabójca odwrócił zwłoki na plecy. Odszedł i po chwili wrócił z dużym kamieniem. Wziął zamach i roztrzaskał nim czoło ofiary. Śmierć Lisy musiała wyglądać na wypadek. Zadowolony wyciągnął ciało z krzaków i wrzucił do basenu.

Paryż, wrzesień 1988 Kurt Immelman opuścił obwodnicę Peripherique na zjeździe Porte D'Orleans. Włączył się do gestniejącego ruchu na Avenue du General Leclerc i pojechał na północ. Zerknął na zegarek. Miał jeszcze mnóstwo czasu. Profesor Jaffe oczekiwał go dopiero o dziesiątej.

Kiedy zatrzymał porsche na czerwonym świetle, tuż przed maską przeszła oszalamiająca młoda kobieta w obcisłej białej sukience. Zerknęła na niego, a kiedy się uśmiechnęła, odwzajemniła uśmiech. Ludzie mają rację co do Paryża, pomyślał. Więcej tu pięknych dziewczyn z klasą niż gdziekolwiek na świecie. W Genewie nie doczekałby się na uśmiech od nieznajomej.

Kurt mieszkał w Paryżu od siedmiu miesięcy. Podobało mu się tutaj. Miasto miało swój styl. Podniecało go, działało jak narkotyk. Ilekroć stąd wyjeżdżał, zaraz zaczynał tęsknić. Młode kobiety w tym mieście były świadome swojej seksualnej atrakcyjności

i wykorzystywały ją do prowadzenia wyrafinowanej gry z mezczyznami. Usmiechy, ukradkowe spojrzenia, niby przypadkowe musnięcia... Rzucaly otwarte wyzwania. Potem kolacja w kafejce na lewym brzegu rzeki, splecione dłonie na spacerze wzdłuż Sekwany i pocalunki w cieniu Notre Dame. Miłość u niego na Montrouge lub u niej na Montmartre... Ale może jego czas się kończył? W ostatni piątek Kurt obchodził trzydzieste pierwsze urodziny.

Wraz z objęciem stanowiska naczelnego chirurga plastycznego w szpitalu Le Monde zakończył długą praktykę w kilku najlepszych klinikach europejskich, gdzie pracował jako asystent. Był teraz swoim własnym szefem. Miał więcej czasu na inne sprawy. Może warto się ożenić? Inaczej zostanie starym kawalerem. Matka nie omieszkala mu o tym przypomnieć w liście dołączonym do kartki z życzeniami urodzinowymi. Myślał, że matki wytykają brak wnuków tylko niezamezonym córkom. Mylił się, bo był jedynakiem.

Od ukończenia studiów medycznych nie miał wiele czasu na myślenie o małżeństwie. Chirurgia to bardzo wymagająca specjalizacja. Jeśli chce się dojść na szczyt, trzeba się jej poświęcić bez reszty. A Kurt chciał. Podróżował po Europie, żeby pracować z najlepszymi i uczyć się od nich. Teraz to zaczęło procentować. Jego dobra reputacja w środowisku medycznym szybko rosła. Tego ranka zaproszono go w charakterze konsultanta do jednego z najbardziej ekskluzywnych paryskich szpitali.

Pacjentem był syn arabskiego szejka. Doznał ciężkich obrażeń w wypadku samochodowym. Został uwieczony w przewróconym aucie, gdy wybuchł pożar. Miał zniekształconą lewą stronę twarzy i oparzenia drugiego stopnia czterdziestu procent tułowia. Ucierpiał również genitalia. Szejk nie liczył się z kosztami, aby tylko przywrócić chłopcu dawny wygląd.

Kurt zaparkował porsche na tyłach szpitala. Natychmiast ruszył ku niemu strażnik. Zerknął na przednią szybę i warknął.

–Brak przepustki. Odjeżdżamy stąd, panie kierowco.

Kurt spojrzał na niego z niesmakiem. Nie cierpiał takich służbistów.

–Jestem tu na prośbę profesora Jaffe – odrzekł i wysiadł.

Mezczyzna zeszywniał.

–Czy może pan doktor Immelman? – zapytał.

–Zgadza się.

–Pan profesor uprzedzał, że pan przyjedzie. Prosił, żeby udał się pan prosto na

siodme pietro.

Immelman skinal glowa i wszedl do budynku. Zastanawial sie, jak wyglada Jaffe. Nie znalaz go osobiscie.

Szybka winda poruszala sie bezszelestnie. Drzwi rozsunely sie cicho i Immelman wysiadl na siodmym pietrze. Omal nie potkнал sie o skrzynke z narzedziami; przy drugiej windzie majstrowal technik. Kurt zobaczyl w gorze wystajace nogi; mezczyzna pracowal na dachu kabiny. Na trojkatnym metalowym stojaku widniala wywieszka, ze winda jest chwilowo nieczynna.

Kurt odwrocil sie i zaczal szukac drogi do gabinetu profesora. Nie znalazl jego nazwiska na tablicy informacyjnej. Ruszyl wolno korytarzem, w koncu spotkal pielegniarke.

–Przepraszam pania, szukam profesora Jaffe.

–To nie na tym pietrze, monsieur – odrzekla dziewczyna. – Oddzial profesora jest na drugim.

–Na drugim! – wykrzyknal Kurt. Wiec po co ten kretyn na parkingu kazal mu jechac na siodme? Wrocil do wind. Technik pracowal teraz przy tej, ktora tu przyjechal. Stojak z napisem stal miedzy kabinami.

–Czy moze skorzystac z tamtej? – zapytal Kurt, wskazujac druga winde.

Przykuczniety technik nawet nie odwrocil glowy; grzebal w narzedziach.

–Oui – rzucil przez ramie.

Kurt wsiadl i nacisnal dwojke. Byla to jego ostatnia czynnosc w zyciu. Kabina oderwala sie od przeciwwagi i blokow i runela w dol. Kurt zdazyl jeszcze krzyknac, zanim roztrzaskala sie o beton na dnie szybu. Potem zapadla cisza. Nie nastapila eksplozja ani pozar. Gwaltowne uderzenie wbito Kurtowi kosci udowe do zoladka, powodujac najpierw kastracje, a potem rozlegle obrazenia wewnetrzne i niemal natychmiastowa smierc. Kilka pieter wyzej technik spakowal narzedzia, zabral trojkatny stojak i opuscil budynek schodami pozarowymi.

Madryt, listopad 1988 Maks Schaeffer uniosl prawa dlon i stwierdzil, ze drzy. Opuscil ja i oparl na kolanie. Niedobrze, musi sie napic. Od wyjazdu z Genewy nie potrafil sie bez tego obejsc. Poczatkowo traktowano go wyrozumiale, ale ludzie sa tylko ludzmi. Nawet kochajace zony nie wytrzymuja wszystkiego. Janine przeszla razem z nim przez koszmar utraty pracy, ale nie mogla zniesc picia. Odeszla.

Przezyl wstrzas i sprobował sie pozbierac. Rozpoczal kuracje odwykowa. Nie pil

przez trzy miesiące i ludził się, że Janine wróci. Potem przekonał się, że obietnice jej nie wystarcza. Zadała, żeby znalazł pracę. Wtedy zastanowił się nad powrotem.

Naukowiec alkoholik nie ma łatwego zadania, gdy szuka zatrudnienia. Pracodawcy współczuli Maksowi; pamiętali jego wcześniejsze sukcesy i błyskotliwą karierę chemika. Ale w grę wchodziły duże pieniądze na badania i woleli nie ryzykować. W końcu nadeszła oferta pracy w Hiszpanii.

Hiszpańscy naukowcy wciąż próbowali dogonić zachodnią Europę; nadrabiali zaległości po długim okresie stagnacji za rządów Franco. Duża firma chemiczna miała ambicje utworzenia własnego oddziału farmaceutycznego, który mógłby dorównać szwajcarskim gigantom. W zatrudnieniu Maksowi widziała szansę pojęcia na skróty. Zapewniono mu wysoki budżet, doskonale wyposażone laboratorium i czteroosobowy personel. Rozpoczął szeroko zakrojone badania w dziedzinie kardiologii. Pigulki na serce to dobry interes.

Janine wróciła i przenieśli się do Madrytu. Zaczeli nowe życie. Mieli piękny apartament, polubili to miasto i jego atmosferę. Wieczorami przesiadywali w barach serwujących tapas, późno jadal kolacje, a w niedziele spacerowali po Parque Retiro. Byli szczęśliwi. Ale sielanka nie trwała długo. Szefowie Maksowi niecierpliwili się i zadali wyników. Nie potrafił ich przekonać, że badania wymagają czasu. Miał do czynienia z księgowymi, nie z naukowcami.

Złzył pod ciągłą presją. Pracował od świtu do nocy. Janine rzadko go widywała i robiła mu wyrzuty. Znowu zaczął zaglądać do butelki. Janine odeszła po raz drugi. Lada chwila personel przestanie go kryć. Badania zostaną przerwane i spisane na straty. Księgowi po prostu odliczą koszty zarzuconego projektu od podatku.

Nalał sobie solidną porcję dzinu i wypił jednym haustem. Rece przestały drzeć, poczuł się lepiej. Musi jakos przetrwać kolejny dzień.

Maks wyszedł z domu. Nad Castellana unosiła się chmura spalin. Wyżej wisiało zamglone słońce. Czuł na sobie ciepłe promienie, ale tego ranka nad miastem wystąpiła inwersja temperatury. Wiedział, że słońce wyloni się dopiero wtedy, gdy rozwieją się opary. Skrecił za róg i stanął jak wryty. Samochód zniknął. Nerwowo potarł czoło. Zastanawiał się, ile czasu i zachodu zajmie mu zgłoszenie kradzieży na policję. Przypomnił sobie, że kilka dni temu oddał auto do warsztatu. Uśmiechnął się; ale z niego głupiec. Przestał się uśmiechać, kiedy zdał sobie sprawę, że to alkohol przytępia mu pamięć. Wrócił na Castellane i złapał taksówkę.

Dzień mijał bez kłopotów, dopóki asystent Maksowi nie przyniósł wyników ostatniej serii eksperymentów. Wszystkie były negatywne. Maks cisnął papiery na biurko.

–Jasna cholera! Zaden sie nie nadaje? Ani jeden z... ilu?

–Ze stu jedenastu, senior – odrzekł doktorant. Maks powtórzył liczbę i znow zaklął.

–Może podstawowe założenie jest błędne? – podsunął ostrożnie Juan Delgado.

Maks odwrócił się gwałtownie:

–Jak śmiesz?! – wybuchnął – Nie ma żadnego błędu! Problem w tym, że muszę pracować z durkami, którzy nie znają się na swojej robocie!

Przez moment wydawało się, że Delgado zamierza się odgryźć, ale wyszedł bez słowa. Maksowi przeszła złość i poczuł wyrzuty sumienia. Trzasnął dłonią w czoło.

–Co się dzieje?! – westchnął. – Co się dzieje, do diabła?! – Przebadali sto jedenastu związków chemicznych i żaden nie okazał się przydatny. Ostatnia szansa przepadła. Gdyby choć jeden rokował nadzieję, księgowi daby mu chwilowo spokój. Teraz jego los był przesadzony. Maks włożył marynarkę i poszedł się napić. Wrócił o czwartej po południu i znalazł na biurku wiadomość. Miał się natychmiast stawiać u dyrektora do spraw badań.

Spotkanie trwało krótko i nie było przyjemne. Maks spodziewał się tego. Zabrał swoje rzeczy z gabinetu i opuścił budynek firmy. Postanowił wrócić do domu pieszo. Miał do przejścia pięć kilometrów, ale chciał spokojnie pomyśleć, co dalej. Żeby chociaż Janine była teraz przy nim, życie miałoby jeszcze jakiś sens. Z jej pomocą wybrnąłby z kłopotów. Musi spróbować ją odzyskać. Rano pojedzie do biura podróży i kupi bilet lotniczy do Genewy. Porozmawia z nią. Razem na pewno coś wymyśli. Spojrzał na zegarek. Zdążyłby załatwić rezerwację na samolot jeszcze dziś, gdyby się pośpieszył i miał samochód. Naprawione auto stało przed domem.

Maks zaklął, zatrzymując się na drugim czerwonym świetle z rzędu. Gdy tylko zapaliło się zielone, wystartował z piskiem opon. Na następnym skrzyżowaniu światła zaczęły się zmieniać i za chwilę znow musiałby stanąć. Zawahał się na sekundę i wcisnął gaz do podłogi. Przeciał skrzyżowanie, skręcił ostro na południe i wypadł na Serrano, szeroka aleja prowadząca do centrum Madrytu. Zjechał na zewnętrzny pas, przyspieszył do osiemdziesięciu i pomknął w dół. Kolejne czerwone światło! Zaklął i nacisnął hamulec. Samochód nie zwolnił.

–Chryste! – wrzasnął Maks, gwałtownie pompując pedałem. Bez skutku. Szarpnął ręczny hamulec i usłyszał trzask pekającej linki. Oparł rękę na klaksonie, ale nikt nie zamierzał usunąć się z drogi. W Madrycie każdy trąbi, taki tu zwyczaj. Zdążył jeszcze krzyknąć, zanim uderzył w cysterne z benzyną, która wyjechała z poprzecznej ulicy. Splonął w ciągu kilku sekund.

Edynburg, Szkocja, luty 1991 MacLean stanął przy parkanie i odwrócił się plecami do wiatru. Popatrzył na szary, wiktoriański budynek i poczuł nostalgię. Ile to lat? Zaczął obliczać. Ma teraz trzydzieści siedem, zatem musiały minąć trzydzieści dwa. Po raz pierwszy wszedł do tej szkoły w towarzystwie matki. Był wtedy schludnym pięciolatkiem o jasnym spojrzeniu. Gmach wcale się nie zmienił. Może ściany trochę pociemniały, a może tylko dzień jest pochmurny.

Mijały minuty, ale nie zwracał na to uwagi. Stał bez ruchu zatopiony we wspomnieniach. Pamiętał uśmiechnięte twarze rówieśników i ich charakterystyczne cechy, ale żadnego nazwiska.

Jego życie od tak dawna było koszmarem, że niemal przestał dostrzegać różnice między realnym i nierealnym światem. Wydawało mu się teraz, że tamte dzieci sprzed trzydziestu dwóch lat wciąż siedzą w klasie. Na szczęście wiedział, że to jedynie skutek stresu. Ludzie żyjący w wielkim napięciu często wierzą w coś tylko dlatego, że bardzo chcą, by okazało się prawdą. Podświadomie szukają ucieczki od rzeczywistości, której nie mogą znieść.

Wbrew tym racjonalnym rozważaniom, MacLean wszedł przez brame i przeciał boisko. Wszedł na schody i pchnął drzwi z napisem "Chłopcy". Wszystko wyglądało jak kiedyś. Zobaczył kafelki na ścianach, zieloną farbę i poczuł zapach lizolu. W rogu stało wiadro i szczotka na kiju.

Ruszył przed siebie korytarzem. W głębi usłyszał dźwięki pianina i młode głosy. Doszedł do uchylonych drzwi z mosiężnymi uchwytyami. Za nimi znajdowała się aula. Niepewnie dotknął uchwyty. Pamiętał je.

Dzieci zaczęły śpiewać. MacLean zamknął oczy. Znal słowa tej piosenki. "Wśród mroźnej zimy wieje wiatr, ziemia twardnieje jak żelazo, a woda niczym lód...".

MacLean popatrzył na rzędy twarzy i w zamysleniu dotknął czoła. Nagle zdał sobie sprawę, że szuka znajomych. Przelknął z trudem i otrząsnął się.

Śpiew ucichł. Otyła kobieta po pięćdziesiątce zagrała teraz marsz. Odchyliła głowę do tyłu, by widzieć nuty przez dolne połowki dwuogniskowych okularów. Wydatny biust zafalował, gdy z werwą uderzyła w klawisze.

Dzieci ustawiły się parami i wyszły z auli tylnymi drzwiami. Kiedy muzyka zamilkła, MacLean wślizgnął się do środka i spojrzał na wysoki sufit. Znowu poczuł się bardzo mały. Nagle pianistka wróciła do auli i zobaczyła go.

–Może w czymś pomóc? – zapytała. Z tonu jej głosu wynikało, że chce wiedzieć, co tu robi obcy mężczyzna. Przycisnęła nuty do piersi i pewnym krokiem podeszła bliżej.

MacLean nie zareagował. Nie był usposobiony towarzysko.

–Słyszał pan, co mówiłam? – odezwała się niecierpliwie kobieta. Nie wyglądała na zaniepokojoną faktem, że ma przed sobą barczystego, wysokiego intruza.

MacLean spojrzał na nią z góry.

–Chciałem tylko ostatni raz rzucić okiem... – zaczął cicho.

–Na co? – parsknęła pianistka.

MacLean popatrzył w przestrzeń nad jej głową.

–Na moje życie.

Kobieta zaniemówiła. MacLean odwrócił się i wyszedł bez słowa. Opuszczał szkołę, nie oglądając się za siebie. Na szczycie wzgórza przystanął i postawił kolnierz. Potem poszedł dalej. Musiał schylać głowę pod naporem wiatru.

Zatrzymał się przy mostku nad kanałem. Union Canal! To miejsce odgrywało ważną rolę w jego dzieciństwie. Kiedyś uważał je za najbardziej ekscytujące na ziemi. Letnie dni wydawały się wtedy dłuższe, cieplejsze i szczęśliwsze niż kiedykolwiek później. Mimo mrozu niemal czuł teraz na plecach słońce, a pod kolanami trawę. Jak przed laty, gdy klekał na brzegu, by przyjrzec się ciemnej wodzie.

Opuszczył chodnik i zszedł stromym, błotnistym zboczem na ścieżkę biegnącą wzdłuż kanału. Głina zamarzała na beton. Woda skuliła się w lod, a na jego powierzchni leżała cienka warstwa śniegu.

MacLean ruszył na zachód, ale nagle przypomniał sobie o drzewie. Rosło po drugiej stronie mostka. Hustali się tam z kolegami na linie. Zawrócił i przeszedł pod mostkiem, żeby go poszukać. Było na swoim miejscu. W lutym wyglądało jak ciemny, nagi szkielet na tle ołowianego nieba. Ale wiosną znowu się zazieleni. W cieniu gestych liści schroni się następne pokolenie dziesięcioletnich poszukiwaczy przygod.

Poszedł dalej. Kilometr od mostka zobaczył boisko swojej starej szkoły średniej. Na kortach brakowało siatek, a w glebi stał opuszczony, zamknięty pawilon. Wiatr przyniósł zapach mokrej ziemi i wspomnienia o meczach rugby. MacLean pamiętał parujące plecy walczących napastników. Czekal niecierpliwie z tyłu, aż piłka wyrzucona z młyna poszybuję lukiem w jego kierunku. Czuł przypływ adrenaliny, gdy pedził naprzód wraz z partnerami; ulgę, kiedy udało mu się podać piłkę na skrzydło, zanim dopadł go przeciwnik; ból upadku, jeśli był za wolny lub tamci zbyt szybcy; won mokrej ziemi tuż przy twarzy; obce ręce i stopy wgniatające go w boisko.

Szedł przed siebie. Na zamrożonym kanale wały się kamienie. Z pewnością dzieci badały wytrzymałość lodu. Chciał ją sam sprawdzić. Stał jedną nogą na brzegu, druga na lodowej tafli i ostrożnie przeniósł na nią ciężar ciała. Wążył osiemdziesiąt dwa kilogramy. Gdy sześćdziesiąt trzy z nich spoczęły na lodzie, rozległ się ostrzegawczy trzask i wokół pojawiły się rysy. Znalazł odpowiedź. Wroczył na ścieżkę.

Kanal oddalał się od głównej drogi i prowadził zakolami w głąb wiejskiego pustkowia. Strome brzegi stawały się coraz wyższe. Dawały lepszą osłonę przed wiatrem. MacLean doszedł ścieżką do drewnianej ławki pod żywopłotem i usiadł. U jego stop wylądował zaciekawiony drożdź. Czerwony brzusek ptaka odcinał się ostro na tle oszronionej trawy. MacLean wyciągnął rękę, ale drożdź był nieufny.

MacLean usiłował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni dotarł aż tutaj. Chyba w wieku trzynastu lat, podczas letnich wakacji... Tak. Towarzyszył mu kolega imieniem... Miał je na końcu języka... Eddie! Eddie Ferguson. Przyplynieł przez trzciny kajakiem brata Eddiego. Nie pozwolił im go używać, ale wyjechał na oboz harcerski. Wyprawa wydawała się wtedy tak podniecająca, jak ekspedycja do źródeł Nilu. MacLean pamiętał odgłos włókna szklanego ocierającego się o trzciny.

Z zamyslenia wyrwał go zdenerwowany kobiecy głos.

–Carol! Nie wchodź tam! Wracaj!

MacLean usłyszał w tych słowach wyraźny strach. Wstał z ławki i wyszedł zza zakretu ścieżki. Szescio – lub siedmioletnia dziewczynka w gumowcach i czerwonej pelerynce wchodziła właśnie na lód. Biegnąca za nią matka zatrzymała się na brzegu. Z trudem panowała nad sobą.

–Carol! Posłuchaj! Masz natychmiast wracać! Dziecko odwróciło się z uśmiechem.

–Patrz, mamusiu. Stoje na wodzie.

MacLean był w odległości trzydziestu metrów. Stał bez ruchu i nie odzywał się.

–Chodź do mnie, Carol – ciągnęła kobieta. Usiłowała zachować spokój, ale z marnym skutkiem. MacLean niemal czuł jej przerażenie.

Dziewczynka nagle zdała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Przestała się uśmiechać i z zaniepokojoną miną zawróciła. Zrobiła dwa kroki, gdy rozległ się trzask pekającego lodu. Wokół niej pojawiły się promieniste rysy. Stanela.

–Chodź, Carol – ponagliła matka.

Dziecko zrobiło trzeci krok i lód się zarwał. Mała postać natychmiast zniknęła pod wodą. Kobieta krzyknęła przeraźliwie. MacLean rzucił się do przodu. Czarna dziura

przypominala rozwartą paszcze rekina, który polknął swoją ofiarę.

–Niech pan coś zrobi! – wrzasnęła histerycznie matka. – Na łaskę boską, niech pan ją ratuje!

Dziecko nie wypłynęło. Kobieta chwyciła MacLeana za klapy i zaczęła szarpac. Uwolnił się od niej i rozejrzał w poszukiwaniu galezi. Nic nie znalazł. W jego oczach odbiła się bezradność. Matka to dostrzegła.

–O Boże, błagam! Boże, nie!

MacLean nie mógł znieść jej rozpaczki i własnej bezczynności. Skoczył ciężko na lód tuż przy brzegu. Wiedział, że pół metra od brzegu jest mielizna. Dotarł tam i zrzucił płaszcz. Od zimnej wody zdrewniały mu nogi, ale brnął przed siebie. Kruszył lód kopnięciami najpierw prawej, potem lewej stopy. Szło mu całkiem dobrze, doskonale utrzymywał równowagę. Francuski obserwator wziąłby go za boksera walczącego w stylu la savate.

–Szybciej! – ponagliła kobieta.

MacLean doszedł do drugiej mielizny i zanurzył się na metr. Nie mógł już używać nog. Nie zważając na konsekwencje, zaczął walić w lód pięściami. Tafla pękała, ale poranione ręce krwawiły. Ignorował ból, dopóki nie wyrabiał sobie przejścia. Obejrzał się szybko na kobietę i zanurkował w ciemnej toni pod lodem.

Kobieta na brzegu poczuła się nagle straszliwie samotna. Jej dziecko i obcy mężczyzna zniknęli, jakby w ogóle nie istnieli. Nic się nie poruszało, nawet wiatr ustał. Widziała tylko pokruszony lód i czarna woda.

MacLean wynurzył się. Trzymał na rękach małą postać w czerwonej pelerynce. Nie mógł mówić; zimno całkowicie go sparaliżowało. Potykając się, dobrnął do brzegu. Oddał dziecko matce i osunął się na ziemię. Woda na nim zaczęła zamarzać.

Kobieta wciąż była w panice. Ułożyła nieruchomą córeczkę na ziemi i próbowała wypompować jej wodę z płuc.

–Nie! – wychrypiał MacLean. – Potrzebuje powietrza... Najpierw oddychanie, potem woda...

Matka spojrzała na niego, szukając otuchy.

–Niech pani to zrobi! – rozkazał. Chciał wstać, żeby zająć się dzieckiem, ale nie miał siły. Kobieta zaczęła sztuczne oddychanie usta – usta.

–Dobrze... – pochwalił MacLean. – Niech pani nie przestaje.

Sople na twarzy kluly go w powieki i uszy. Przetarł oczy wierzchem dłoni, ale zaczęły piec. Zaklął i podpełzł do matki i dziecka. Dziewczynka zakaszlała i zakrzuszyła się.

–Zyje! – wykrzyknęła uradowana kobieta. – Ona zyje!

–Teraz woda! – wychrypiał MacLean.

–Woda?

–Trzeba usunąć jej wodę z płuc! – przypomniał ze złością MacLean. Każda sylaba sprawiała mu ból. Był wściekły, że musi się powtarzać.

Matka przysunęła córeczkę bliżej. Przekreśliła jej głowę na bok i zaczęła pompowanie. Kaszel i płucie dziecka były teraz dla niej najpiękniejszymi dźwiękami na świecie.

Dziewczynka usiadła. Kobieta odwróciła się do MacLeana.

–Nic się panu nie stało? Pokreślił głową.

–Mieszkamy tuż obok. Dojdzie pan? Przytaknął.

Cała trojka ruszyła w górę błotnistej ścieżki. Doszli do białego parterowego domku. Oslaniały go częściowo sosny i rododendrony. Kobieta wniosła dziecko do środka. Kiedy MacLean przestąpił próg, uderzenie ciepłego powietrza zrobiło swoje – stracił przytomność i osunął się na podłogę.

Ocknął się w łóżku. Rozejrzał się powoli. Leżał w małej sypialni. Ściany pokrywały różowe tapety w kwiaty. Kiedy ostatnio takie widział? To inny świat. Hotele, motele i wynajęte mieszkania zawsze mają atmosferę anonimowości, jak biurowce. Na gołych ramionach czuł dotyk czystej pościeli. Zająrzył pod koldre; był nagi. Wyprostował nogi i trafił stopami na coś ciepłego. Rozpoznał butelkę z gorącą wodą. Uśmiechnął się i poczuł ból w mięśniach policzków. Tyle lat...

–O Boże... – mruknął. – Jestem w środku lasu, w domku z piernika.

Na ścianie pojawiły się ruchome cienie. Spojrzył w okno. Zaczął padać śnieg. Wielkie płatki cicho szybowyły w dół. Zobaczył, że ma obandażowane dłonie. Przestraszył się odmrożen i kolejno poruszył palcami rąk i nóg. Z ulgą stwierdził, że wszystko w porządku. Nogi nie boleły, dokuczaly mu tylko poranione dłonie.

To ta kobieta je opatrzyła. MacLean przyjrzał się z uznaniem białej gazie. Dobra robota. Zakaszlał, żeby zwrócić na siebie uwagę. Udało się. Do pokoju weszła matka dziewczynki.

–Jak sie pan czuje? – zapytala przyjaznie.

–Dobrze. Chcialbym przeprosic...

Kobieta rozesmiala sie z wdziekiem. Jeszcze nie slyszal tak pieknego smiechu.

–Za co? – zdziwila sie. – Uratowal pan zycie mojej coreczce. MacLean nie wiedzial, co powiedziec. Odwrocil wzrok. Kobieta zerknela za siebie.

–Mozesz wejsc. – Domyslil sie, ze mowi do dziecka.

Do sypialni weszla dziewczynka. Patrzyla pod nogi i ssala kciuk. Zerknela na MacLeana, potem szybko spuscila oczy.

–Powiedz to – zachecila szeptem matka.

Dziecko usmiechnelo sie niesmialo.

–Zrobilam bardzo glupia rzecz. Bardzo przepraszam i bardzo panu dziekuje. – Mala odwrocila sie do matki i przywarla do jej spodnicy.

–Ciesz sie, ze nic ci sie nie stalo, Carol – odparl MacLean.

–Carrie! – poprawila go dziewczynka. – Jestem Carrie!

–Carol tylko wtedy, kiedy sie gniewam – wyjasnila kobieta. – Nazywam sie Tansy Nielsen.

–Sean MacLean.

–Milo mi, ze pana poznalam – odrzekla Tansy. Oboje zauwazyli, ze zabrzmialo to nedorzecznie i wybuchneli smiechem.

–Ma pan ochote na goraca kapiel? – spytala Tansy. – Przez ten czas wyschnie panu ubranie.

–Brzmi zachecajaco – przyznal MacLean.

Tansy wyszla, zeby napuscic wode do wanny. Po powrocie zdjela mu z rak opatrunki. Skrzywila sie.

–To musi strasznie boleć.

MacLean popatrzył na pokaleczone kostki dłoni.

–Nic sobie nie złamałem. Za kilka dni nie będzie śladu.

–Panie MacLean... – zaczęła Tansy i urwała. Chciała mu wyrazić swoją wielką wdzięczność, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. – Kąpiel gotowa – dokonała po prostu.

Lazienka była wyłożona puszystą wykładziną. Wszędzie wały się zabawki Carrie. Do wanny wpadła żółta plastikowa kaczka i kołysała się na wodzie. MacLean nie wyjął jej. Spojrzył w okno. Śnieg ciągle padał i olowiane niebo nie wrożyło poprawy pogody. Tansy nastawiła w pokoju radio, a może magnetofon. Usłyszał dźwięki "Dla Elizy". Wyciągnął się wygodnie i zamknął oczy. Kiedy muzyka zamilknie, pomyśli o powrocie do swojego świata. Na razie był równie obojętny na wszystko jak jego plastikowa towarzyszka kąpieli.

Z letargu wyrwał go dzwonek do drzwi wejściowych. MacLean przeklął siebie za to, że aż tak się odprezył. Kto to może być? Kogo wezwwała ta kobieta? Na pewno policję! Usiadł prosto, zastanawiając się gorączkowo nad swoją sytuacją. Pistolet! O to chodzi! Kobieta musiała znaleźć broń w kieszeni płaszcza, kiedy go rozbierała!

Jedyna droga ucieczki wiodła przez okno, ale przypomniał sobie, że nie ma ubrania. Dopiero schnie. Znalazł się w pułapce. Lada chwila do łazienki wtargną ludzie w mundurach i zaarrestują go. Nic nie mógł zrobić. Zamarł i nasłuchiwał. Drzwi wejściowe otworzyły się. Odezwał się głęboki, niski głos, ale MacLean nie rozróżniał słów. Drzwi zamknęły się i usłyszał Tansy Nielsen.

–Carrie! Przyszedł doktor Miller. Chodź tutaj.

MacLean rozważał, czy to nie podstęp. Ostatnie dwa lata nauczyły go, by nikomu nie ufać. Nie wierzył, że to lekarz domowy, dopóki nie odezwiała się Carrie. Matka nie zdążyłaby przygotować dziewczynki do takiej gry. Odetchnął z ulgą. Woda wystygła, ale z powrotem wyciągnął się w wannie. Pomylił się co do Tansy Nielsen, choć z pewnością wiedziała o broni.

Lekarz nie zabawiał długo.

–Zostawiam pańskie ubranie pod drzwiami, panie MacLean – zawołała Tansy.

–Dziękuję – odpowiedział MacLean. Wyszedł z wanny i wytarł się. Potem nerwowo przeszukał kieszenie ubrania. Jego obawy potwierdziły się, pistolet zniknął. Może zgubił go w kanale, kiedy zanurkował pod lodem? Wątpił w to. Raczej zabrała go Tansy. Mogł to sprawdzić tylko w jeden sposób.

Tansy uśmiechnęła się, gdy wszedł do pokoju.

–Teraz lepiej?

–O niebo – odrzekł.

–Był tu nasz lekarz, żeby zbadać Carrie. Pewnie pan słyszał? – Tak.

–Chciałam go poprosić, żeby zerknął również na pana, ale rozmyśliłam się. MacLean wyczytał z jej oczu, że znalazła bron.

–Słusznie. Nic mi nie jest.

–Zje pan z nami kolację? MacLean pokręcił głową.

–Nie, dziękuję. Lepiej już pójdę. – Dokąd?

Bezpośredniość pytania zaskoczyła go. Nie był na nie przygotowany.

–Nie wiem – wyznał. Carrie rozstrzygnęła sprawę.

–Niech pan zostanie. Naprawi pan moją kolejkę. MacLean uśmiechnął się do niej.

–Zobacz, co da się zrobić. – Spojrzał na Tansy. – Dziękuję za zaproszenie. Chętnie skorzystam.

Tansy zniknęła w kuchni, a Carrie poszła po zepsuta kolejkę. MacLean poczuł się niepewnie. Sytuacja wydała mu się nierealna. W domku było ciepło i przytulnie. Otaczała go rodzinna atmosfera. Już dawno zapomniał, że można tak żyć. Drażniło go, że los mu o tym przypominał. Wyrzwał w szarość za oknem. Należał do tamtego świata, ponurego i wrogiego.

Miał zamiar wymknąć się ukradkiem, gdy wróciła Carrie.

–Odpadło kolko – wyjaśniła, pokazując drewnianą lokomotywę i oderwaną część.

–Rozumiem – powiedział MacLean. Wziął zabawkę i usiadł. Zauważył, że brakuje zatyczki mocującej kolko na piasku. Rozejrzał się. Przy kominku stało pudełko z różnymi drobiazgami. Zobaczył kilka spinaczy do papieru. Włożył kolko na miejsce i wetknął jeden spinacz do otworka w osce. Kilka razy wygiął cienki drut i ułamał zbędny kawałek.

Wreczył Carrie lokomotywę.

–Gotowe. Jak nowa.

Dziewczynka wypróbowała zabawkę na dywanie. Była zadowolona. Uśmiechnęła się i podziękowała.

MacLean pochylił się, obserwując swoje dzieło.

–Proszę bardzo.

Carrie zatrzymała pociąg i podniosła głowę.

–Lubie pana. Nie powiedział pan, że dziewczynki nie bawia się kolejkami.

Carrie pozbyła się resztek niesmialości i szczebiotała przez cały posiłek. MacLean był jej za to wdzięczny, bo nie musiał prowadzić towarzyskiej konwersacji. Od czasu do czasu wymieniał tylko uśmiechy z jej matką. Ciągle pamiętał, że nie pasuje do tego szczęśliwego miejsca, pełnego ciepła i serdeczności. Obiecał sobie, że nie ulegnie nastrojowi chwili i niedługo stąd zniknie. Mimo mocnego postanowienia, że nic go nie będzie obchodziło, dostrzegł duże podobieństwo córki do matki. Miały takie same kasztanowe włosy, szerokie usta skóre do uśmiechu i piękne, ciemne oczy. Zastanawiał się, gdzie jest ojciec Carrie. Był na siebie zły, że go to interesuje. Nieważne, nie jego sprawa. Nic już nie miało dla niego znaczenia.

Tansy pozbierała zabawki i odprowadziła Carrie do łóżka. MacLean został sam. Siedział przy kominku, patrzył w ogień i słuchał cichych pożegnań przed snem. Rozległ się ostatni chichot dziewczynki, potem upomnienie matki i po chwili Tansy wróciła. Bez pytania nalala dwa kieliszki brandy, podała jeden MacLeanowi i usiadła naprzeciwko. MacLean znowu poczuł się niepewnie. Dotychczas Tansy była tylko matka Carrie. Teraz miał przed sobą piękną kobietę, która taksowała go wzrokiem. Zamierzał zbyć wszelkie pytania byle czym.

–No więc, panie MacLean...? – odezwała się cicho Tansy. – Kiedy i jak chce pan to zrobić?

–Co? – MacLean udął, że nie rozumie, ale poczuł ukłucie w sercu. Ta kobieta wie!

–Zabij się – odrzekła Tansy, nie spuszczając go z oka. Chciał zaprzeczyć, ale zrezygnował.

–Niedługo. Skąd pani wie?

–Poznałam po pańskich oczach. Zobaczyłam to na brzegu kanału. Widziałam takie spojrzenie u mojego meza, ojca Carrie. Popelnił samobójstwo.

–Przykro mi – powiedział MacLean.

Tansy uśmiechnęła się smutno.

–Mnie też. Keith był wspaniałym człowiekiem, ale nie chciał dalej żyć. Nasz syn zmarł na białaczkę w wieku siedmiu lat. Ojciec nie widział poza nim świata, strzegł go jak zrenicy oka. Stanowili nierozłączną parę. Keith wiązał z Paulą wszystkie plany na przyszłość i nagle skończyło się. Wraz ze śmiercią Paula umarła jakas część Keitha. Zmienił się. Ja się otrząsnęłam, ale on nie potrafił. Interesy zaczęły iść źle, a on coraz bardziej oddalał się ode mnie. Jakbym stała na brzegu morza, a on odpływał

lodka. W koncu odszedl na zawsze, zanim zdazyłam zdac sobie sprawe...

–Ze nie macha do pani, tylko tonie?

Tansy przytaknela.

–Tuz przed smiercia mial w oczach taki sam wyraz jak pan. Oficjalnie zatrul sie spalinami przy naprawie samochodu, ale ja znalazam prawde. Tamtego ranka wszedl do kuchni po sniadaniu i pocalowal mnie w policzek. Popatrzytl na mnie z takim smutkiem, ze wstrzymalam oddech. Nic z tego nie rozumialam.

Powiedzialam cos glupiego... ze kupie na lunch jakies przysmaki. Odparl, ze byloby miło. Kiedy wrocilysmy z Carrie z zakupow, lezal martwy w garazu. Upozorowal wypadek, zebysmy dostaly pieniadze z ubezpieczenia.

–Przykro mi – powtorzyl MacLean. Nie wiedzial, co powiedziec.

Tansy popatrzyta w ogien.

–Przezywalam jego ostatni pocalunek milion razy. Powinnam byla zrozumiec. Powinnam byla sie domyslic, co zamierza. Od miesiecy wszystko na to wskazywalo, a jednak nie potrafilam dostrzec, na co sie zanosi.

–Nie moze sie pani winic – powiedzial MacLean. – Jesli sie zdecydowal na ten krok, zrobilby to tak czy inaczej. Nie tamtego dnia, to innego.

Tansy spojrzala mu prosto w oczy. Poczul niepokoj. – Ale pan jeszcze zyje, panie MacLean. Jestem dla pana obca. Moze sie pan przede mna wygadac. Pokrecil glowa.

–Nie. Mam dosc gadania, uciekania i ukrywania sie. Mam dosc wszystkiego. Musze isc. – Wstal.

–Niech pan siada, panie MacLean – rozkazala cicho Tansy. Jej glos zabrzmial tak, ze usluchal. Wolno osunal sie na fotel.

–Od kiedy pan ucieka?

–Od trzech lat – wyznal z rezygnacja. Nie mial sily bronic sie przed nia. Byl wyczerpany i zniewalalo go cieplo bijace od kominka.

–Niech pan opowiada.

3

MacLean polozyl glowe na oparciu fotela i na chwile zamknal oczy.

–To długa historia – uprzedził.

–Nie ma pośpiechu – zapewniła Tansy. – Niech pan zacznie od początku.

–Jestem lekarzem.

Tansy popatrzyła na niego pytająco.

–Nosi pan bron, rozwala lod gołymi rekami i jest lekarzem?

MacLeana zdziwiła jej reakcja, ale po namyśle przyznał:

–Może ma pani racje. Byłem nim kiedyś. W ciągu ostatnich trzech lat wiele się zmieniło.

Tansy przeprosiła, że mu przerwała.

–Proszę mówić dalej.

–Urodziłem się i wychowałem tutaj, w Edynburgu. Bawiłem się nad kanałem. Latem łapałem kijanki i skakałem do wody z liny zawieszanej na drzewie. Zimą jeździłem na łyżwach. Chodziłem do miejscowej szkoły z resztą okolicznych dzieciaków. Kiedy miałem dziewiętnaście lat, postanowiłem rozwinąć skrzydła. Wyjechałem na południe, żeby studiować w Londynie medycynie. Nauka szła mi gładko. Jak to mówią, miałem dobrze poukładane w głowie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, nie różniłem się od rówieśników. Ale medycyna zawsze mi się podobała i bardzo mi zależało, żeby zostać lekarzem. Po sześciu latach osiągnąłem swój cel.

–A potem?

–Po rocznym stazu już wiedziałem, że będę chirurgiem. Z czasem zrobiłem specjalizację z chirurgii plastycznej.

–Ma pan na myśli poprawianie nosów i usuwanie zmarszczek? – spytała Tansy ze złe maskowanym lekceważeniem.

MacLean zaprzeczył.

–Na ostatnim roku studiów mój najlepszy przyjaciel został ciężko poparzony; na barbecue jakiś kretyn wrzucił parafinę do ognia. Był poważnie oszpecony i doznał takich obrażeń, że musiał zapomnieć o karierze lekarza. Do dziś pamiętam jego wygląd, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go po wypadku. Nie byłem przygotowany na taki widok. Poznał po mojej minie, jakie wywarł na mnie wrażenie. Wyczytałem to z jego oczu. Do dziś czuje się winny. Właśnie wtedy podjąłem decyzję o poświęceniu się chirurgii plastycznej. Uznałem, że jeśli pomogę wielu takim ludziom, zrobię w

zyciu cos pozytecznego.

–Udalo sie?

–To bardzo frustrujaca praca – westchnal MacLean. – Kazdy wie, jakich cudow moze dokonac chirurgia kosmetyczna. Ale rekonstrukcja twarzy po wypadku to zupełnie co innego. Pacjenta mozna poddac wielu operacjom. Trwa to latami i w koncu nie udaje sie przywrocic mu poprzedniego wygladu. Chcialem zrobic cos wiecej.

–Jak?

–Postep zawsze zaczyna sie od badan naukowych. Dowiedzialem sie, ze szwajcarska firma farmaceutyczna Lehman Steiner pracuje nad regeneracja tkanki. Napisalem do nich. Wyslalem im moj zyciorys i po kilku rozmowach kwalifikacyjnych zaproponowali mi udzial w programie badawczym.

–Wlasnie tego pan chcial – powiedziala Tansy.

–Dokladnie – potwierdzil MacLean. – Przenioslem sie do Genewy i zycie zaczelo wygladac jak sen. Mieli wspaniale wyposazone laboratoria, badania szly dobrze i spodobalo mi sie w Genewie. Po trzech latach zostalem szefem dzialu badan chirurgicznych.

–Musial pan byc wtedy mlody.

–Mialem trzydziesci jeden lat i swiat lezal u moich stop. Mieszkalem w apartamencie na dachu, jezdzielam mercedesem i bylem zadowolony z pracy. Potem pojawil sie cytogerm. – MacLean zamilkl i spochmurnial.

–Cytogerm...? – zapytala ostroznie Tansy.

–Nasz najwiekszy sukces. Zupelnie nowy zwiazek chemiczny pomagajacy w regeneracji tkanki. Stosowanie go przy oparzeniach zmniejszalo jej zniszczenie o osiemdziesiat piec procent. Sami nie mogliśmy w to uwierzyc, ale przekonalismy sie, ze tak jest w istocie. Nagle potrafilismy czynic cuda.

–To brzmi wspaniale.

–Bo to bylo wspaniale, dopoki nie zaczal sie koszmar. – W oczach MacLeana pojawil sie wyraz bolu. Milczal. Tansy bala sie odezwac.

MacLean spojrzal na nia.

–Zostalismy zobowiazani do dochowania tajemnicy az do chwili zakonczenia

wszystkich prob klinicznych. – Urwal i Tansy zauwazyła, ze ogarnelo go znuzenie. Polozyla mu palec na ustach. – Wystarczy. Reszta opowie mi pan rano.

MacLean jakby sie ocknal.

–Musze juz isc.

Tansy powstrzymala go delikatnie.

–Nie – szepnela. – Przygotowalam panu pokoj.

MacLeana obudzil smiech Carrie. Bawila sie w ogrodzie. Slyszal rowniez glos Tansy; doradzala jej, jak lepic balwana. Wstal i podszedl do okna. Patrzyl na te scene jak na film. Porazila go biel sniegu i jaskrawe ubranie dziewczynki. Zmieszal sie, kiedy Tansy go zauwazyła i pomachala na powitanie. Wiec to nie film, tylko rzeczywistosc. Naprawde tu jest.

Tansy wrocila do domu i zawolala go na sniadanie. Wszedl do kuchni i niepewnie stanal tuz za progiem.

–Jak sie pan czuje? – zapytala.

–Dobrze.

–Niech pan siada – polecila rozkazujacym tonem harcerki. MacLean poslusznie usiadl. Podsunela mu wielka porcje jajek na bekonie, tost i kubek parujacej kawy. – Niech pan je, bo wystygnie.

MacLean domyslil sie, ze Tansy rozpoczela akcje ratunkowa; chciala ocalic mu zycie. Nie robila tego bynajmniej w subtelny sposob. Zachowywala sie z rozbrajajaca niewinnoscia, co przynosilo o wiele lepszy efekt niz wyrafinowana gra. Z uporem wmawial sobie, ze to tylko krotka jasniesza chwila w trwajacym koszmarze, ale byl tego coraz mniej pewny.

Po sniadaniu Tansy ponownie napelnila kubki kawa i zaproponowala, zeby usiedli wygodniej przy kominku. Carrie wciaz lepila balwana.

–Skonczyl pan na cytogermie – przypomniała Tansy.

–Tak – przytaknal MacLean. Zastanawial sie, od czego zaczac dalsza opowiesc. Nie bardzo wiedzial, ale zdopingowalo go wyczekujace spojrzenie Tansy.

–Proby kliniczne przeprowadzalismy w tajemnicy, w ekskluzywnej prywatnej klinice w gorach. Za zgoda krewnych przyjmowalismy pacjentow z oparzeniami piatej kategorii i jeszcze gorszymi, czyli powaznie oszpeconych. Wszelkie koszty

pokrywała firma Lehman Steiner pod warunkiem, że rodzina zrezygnuje z odwiedzin. Naturalnie nie było sprzeciwów. Takie leczenie jest długie i drogie.

–Ale nie moc odwiedzać męża czy żony! – wtraciła Tansy.

–Zniekształcenia twarzy są trudne do zniesienia. Dla każdego. Może pani sądzić inaczej, ale niech pani spróbuje udawać przed mężem, który przypomina pieczonego kurczaka, że nie jest pani przerażona. To wielki stres. Uśmiecha się pani z przymusem, a wewnątrz zżera panią poczucie winy.

–Nie pomyślałam o tym – przyznała Tansy.

–Wszystko szło po prostu cudownie. Wycinalismy zniszczoną tkankę, nakładaliśmy cytogerm, a potem bandaż. Po trzech tygodniach ubytki wypełniały się nową, zdrową tkanką, gładką jak pani policzek. W miejscach ciec na skórze pozostawały jedynie nieznaczne blizny, ale łatwo je było zatuszować za pomocą zabiegów kosmetycznych. Oddaliliśmy się od epoki przeszczepów o miesiące, jeśli nie o lata. Pracowaliśmy w chirurgicznym Camelocie.

–Wiem co poszło źle?

–Po pierwszych sukcesach pomyślałem o szerszym zastosowaniu cytogermu.

–To znaczy?

–Skoro nadawał się do usuwania skutków wypadków, mógł być przydatny w naprawianiu naturalnych uszkodzeń.

–Naturalnych? – zapytała zaskoczona Tansy.

–Tak. Zasugerowałem firmie, żeby spróbować leczenia ludzi ze szpecacymi znamionami i podobnymi zniekształceniami.

–Udało się?

–Tak. Po prostu wycinalismy brzydkie miejsca, a resztę robił cytogerm. Czulem się jak Chrystus uzdrawiający ślepców, tylko lepiej. On uznałby to za coś oczywistego.

Tansy uśmiechnęła się.

–Niech pan mówi dalej.

–Do tej chwili byliśmy stosunkowo małą częścią ogromnego imperium firmy. Utrzymywanie ośrodków badawczo-rozwojowych zawsze stanowi ryzyko. Nie zarabiają pieniędzy, za to dużo kosztują. Teraz nagle staliśmy się oczkiem w głowie zarządu. Cytogerm mógł przynieść krociowe zyski. Zostałem zaproszony na

spotkanie z dyrektorami do hotelu "Stagelplatz" w Genewie.

–Dlaczego do hotelu?

–Bo należał do firmy. Prawde mówiąc, trudno byłoby znaleźć coś, co do niej nie należało lub czego nie kontrolowała. Hotele, domy mieszkalne, restauracje... Mylem się jej mydłem i szorowałem żeby jej pasta. Raz na miesiąc dyrektorzy zbierali się w "Stagelplatz", żeby się zastanowić, ile świat ma płacić za to, że uwalniają go od bólu i cierpienia.

–Zatem wezwano pana przed oblicza bogów – zauważyła Tansy.

–Tak. Bogów w ciemnych garniturach, którzy nie przestawali się uśmiechać, ale nie spuszczały mnie z oka. Jakby szukali moich słabych stron i wad charakteru. Każde słowo nie na miejscu było natychmiast kwestionowane. Każda dwuznaczność musiałem natychmiast wyjaśniać.

–Mimo że miał pan u nich tak wysokie notowania?! – wykrzyknęła Tansy.

–Ich filozofia była całkiem prosta. Albo zarabiasz dla firmy pieniądze, albo nie. Jeśli nie, jesteś zbędny. Jeśli tak, to pytanie, o ile możesz jeszcze zwiększyć zyski.

–Ale chyba doceniali osiągnięcia pańskiego zespołu?

–O tak! Pogratulowali mi dobrych wyników i tak mnie chwalili, że promieniałem jak uczeń, który zdał do następnej klasy z wyróżnieniem.

–A potem?

–Jeden z nich zaczął się głośno zastanawiać, co cytoferm mógłby zdziałać przeciw starzeniu się ludzkiej skóry.

–Ooo... – powiedziała Tansy, odgadując wagę tych słów.

MacLean uśmiechnął się smutno.

–Do tego momentu nawet nie brałem pod uwagę jego kosmetycznego zastosowania. To mogło przynieść niewyobrażalne zyski, a ja tego nie dostrzegłem! Usuwanie bogatym wdowom kurzych łapek i zmarszczek na szyi uczyniłoby z cytofermu kure znośną złotą jaję.

–Jakie było pańskie zdanie na ten temat?

–Obawiałem się, że badania nad likwidowaniem skutków wypadków zejda na drugi plan. Obstawiałem przy tym, żeby pozostały naszym priorytetem. Tamci przewidzieli moją reakcję. Oczywiście, powiedzieli z uśmiechem. Ale im więcej pieniędzy

przyniesie cytogerm, tym będzie tanszy. A im będzie tanszy, tym szerzej dostępny. W rezultacie skorzysta na tym więcej pacjentów. Czy nie mogłbym przeprowadzić przynajmniej wstępnych prób kosmetycznego zastosowania tego środka?

–Czy to prawda, co mówili o kosztach? – zainteresowała się Tansy.

–Ogólnie rzecz biorąc, tak – wyjaśnił MacLean. – Kiedy na rynku pojawia się nowy lek, zwykle jest bardzo drogi. Producent musi odzyskać pieniądze zainwestowane w badania i jego wynalezienie. Zysk przychodzi później, wraz ze wzrostem sprzedaży.

–Spełnił pan ich zadanie?

–W końcu uległem. Poprosiłem w klinice o ochotnika. Zgłosiła się Eva Stahl, nasza pielęgniarka operacyjna; bardzo miła, inteligentna pani. Z niepokojem wkraczała w wiek średni, jak to kobieta. Chętnie skorzystała z okazji pozbycia się worków pod oczami i zwiótczałej od nadmiaru słońca, starzejącej się skóry na szyi.

–I co?

–Cztery tygodnie później wyglądała na dwadzieścia pięć lat. Odzyskała dawną urodę. Wraz ze zmianą powierzchowności zmieniła się jej osobowość. Dobrze się czuła wiedząc, że jest piękna. Narodziła się jakby po raz drugi.

–To musiało być cudowne!

–Zachęceni powodzeniem, przyjęliśmy następną szóstkę ochotniczek. Ja zoperowałem trzy, a mój asystent Kurt Immelman pozostałe.

–Mógł pan powierzyć przeprowadzenie takich zabiegów komuś innemu?

–Sedno wynalazku tkwiło w tym, że operacje potrafiłby przeprowadzić harcerz zaopatrzonego w szczyryk. Cytogerm sam czynił cuda.

–Co było dalej?

–W pięciu przypadkach udało nam się powtórzyć to, co za pierwszym razem. Wyniki były rewelacyjne. Niestety w szóstym nie. – MacLean pociągnął łyk kawy. – Nazywała się Elsa Kaufman. Miała trzydzieści osiem lat i była żoną jednego z naszych dyrektorów do spraw produkcji z Zurychu. Dwa tygodnie po zabiegu i przed zdjęciem opatrunków zaczęła się skarżyć na ból twarzy. Początkowo nie przejąłem się tym zbyt. Bole pooperacyjne to nic niezwykłego. Ale cierpiała coraz bardziej. Nie chciałem za wcześnie zdejmować bandażu, żeby nie uszkodzić świeżej tkanki. Podejrzywałem, że ma infekcję i leczyłem ją antybiotykami. Gdybym w porę usunął opatrunki, może miałyby jeszcze szansę.

–Co sie okazalo? – spytala cicho Tansy.

–Po kilku dniach nie mogla wytrzymac z bolu. Zabralem ja do sali operacyjnej i zdjalem bandaze. Wygladala, jakby...

–Jakby co? – przynaglila Tansy, widzac cierpienie w oczach MacLeana.

–Jakby nie miala twarzy – dokonczyl. – Cala pokryl czerwony, ohydny nowotwor. Rak zupełnie pozbawil ja ludzkich rysow. Dzieki Bogu, zmarla kilka dni pozniej, kiedy zaatakowal mozg.

–To straszne! – szepnela Tansy. – Czy spowodowal to cytogerm?

–Pytanie za miliony dolarow. Przy autopsji pobralismy probki nowotworu, ale nie potrafilismy go sklasyfikowac. Roznil sie zupełnie od wszystkich znanych nam rodzajow raka. Rosl nieslychanie szybko. W hodowli komorkowej osiem razy szybciej niz jakiegokolwiek znane komorki.

–Co to jest hodowla komorkowa?

–Komorki rakowe mozna wyhodowac w laboratorium.

Tansy wzdrygnela sie.

–Wskazowka do rozwiazania zagadki byla szybkoosc, z jaka rosl – ciagnal MacLean. – Uzywalismy specyfiku, ktory przyspieszal wzrost zdrowej tkanki, a tu nagle natrafilismy na szybko rosnacy nowotwor. Musial istniec jakis zwiazek; to musial byc cytogerm.

–O nie...

–Niestety tak. Cytogerm budzil do zycia uspione komorki rakowe i powodowal powstawanie nowotworow.

–Czy wszyscy mamy takie komorki? – zapytala Tansy.

–Trudno powiedziec, ale wiele osob ma na skorze pieprzyki czy inne drobne skazy. Czesto sa to lokalne ogniska nowotworow. Na tym polegala problem w przypadku Elsy Kaufman. Miala pieprzyk na gornej wardze. To musial byc czerniak. Cytogerm spowodowal jego niekontrolowany rozrost.

–I to byl koniec cytogermu?

–Tak. A przynajmniej tak sadzilem.

Do pokoju weszla Carrie i oznajmila, ze ma klopoty z dokonczeniem balwana. Czy

ktos moglby jej pomoc?

Tansy usmiechnela sie. Wiedziala, ze pytanie jest skierowane do MacLeana. KobiECE sztuczki pieciolatek, pomyslala. Czekala na reakcje MacLeana, gotowa wkroczyc do akcji, gdyby okazal niechec. Ale nie okazal. Wydawal sie tylko zaklopotany. Zapewne uwazal, ze niegrzecznie bedzie nagle przerwac rozmowe. Tansy wybawila go z klopotu.

–Idzcie razem do ogrodu, a ja przygotowuje lunch – powiedziala.

–Nazywa sie Pan Robbins – poinformowala Carrie. – Ale nie chce mu sie trzymac glowa. – MacLean zdjal sniezna kule sluzaca balwanowi za glowe i polozyl na ziemi. – Moze najpierw dodamy mu usta, nos i oczy? Teraz bedzie latwiej. Co ty na to?

Carrie wygladala na zadowolona, ze pyta ja o zdanie. Dorosli zazwyczaj tego nie robili, tylko rozkazywali.

–Dobrze – zgodzila sie.

–Trzeba znalezc kamyki nadajace sie na oczy – powiedzial MacLean. Carrie pobiegla na poszukiwania, a on zajal sie poprawianiem ksztaltu glowy.

Wrocila z garścią kamykow roznej wielkosci.

–Ktore beda najlepsze? – spytal MacLean. Carrie wysunela jezyk i z uwaga wybrala dwa. – Te.

–Masz racje. – MacLean umocowal balwanowi oczy.

–A co z nosem? – zapytala Carrie. MacLean zastanowil sie.

–Jesli ladnie poprosisz mame, moze da ci marchewke?

Carrie szeroko otworzyla oczy. To jest mysl! Popedzila do domu i po chwili triumfalnie wreczyla mu marchew.

–Nie – zaprotestowal lagodnie. – Ty to zrob.

Wetknela "nos" na wlasciwe miejsce i cofnela sie, podziwiajac swoje dzieło.

–Doskonale – pochwalil MacLean. Carrie zarumienila sie z zadowolenia. Z pozostalych kamykow zrobil balwanowi usmiechniete usta. Mala byla uszczesliwiona. MacLean umiescil glowe na miejscu. Carrie pobiegla po mame. Tansy glosno sie zachwycala Panem Robbinsem. Zaproponowala, zeby dac mu jeszcze szalik i czapke. Carrie powitala ten pomysl z entuzjazmem.

Po lunchu Carrie obwiescila swoje plany na popoludnie.

–Bede budowac domek glo – zwierzyla sie MacLeanowi.

–Domek... glo? – powtorzyl niepewnie.

–Taki, jakie maja Eskimosi.

–Aha! To igloo – poprawil ja delikatnie.

–Tak, igloo – przyznala i zerknela spod oka, czy sie z niej nie smieje. MacLean nawet nie zamierzal.

–Beda ci potrzebne sniezne cegly – podsunal. Spojrzala na niego pytajaco.

–Mozemy je zrobic pustym pudelkiem.

Carrie zerwala sie z miejsca i blyskawicznie przyniosla dwa tekturowe pudelka.

–Idziemy? – zapytala niecierpliwie.

–Najpierw zmywanie, mloda damo – ostudzila ja Tansy.

Zrezygnowana Carrie powlokla sie za matka do kuchni. Ale kiedy tylko skonczyla pomagac, wypadla do ogrodu jak chart. MacLean wtajemniczyl ja w szczegoly produkcji snieznych cegiel, po czym wrocil do domku. Tansy podziekowala mu z usmiechem za cierpliwosc okazywana Carrie.

–Bawie sie tak samo dobrze jak ona – wyznal MacLean. Tansy podala mu filizanke kawy.

–Domyslalam sie, ze opowiesc o cytogerme ma dalszy ciag? Przytaknal.

–Trzy tygodnie po zaprzestaniu jego stosowania dostalem list od dyrektorow. Informowali, ze odwiedzi mnie niejaki doktor Von Jonek i kazali udostepnic mu wszystko, czego bedzie potrzebował. Dwa dni pozniej zjawil sie.

–I...?

–Jeszcze nie spotkalem tak antypatycznego faceta. Byl wyniosly, wladczy i arogancki. Zazadal pelnej dokumentacji badawczej cytogerme i wszystkich historii chorob naszych pacjentow. Odmowilem. Po pierwsze, dzialal mi na nerwy i nie zamierzalem byc mu w niczym pomocny. Ale glownie dlatego, ze chcial dostac kopie i oryginaly. Nie raczyl nawet wyjasnic, po co. Powiedzial po prostu, ze mam wykonac rozkazy, ktore dostalem. Nie zachowalem sie zbyt uprzejmie. Odparlem, ze slepe wykonywanie rozkazow to raczej specjalnosc jego rodakow.

–O Boze... – mruknęła Tansy.

–Następnego dnia wezwali mnie do "Stagelplatz", zebym sie wytłumaczył. Postanowilem sie postawic. Wszedłem tam w bojowym nastroju. Przypomniałem, ze cytogerm to "dziecko" mojego zespolu. Uparłem sie, ze bez wyjasnienia mi, o co chodzi, nie oddam dokumentacji byle biurokracie.

–Jak zareagowali?

–Uśmiechali sie i kiwali glowami jak pieski, ktore widuje sie za tylnymi szybami samochodow. Byli bardzo uprzejmi i przeprosili za Von Joneka. Zbili mnie z tropu. Wytłumaczyli, ze ten czlowiek jest archiwista firmy. To prawda, nie ma najlepszych manier, ale chcial tylko uzupelnic akta. Poczulem sie jak idiota. Zeby pokryc zmieszanie, zapytałem niewinnie, gdzie sie miesci to archiwum. Wzieli to za oznake niedowierzania. Atmosfera natychmiast sie ochlodzila i uśmiechy zniknely z ich twarzy. Jeden z dyrektorow wstal, okrazil stol i podszedl do mnie. Nachylil sie tak nisko, ze kiedy otworzyl usta, mogłem podziwiac mostek na jego zebach. "Doktorze MacLean – powiedzial. – Uwazam nasza wspolprace za zakonczona. Prosze wyjsc".

–Co pan zrobil?

–Wszedłem.

–Musial pan im oddac akta? MacLean uśmiechnal sie smutno.

–Nie zdazyłem. Tej samej nocy w klinice wybuchl pozar. Oficjalnie cala dokumentacja splonela.

–A nieoficjalnie?

–Doskonale wiem, ze ogien podlozono celowo.

–Ale po co?

–Zeby ukryc włamanie i kradziez papierow dotyczacych cytogermu.

–Kto to zrobil? Firma?

–Oczywiscie, ale wtedy byłem za glupi, zeby na to wpasc. Myslalem, ze cytogermem interesuje sie jakas obca agencja. Nawet napomknałem o tym dyrektorom.

–O Boze... – westchnęła Tansy.

–A no własnie... – przytaknal MacLean.

Zapadła dłuższa cisza. Przerwała ją Tansy.

–Co było dalej?

MacLean w milczeniu wpatrywał się w podłogę. Wolął nie wracać do bolesnych wspomnień.

–Przepraszam, ale nie chcę o tym mówić. Tansy delikatnie scisnęła go za ramię.

–Zalecam terapię zajęciową, doktorze.

–Słucham?

–Przepisuje panu terapię zajęciową. Budowę igloo.

MacLean zrozumiał. Skinął głową. Wstał i wyszedł do ogrodu, żeby pomóc Carrie. Tansy miała rację. Ruch na świeżym powietrzu dobrze podziałał na jego psychikę; oderwał go od rozmyślań. MacLean skoncentrował się całkowicie na stawianiu ścian ze śniegu. Carrie była zachwycona. Dorosłym zazwyczaj nudziło się po pół godzinie i mówili, że idą się napić herbaty. Rzadko wracali. Tymczasem MacLean bawił się z nią do zmroku. Skonczyli dopiero wtedy, gdy w oknach domku zapaliły się światła.

Carrie poszła do swojego pokoju, żeby zdjąć mokre ubranie. MacLean zastał Tansy w kuchni.

–Naprawdę muszę już iść – powiedział.

Przerwała swoje czynności, ale nie odwróciła się.

–Dlaczego?

–Bo to nie mój świat.

–A czemu nie? – zapytała.

MacLean nie potrafił na to odpowiedzieć. Próbował znaleźć jakiś powód, ale bez skutku.

–Bo nie – odrzekł tylko. – Spotkałem panią i Carrie przez czysty przypadek.

–Uratował jej pan życie – przypomniała Tansy.

–Akurat tamtędy przechodziłem, to wszystko. Nie jest mi pani nic winna.

–Ależ nie o to chodzi! Jest pan po prostu mile widziany w naszym domu.

Ulepił pan z moja córka balwana. Dobrze nam z panem. Po co ten pospiech? Ma pan dokąd pojsc? Nie. Wiec niech pan zostanie.

MacLean pokręcił głową. Lecznicze działanie terapii zajęciowej już minęło.

–Może pan chociaż przenocuje, a rano jeszcze porozmawiamy? Ponury wyraz zniknął z jego twarzy. Uśmiechnął się.

–Dobrze, zostanie. Ale tylko do jutra.

MacLean został wrobiony w opowiedzenie Carrie bajki na dobranoc, ale nie protestował. Przestał sobie w kółko powtarzać, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Chwilami nawet zaczął żałować, że jego życie nie wygląda w ten sposób. Ale zdrowy rozsadek natychmiast mu podpowiadał, żeby pozbył się złudzeń.

Kiedy zadowolona Carrie usnęła, usiadł naprzeciw Tansy przy kominku.

–Lubi pan muzykę? – zapytała. – Tak.

–Schuberta?

–Owszem.

Tansy nastawiła płytę.

–Dzień się skończył – powiedziała. – Nie będzie żadnych pytań. Odpoczywajmy.

MacLean zaglebił się wygodnie w fotelu i patrzył na wolno gasnące płomienie. W końcu w palenisku pozostał tylko żar. Ciepło i muzyka podziałały na niego kojąco. Gdy zapadła cisza, nie czuł już bólu i rozpacz. Prawie zasypiał, kiedy nagle Tansy wyciągnęła do niego rękę.

–Chodź – szepnęła.

Wstał i spojrzał na nią pytająco.

–Chodź – powtórzyła. Ujęła go za dłonie i zaprowadziła do swojej sypialni. Obok łóżka zrzuciła z nog pantofle.

MacLean nie mógł oderwać od niej oczu.

–Nie rozumiem... – powiedział cicho. – Dlaczego?

Położyła mu palec na ustach.

–Żadnych pytań, pamiętasz? – Odpięła mu koszulę i zaczęła delikatnie całować jego

piers, masujac palcami ramiona.

MacLeana przeszedl lekki dreszcz, gdy poczul na skorze jej wlosy. Wzbierala w nim zadza. Kiedy poszukal ustami jej warg, odsunela sie.

–Poloz sie – rozkazala.

Poslusznie osunal sie na plecy, jakby zupełnie soba nie wladal. Tansy stanela nad nim i rozebrala sie. Czul na sobie jej cialo, ale wciaz patrzyl jej w oczy. Chcial znalezc w nich odpowiedz, lecz widzial tylko cien usmiechu. Usiadla na nim okrakiem i rozpiela mu pasek. Potem rozebrala go do naga. Sprobował wziac ja w ramiona, ale znow go powstrzymala.

–Nie. Lez i nie ruszaj sie.

Calowala go po calym ciele. Nie mogl dluziej pozostac bierny, lecz ilekrocz probowal sie podniesc, popychala go z powrotem i kazala lezec spokojnie. Nagle przekrecila sie na plecy.

–Teraz mnie wez – szepnela.

Wszedl w nia gleboko. Jej spazmatyczny oddech podniecal go coraz bardziej, a ciche okrzyki prowokowaly do gwałtownosci. Pragnal zadac jej bol za to, ze wczesniej wprawila go w zaklopotanie. W glowie roilo mu sie od pytan, ale cialo kazalo zaczekac. Tansy z trudem wciagnela powietrze.

–Teraz wiesz, co to znaczy byc zywym, doktorze MacLean. Nie psuj tego.

Kiedy skonczyli sie kochac, MacLeana ogarnela sennosc. Otulala go jak cieple morskie fale. Ale dreczylo go poczucie winy, uwieralo niczym kamyk w piasku. Przywarl mocno do Tansy.

–Nie rozumiem... – szepnal jej do ucha. – Dlaczego?

–Mowilam ci – odpowiedziala cicho. – Zobaczylam w twoich oczach Keitha. Spij. – Zanurzyla palce w jego wlosach i delikatnie pomasowala mu glowe.

Czul jej pieszczotliwy dotyk jeszcze dlugo potem, gdy cofnela reke. W koncu zmeczenie zwyciezilo i zasnal.

Poranek byl nienaturalnie jasny z powodu sniegu za oknem. MacLean wstal z pierwszym blaskiem dnia i siegnal po swoje rzeczy. Wymknal sie na palcach do zimnego salonu, gdzie ogien w kominku dawno wygasl, i szybko sie ubral. Wkladal wlasnie marynarkę, gdy z sypialni dobiegl glos Tansy:

–Poprosze kawe bez cukru.

Na moment znieruchomiał. Zastanawiał się, czy odgadła, że zamierza uciec. Spojrzał w kierunku wyjścia, potem na drzwi sypialni. Westchnął z rezygnacją i zdjął marynarkę.

–A co z mlekiem? – zapytał z uśmiechem.

4

Tansy usiadła w łozku i wzięła od MacLeana kawę.

–Dobrze spałaś?

MacLean szukał w jej oczach oskarżenia, ale nie znalazł.

–Jak zabity.

–Jak się czujesz?

–Lepiej.

–Ciesz się. Opowiesz mi dzisiaj resztę swojej historii? – Tak.

Do pokoju weszła Carrie. Wlokła za sobą pluszowego misia i przecierała oczy. Widocznie obudziły ją ich głosy. MacLean poczuł się niezrecznie, że nakryła go w sypialni matki. Ale nie wyglądało na to, żeby dziewczynka uznała to za coś niewłaściwego. Przypomnił sobie, że mała ma dopiero pięć lat. Tansy zauważyła jego zmieszanie.

–Świat zewnętrzny kończy się na progu tego domu, doktorze MacLean. Tu nie obowiązują jego zasady moralne. Kochamy się i troszczymy o siebie, tylko to się liczy.

MacLean skinął głową, ale nadal czuł się zakłopotany. – I uprzedzę twoje pytanie – dodała. – Nie śpiam z każdym, kto się tu zjawi. Nie miałam nikogo od śmierci Keitha. – Nie...

–Wiem, że nie, ale wolalam to od razu wyjaśnić. Zapadła chwila krepującej ciszy. Przerwała ją Carrie.

–Mogę dostać płatki kukurydziane? MacLean i Tansy odprezyli się.

–Dam ci je, Carrie, tylko pokaz mi, gdzie są – powiedział MacLean.

Po śniadaniu Carrie wyszła do ogrodu, żeby otoczyć Pana Robbinsa murem ze śnieżnych cegieł. MacLean obserwował ją ukradkiem zza firanki, dopóki Tansy nie przypomniała mu, że ma dokończyć opowieść o cytogerme.

Odwrocił się od okna.

–Mieszkalem z moją dziewczyną, Jutte Hahn. Była instruktorka narciarstwa. Poznaliśmy się w górach. To może sugerować, że poderwałem jakąś łatwą blondyneczkę, która leciała na każdego faceta, ale nic dalszego od prawdy. Rzeczywiście była piękna blondynka, jakich wiele, ale tylko z pozoru. W rzeczywistości bardzo różniła się od innych kobiet. Miała urzekająco pogodny usposobienie, jakby nie potrafiła się niczym przejmować. Intrygowano mnie to, nigdy nie mogłem tego pojąć. W Szkocji pewnie powiedzielibyśmy o takiej osobie, że jest fey, nie całkiem normalna.

–Chyba rozumiem, o co chodzi – przytaknęła Tansy.

–Wydawało się, że widzi świat inaczej niż każdy z nas. Bardziej...wyraziste. Dokładnie wiedziała, co naprawdę ma znaczenie, a co nie. Mówi się, że kiedy pozna się kogoś do końca, związek przestaje mieć sens. Ale nie z Jutte; nawet gdybyśmy byli razem tysiąc lat.

–Musiałeś ją bardzo kochać. – Tak.

–A jednak nie wzięliście ślubu?

–Chyba oboje balismy się, że czar prysnie. Nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości. Szczęście to najbardziej ulotna rzecz pod słońcem.

–I najbardziej nieuchwytna.

–Bardzo przeżywałem niepowodzenie przy stosowaniu cytogermu. Winilem się za śmierć Elsy Kaufman. Wmawiałem sobie, że powinienem był przewidzieć działanie tego specyfiku na komórki rakowe.

–Ależ nie mogłeś się tego spodziewać!

MacLean uśmiechnął się.

–Każdy by mógł, tylko nie ja. Jutte namówiła mnie na wyjazd w góry. Rano przed podróżą wyszła po croissanty do miejscowej piekarni, a ja brałem prysznic. Wzięła mojego mercedesa... – MacLean urwał.

–I coś się stało? – domyśliła się Tansy.

–Kiedy przekrecila kluczyk w stacyjce, samochod wylecial w powietrze.

–O moj Boze! – szepnela Tansy.

–Policja powiedziala, ze bombe podlozyli arabscy terrorysci. Podobno celem ataku byl izraelski dyplomata, ktory mieszkal w tym samym budynku. Tez jezdził mercedesem. Po prostu tragiczna pomyłka.

–Straszne.

–I nieprawdziwe.

–Nie rozumiem...

–Chodzilo o mnie, a Palestynczycy nie mieli z tym nic wspolnego.

–Skad taki wniosek? – zdziwila sie Tansy.

–Bo potem zginela Lisa Vernay – odparl MacLean. – Immunolog. Tez pracowala nad cytogermem. Znaleziono ja w basenie ze skreconym karkiem. Rzekomo wypadek; skoczyla na glowe do plytkiej wody. Nastepna ofiara "wypadku" byl Kurt Immelman.

–Twój asystent?

MacLean przytaknal.

–Doskonaly chirurg. Przeniosl sie do Paryza i swietnie mu szlo w nowej pracy. Pewnego dnia wsiadl w szpitalu do windy, ktora runela z siodmego pietra i roztrzaskala sie na dnie szybu.

–Wiem, ze uwazasz inaczej – powiedziala lagodnie Tansy. – Ale moze to rzeczywiscie byly nieszczesliwe wypadki.

–Tylko cztery osoby znaly sklad cytogermu – wyjasnil MacLean.

–Ty, Lisa Vernay, Kurt Immelman i...?

–Maks Schaeffer, chemik.

–Tez mial wypadek? – spytala ostroznie Tansy.

–W centrum Madrytu wpadl samochodem na cysterne z benzyna. Swiadkowie zeznali, ze byl pijany.

–Tak, za duzo tych przypadkow – przyznala Tansy.

–Firma postanowila zlikwidowac wszystkich, ktorzy pracowali przy cytogerme. Najpierw usuneli cala dokumentacje, potem zaczeli usuwac ludzi.

–Mam nadzieje, ze zglosiles to policji?

–Jak tylko sie zorientowalem, co sie dzieje. Bylem jedynym zyjacym czlonkiem zespolu. Pierwszy zamach na mnie sie nie udal, wiec spodziewalem sie nastepnych. Opowiedzialem policji wszystko. Pomyslalem, ze przynajmniej zyskam na czasie. Firmie trudno bedzie zabic czlowieka, ktory jest na to przygotowany.

–I co?

–Początkowo policja uznala mnie za wariata. Kiedy dokladnie sprawdzili, kim jestem, zgodzili sie wszczac dochodzenie. Pojechalismy razem do "Stagelplatz" na konfrontacje z dyrektorami.

–Jak zareagowali?

–Usmiechali sie wspolczujaco. Powiedzieli, ze martwili sie o moje zdrowie od dluzszego czasu. Podobno za ciezko pracowalem i nie moglem sie pogodzic z tragiczna smiercia Jutte. Byl mi potrzebny wypoczynek. Im bardziej sie denerwowalem, tym bardziej prawdopodobnie brzmialy ich wyjasnienia. W koncu zobaczylem zielonego smoka.

–Co zobaczyles?! – Tansy myslala, ze sie przeslysza.

–Zielonego smoka. Wlcial przez sciane i zaczal walczyć z czerwonym wezem, ktory udawal dywan.

Tansy byla oszolomiona.

–Wybacz, ale chyba...

MacLean usmiechnal sie krzywo.

–Dyrektorzy zachowali sie jak ludzie cywilizowani i w pewnym momencie kazali podac kawe. W mojej musial byc srodek halucynogeny. Na oczach policji doznalem zalamania nerwowego. Przynajmniej na to mialo wygladac. Z ulga uznali mnie za czlowieka potrzebujacego opieki lekarskiej. Mieli problem z glowy.

–Co sie potem stalo?

–Umieszczono mnie w jednej z klinik nalezacych do firmy. Na szczescie nie odwazyli sie mnie zabic na wlasnym terenie. Kilka tygodni pozniej zostalem wypisany. Ze wzgledow zdrowotnych wyslali mnie na "emeryture". Pozbawiono mnie

mieszkania i jasno dano do zrozumienia, że będzie mi bardzo trudno znaleźć pracę w Szwajcarii.

–Istny koszmar!

–Dokładnie – zgodził się MacLean. – Byłem wściekły, ale bezsilny. W końcu ogarnęło mnie poczucie rezygnacji. Nie mogłem nic zrobić. Zabili Jutte, zniszczyli moją karierę, wymordowali moich kolegów, a ja nie mogłem nic zrobić! Za to firma mogła zrobić wszystko, co jej się podobało.

–Jak postąpiłeś?

–Wyjechałem do Paryża. Miałem tam bliskiego przyjaciela. Pracował w Instytucie Pasteura. Przygarnął mnie na trochę, dopóki się nie pozbieram.

–I co?

MacLean unosił dłoń do gardła.

–Zaschło? – spytała Tansy.

Skinął głową. Poszła do kuchni i przyniosła chłodną lemoniadę. Po drodze wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, co z Carrie. Potem podała MacLeanowi szklanke.

–Najpierw bez przerwy myślałem o jednym: co zrobić, żeby ludzie z firmy Lehman Steiner zapłacili za swoje czyny. Chciałem, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Tylko to mnie obchodziło. Rozmawiałem z wieloma prawnikami i prywatnymi detektywami. Radzili mi, żebym dał sobie spokój i pomyślał o swojej przyszłości. Ale byłem coraz bardziej zawzięty, dopóki nie odkryłem prawdy.

–Jakiej prawdy?

–Nikt nie chciał podjąć żadnych kroków... rzekomo z braku środków prawnych, dowodów, świadków i tak dalej. Ale prawdziwy powód był inny.

–Jaki?

–Po prostu nikt mi nie wierzył. Wszyscy uważali, że zmyślam.

–To niesłychane! – oburzyła się Tansy.

–Ale najgorsze miało dopiero nadejść – ciągnął MacLean. – Naiwnie sądziłem, że firma przestała się mną interesować. Zniszczyli mnie i to im wystarczy. Tymczasem okazało się, że nadal chcą mojej śmierci.

Tansy wytrzeszczyła oczy.

–Znow sprbowali?!

–Pewnego wieczoru wracalem do domu, gdy nagle na chodnik wpadl citroen. Walil prosto na mnie. Przejechalby mnie, gdyby nie to, ze kierowca przeoczyl slupek. Uderzyl w niego przednim kolem i odrzucilo go na bok. Ale minal mnie o centymetry.

–Ktos to widzial?

–Mnostwo ludzi. Wszyscy zeznali, ze omal nie padlem ofiara pijanego kierowcy.

–Pijanego?

–W oczach swiadkow tak to wygladalo. Nikt nie podejrzewal proby zaboystwa.

–A francuska policja? Zglosiles to? – dopytywala sie Tansy.

–Oczywiscie – odparl MacLean. – Opowiedzialem im cala historie, ale zadzwonili do kolegow w Genewie i przestali traktowac mnie powaznie. Bylem zdany na siebie.

MacLean pociagnal lyk lemoniady.

–Ale przynajmniej wiedzialem, ze Lehman Steiner ciagle mnie tropi. Nie chcialem narazac mojego francuskiego przyjaciela i ucieklem do ojczyzny. Dojechalem autostopem na wybrzeze i wsiadlem na prom. Wolalem nie odnawiac znajomosci z tutejszymi kolegami, zeby nie znalezli sie w niebezpieczenstwie. Na szczescie mialem jeszcze pieniadze w brytyjskim banku. Wynajalem mieszkanie i zaczalem szukac pracy. W koncu dostalem posade chirurga w szpitalu we wschodnim Londynie. Moje zycie powoli wrocilo do normy.

–Przestales myslec o zemscie?

MacLean usmiechnal sie gorzko.

–To dziwne, jak bezsilnosc moze stlumic w czlowieku gniew. Z czasem uznalem, ze nie zdolam stawic czola poteznej firmie. Zlosc stopniowo zastapilo poczucie pustki.

–Ale miales prace. Wrociles do medycyny – zauwazyla Tansy.

–Trwalo to dokladnie trzy miesiace, az do pewnego sobotniego popoludnia. Jechalem samochodem do szpitala. Lekko mzylo, a w radiu Ella Fitzgerald spiewala "Moonglow". Ruch zablokowala demonstracja czy marsz polityczny. Tlum mlodziezy wymachiwal brytyjskimi flagami i piesciami. Policja starala sie odgrodzic ich od grupy Irlandczykow w barwach narodowych. Czulo sie wzajemna nienawisc, ale patrzylem na to obojetnie. Obie strony obrzucaly sie wyzwiskami. Policjanci trzymali sie pod rece i powstrzymywali napor tlumu, a demonstranci stracali im helmy. Reporterzy z

kamerami wdrapywali sie na dachy samochodow, zeby miec lepszy widok. Jakas kobieta z wozkiem znalazla sie przypadkiem w srodku calego zamieszania. Probowala sie schronic w wejsci do sklepu. Polecialy kamienie. Wziela dziecko na rece i wtulila sie w kat. Nagle dostala w tyl glowy i upadla. Wyskoczyłem z samochodu i pobieglem na pomoc. Policjantka dotarla do niej pierwsza i okazalem sie niepotrzebny. Kobieta nie odniosla powaznych obrazow, a karetka byla juz w drodze. Wrocilem do samochodu. Na tylnym siedzeniu zastalem dwoch mezczyzn. Odlaczyli sie od grupy brytyjskich demonstrantow. Jeden z nich mial bron.

–Bron?! – wykrzyknela Tansy.

MacLean przytaknal.

–Po raz pierwszy zobaczylem z bliska wylot lufy. Czarny otwor zahipnotyzowal mnie. Mezczyzna celowal w moja piers. Polecil mi wsiasc i czekac.

–I co?

–Kiedy policja oczyscila ulice, kazal mi ruszac. Sluchajac jego wskazowek, dojechalem do jakiegos ustronnego miejsca nad rzeka. Wszyscy wysiedlismy. Tamci dwaj odbyli krotka dyskusje na temat mojej tozsamosci. Jeden wyciagnal fotografie. Pochodzila z akt firmy Lehman Steiner.

–Dobry Boze! Skad ja wzeli? MacLean pokrecil glowa.

–Nie mam pojecia. Ale po upewnieniu sie, kim jestem, kazali mi stanac twarza do rzeki. Stalem i czekalem, az pocisk trafi mnie w plecy. Pamietam zapach trawy i krzyk mew nad glowa. Widzialem kazda zmarszczke na wodzie i slyszalem kazdy plusk przy nabrzezu. Jakbym mial wyostrzone wszystkie zmysly. Myslam, ze juz nigdy wiecej nic nie zobacze ani nie uslysze. – Ale przezyles.

–Sam nie wiem, dlaczego nie strzelili. Moze nie chcieli robic halasu. Dostalem lufa w glowe i popchneli mnie. Wpadlem do wody. Pewnie liczyli na to, ze utone, bo stracilem przytomnosc. Ale kilkaset metrow dalej wylowil mnie wedkarz i wezwal karetke.

–Moj Boze, miales szczescie!

MacLean popatrzył na Tansy z lekkim usmiechem, jakby byl innego zdania.

–Ocknałem sie dopiero po czterech dniach z peknieta czaszka i nerwami w strzepach. Trzy razy wymknałem sie smierci i bardzo watpitem, czy uda mi sie to po raz czwarty.

Tansy wspolczujaco pokiwala glowa i uscisnela jego dlonie.

–Po wyjściu ze szpitala postanowiłem zniknąć. Zmieniłem nazwisko, adres i pracę. Stałem się Danem Morrisonem, robotnikiem kontraktowym.

–Robotnikiem?!

–Bez papierów raczej trudno dostać pracę, ale na budowie nie zadają zbyt wielu pytań.

–Coż za zmiana!

–Owszem, spora. – MacLean uśmiechnął się. – Przez pierwsze tygodnie byłem wykonany. Harowałem do późnej nocy i natychmiast walilem się do łóżka. Rano bolały mnie wszystkie mięśnie, ale z czasem przywykłem. Zeschuplałem, stwardniałem i nabrałem siły. Odzyskałem pewność siebie, bo intensywny wysiłek fizyczny podziałał kojąco na moją zwichniętą psychikę. Kiedy człowiek jest zmęczony, nie ma ochoty rozmyślać o przeszłości. Zacząłem nawet robić plany na przyszłość. Zamierzałem być Danem Morrisonem przez dwa lata. Przez ten czas w Lehman Steiner powinni o mnie zapomnieć i mogłbym znowu wrócić do medycyny.

–Wiec zostałeś na budowie?

–Krotko. Wśród robotników rozeszła się wieść, że można zarobić grubą forszę na platformach wiertniczych na Morzu Północnym. Zainteresowało mnie to. Coś w sam raz dla Dana Morrisona, faceta bez zobowiązań, pomyślałem. Poza tym, kto by szukał chirurga plastycznego przy wierceniu szybów naftowych?

–Śluszne rozumowanie – przyznała Tansy.

–W pewien piątek porzuciłem pracę na budowie i wyjechałem na północ, do Aberdeen. W następny czwartek wylądowałem jako robotnik na platformie wiertniczej "Celtaicki Wojownik" trzysta kilometrów na północny wschód od Stonehaven.

–Wielki Boże!

–Początki były trudne. Marzłem i czułem się bardzo samotny. Nikogo nie znałem i nikt nie czekał na mnie na łodzi. Praca okazała się ciężka, a zima pogoda na Morzu Północnym jest przerażająca. Z Arktyki wieje silny wiatr, który nie napotyka na swojej drodze żadnej przeszkody. Fale są wysokie jak góry. Czasem bywa tak zimno, że jeśli dotknie się metalu gołą ręką, można ją oderwać bez skóry.

–To straszne!

–Ludzie robią tam pieniądze – wyjaśnił MacLean. – Spróbuj przekonać takich facetów, że nie warto się poświęcać.

–Długo wytrzymałeś?

–Osiemnaście miesięcy. Tansy była zaskoczona.

–Az tyle? W takich warunkach?

–Może zabrzmie to dziwnie, ale z pewnych względów uważam tamten okres za jeden z najlepszych w moim życiu. Z czasem zaprzyjaźniłem się blisko z ludźmi, których normalnie nigdy bym nie spotkał. Dobrze się czułem w ich towarzystwie. Nie byli małostkowi, zmanierowani i pretensjonalni. Kiedy na platformie wieje "osemka", nie ma miejsca na sztuczne pozy. Podobnie jak nie ma miejsca na obijanie się i niekompetencje. Przy wspólnym wysiłku obowiązuje wzajemny szacunek i uczciwość. Takie są reguły gry.

–Zatem ciężko pracowali i...? – Tansy zawiesiła głos.

–W porządku – przyznał MacLean. – Nie tylko, jeśli o to ci chodzi. Pililiśmy. W innych okolicznościach uznałbym to za bezsensowne, ale musieliśmy odreagować. Inaczej można było się załamać. Alkohol pozwalał nam przetrwać.

–I wreszcie uwolniłeś się od Lehmana Steinera.

–Tak. Zamierzałem spędzić jeszcze sześć miesięcy na Morzu Północnym i wrócić do medycyny. Ale zdarzył się wypadek.

–Jaki?

–Pracowaliśmy przy potwornej wichurze. Wyla tak, że nie słyszeliśmy własnych słów. Porozumiewaliśmy się na migi. Nie rozumieliśmy się dobrze i nagle w powietrzu zaczęły fruwać lancuchy. Dwaj ludzie zostali ciężko ranni. Helikopter nie mógł wylądować na platformie przy takiej pogodzie, więc zająłem się nimi. Mielismy dobrze wyposażone ambulatorium, ale oni potrzebowali czegoś więcej niż pierwszą pomoc. Odsunąłem sanitariusza i zrobiłem jednemu tracheotomię, żeby ułatwić mu oddychanie.

–I wszyscy wytrzeszczyli oczy?

–Na tym się nie skończyło. U drugiego ustąpiła akcja serca i przestał oddychać. Usta – usta i masaż klatki piersiowej nic nie dały. Nawet elektrowstrząsy nie odniosły skutku.

–I co zrobiłeś?

–Otworzyłem mu klatkę piersiową i uruchomiłem serce ręką.

–Boże! Co za ryzyko!

–Na szczescie oplacilo sie. Wreszcie obu zabral helikopter i wyszli z tego cala. Ale zdemaskowalem sie. Chlopcy na platformie latwo sie domyslili, ze mam nie tylko harcerska odznake za umiejetnosc udzielania pierwszej pomocy. Przyznalem uczciwie, ze jestem lekarzem. Poprosilem, zeby zachowali to w tajemnicy.

–I...?

–Byli wspaniali. Powiedzieli, ze doskonale rozumieja: skoro pracuje na platformie, to na pewno mam zakaz wykonywania praktyki, bo wykorzystywalem pacjentki pod narkoza; na moim miejscu robiliby to samo.

Tansy wybuchnela smiechem.

–Udalo mi sie ich przekonac, ze sa w bledzie. Wytlumaczylem, ze moge stracic zycie, jesli rozejdzie sie wiesc o lekarzu pracujacym na platformie wiertniczej. Obiecali, ze nie puszcza pary z ust. Wierzylem im. Do nikogo na swiecie nie mialem wiekszego zaufania. Zaproponowali mi nawet pomoc w rozwiazaniu mojego "problemu". Rzecz jasna, nie skorzystalem. Ale potem pomyslalem, ze dwaj z nich mogliby dla mnie cos zrobic.

–Jak to?

–Od poczatku sprawy z Lehman Steiner przesladowalo mnie poczucie bezsilnosc. Czulem tez strach, zlosc i rozpacz, ale najgorsza byla bezradnosc. Moglem wpadac we wscieklosc, a nie potrafilem nic zdzialac. Dobrze pamietalem wlasna biernosc, kiedy stalem na brzegu rzeki, majac za plecami dwoch skinow z Frontu Narodowego. Nie przeciwstawilem sie im, tylko czekalem na smierc.

–W takich okolicznosciach niewiele mogles zrobic – zauwazyla Tansy.

MacLean ozywil sie.

–Zrozum: chcieli mnie zabic i pozostawala mi jedynie ucieczka albo ukrywanie sie! Nie mialem innych mozliwosci.

–A jakie mogles miec?

–Walke. Moglem z nimi walczyc. Gdybym wiedzial jak.

–I tego nauczyli cie przyjaciele z platformy?

MacLean przytaknal.

–Mialem nadzieje, ze Lehman Steiner da mi spokoj, ale na wszelki wypadek

chcialem umiec cos wiecej, niz tylko uciekac.

–Opowiadaj.

–Wiedzialem, ze kilku moich nowych przyjaciol sluzyl w jednostkach specjalnych. Jeden z nich, Mick Doyle, byl w SAS. Drugi, Nick Leavey, mial stopien sierzanta spadochroniarzy. Zapytalem, czy mogliby mnie nauczyc, jak sobie radzic w mojej sytuacji.

–I zgodzili sie nauczyc cie wschodnich sztuk walki, zebys potrafil jednym kopniem wyslac przeciwnika do piekla? – domyslila sie Tansy.

MacLean usmiechnal sie.

–Mniej wiecej. Nie mialo to nic wspolnego z kursem samoobrony w YMCA w srodowe wieczory. Poznałem zasady prawdziwej, brutalnej walki, wszystkie brudne sztuczki. Okazalo sie, ze bardzo pomogla mi znajomosc anatomii i ludzkiej fizjologii. Doyle i Leavey wiedzieli, gdzie uderzac, a ja wiedzialem, dlaczego wlasnie tam.

–Kiedy rozbijales lod nogami... – zaczela Tansy.

–Nauczyl mnie tego Nick Leavey – wyjasnil MacLean. – To francuska sztuka walki zwana la savate.

–Stales sie ekspertem.

–Mozna tak powiedziec – przyznal MacLean. – Posiadlem chyba cala mozliwa wiedze na ten temat, ale zaszlo jeszcze cos. Im wiecej umialem, tym bardziej bylem pewny siebie. I ogarnial mnie gniew, ze Lehman Steiner zrujnowal mi zycie.

–Zapragnales sie zemscic?

MacLean zaprzeczyl.

–Dawno porzucilem ten zamiar. Chcialem tylko znow zyc jak kiedyś, wrocic do medycyny. Nie zamierzalem juz dluziej czekac. Czas Dana Morrisona dobiegl konca. Sean MacLean zaczal sie niecierpliwic.

–Sean... – powtorzyla Tansy. – Zapomnialam, ze tak ci na imie. Pasuje do ciebie.

MacLean pochylil sie i pocalowal ja czule. Zrobil to spontanicznie i sam nie wiedzial, dlaczego. Nie rozumial wielu rzeczy, ktore zdarzily sie w ciagu ostatnich dwoch dni. Tansy nie cofnela sie, ale nie odwzajemnila pocalunku. Dotknela delikatnie jego policzka.

–Mow dalej – poprosila cicho.

–Decyzje o opuszczeniu platformy podjąłem pod wpływem chwili. Akurat poleciliśmy do Aberdeen po dwóch tygodniach harówki. Jak zawsze pierwszego wieczoru na ladzie włożyliśmy się po pubach. I jak zwykle nasze grono powoli topniało. Ludzie urywali się kolejno do swoich dziewczyn i rodzin. O jedenastej zostało nas tylko trzech: Doyle, Leavey i ja. Wtedy powiedziałem im, że odchodzę; żarzykuje powrót do medycyny, nawet jeśli moi przeciwnicy nadal mnie tropią. Życzyli mi powodzenia. Na pożegnanie Mick Doyle dał mi w prezencie pistolet, który przy mnie znalazł. "Kompensator", jak go nazwał. Na wypadek, gdybym nie miał w walce równych szans. Poswiecił większość urlopu na uczenie mnie strzelania. Kiedy wrócił na platformę, ćwiczyłem sam. Miałem mnóstwo czasu, bo musiałem zaczekać, aż zagoją mi się rany. Dwa lata fizycznej pracy zrobiły swoje. Nie mogłem szukać posady lekarza z pokiereszowanymi dłońmi.

Tansy spojrzała na skutki kruszenia lodu. Ujęła rękę MacLeana i pocałowała.

–Przykro mi – szepnęła. Pokreślił głową.

–Nic się nie stało.

–Chcesz chwilę odpocząć?

MacLean przytaknął.

–Muszę zrobić zakupy – powiedziała Tansy. – Zabiorę ze sobą Carrie. Mam nadzieję, że zastaniemy cię tu po powrocie?

Skłonił głowę.

–Obiecujesz?

–Obiecuje.

Patrzył na odjeżdżającego mini i uśmiechał się do Carrie, która kleczała na tylnym siedzeniu i machała do niego.

Zapanowała zupełna cisza. Po wyjściu Tansy i Carrie domek przestał być miejscem pełnym życia. Teraz była to tylko budowla, martwa sterta cegieł i zaprawy. MacLean znów mógł jasno myśleć. Od początku wiedział, że pobyt tutaj to jedynie chwilowa zmiana planów. Rozejrzał się za swoim płaszczem. Nie zobaczył go w holu obok marynarki. Tansy gdzieś go schowała.

Zajrzał do dużej szafy w jej pokoju. Po lewej stronie znalazł płaszcz; poza tym była pusta. Czy Keith trzymał tu swoje ubrania? Zdjął okrycie z metalowego wieszaka, który zakolysał się i uderzył o sąsiednie. Dźwięk przypominał tybetańskie dzwony wzywające do modlitwy i brzmiał jeszcze długo. MacLean wpatrywał się w puste

wnętrze szafy. W końcu ją zamknął, włożył płaszcz i postawił kolnierz.

Zatrzymał się przy furtce i obejrzał na igloo i balwana.

–Zegnaj, panie Robbins – szepnął i poszedł w kierunku kanału. Zamierzał wrócić do miasta tą samą drogą, którą przyszedł.

Z każdym krokiem barwy dwóch ostatnich dni bladły wśród szarej, zimnej rzeczywistości. Kanał był wciąż zamrożony, ziemia twarda jak żelazo, a olowiane niebo ciemniało z minuty na minutę. MacLean spodziewał się śniegu, ale zaczął padać grad. Lodowe kulki siekły go w twarz. Pospiesznie schronił się pod mostkiem. Stał i patrzył na buty, słuchając swojego nierównego oddechu. Wetknął ręce głęboko w kieszenie płaszcza i wyczuł koperte. Zdziwił się, skąd się tam wzięła.

Wyjął ją i obejrzał. Była biała i zaklejona, bez żadnego napisu. Rozdarł ją niezgrabnie zdrewniałymi z zimna palcami. W środku znalazł kartkę z jednym słowem: "Obiecales!" Właśnie teraz, kiedy myślał, że czar przestał działać i udało mu się uciec, Tansy musiała mu o sobie przypomnieć! MacLean oparł czoło o zimny kamień. Co robić? Jeśli będzie zwlekał z wykonaniem swojego planu, nic dobrego z tego nie wyjdzie. Sprawi tylko ból niewinnym ludziom. A jednak... Życie, które poznał w ciągu ostatnich dwóch dni... Wyszedł na ścieżkę i ruszył z powrotem w stronę domku. Wiatr wiał mu w plecy. Nie był pewien, czy podjął słuszną decyzję, ale szedł dalej.

W ogrodzie zobaczył Carrie. Wyglądała na zagubioną. Usłyszała jego kroki i podniosła głowę.

–Wrócił pan! – wykrzyknęła. Potem zawołała do matki – Wrócił! Wrócił! Tansy wyszła z domku. MacLean poznał po jej oczach, że wie, co zamierzał zrobić.

–Chciałem tylko zaczerpnąć świeżego powietrza – skłamał. Skinęła głową, nie spuszczając go z oka.

–Ciesz się, że znów cie widzę. Wejdz, zrobie kawę.

–Wrociles do medycyny? – zapytala Tansy, gdy usiedli przy kominku.

–Tak – odrzekl MacLean. Wyciagnal rece w strone ognia i roztarl zziebniete dlonie.

– Przenioslem sie do Glasgow, wynajalem mieszkanie pod prawdziwym nazwiskiem i odnowilem kontakty z Brytyjskim Stowarzyszeniem Medycznym. Powiedzialem, ze bylem za granica i przeprosilem, ze sie nie odzywalem. Stracilem trzy lata i musialem je nadrobic. Ranki spedzalem w bibliotece uniwersyteckiej, czytając czasopisma medyczne. Wieczorami studiowalem najnowsze podreczniki.

Tansy usmiechnela sie.

–A co robiles popoludniami?

–Podtrzymywalem sprawnosc fizyczna. Plywalem albo biegalem.

–Nie prowadziles zadnego zycia towarzyskiego?

–Nie mialem czasu. Zapisalem sie do kilku towarzystw, glownie po to, zeby rozmawiac na rozne tematy. Przez dluzszy czas obracalem sie wsrod ludzi, ktorzy znali tylko dwa: pieniadze i kobiety.

–Do jakich towarzystw? – zainteresowala sie Tansy.

–Miedzy innymi chodzilem na konwersacje z francuskiego.

–Ty?! Po co?!

–Udawalem przed samym soba ze nie jezyk jest wazny, tylko tematy rozmow, a francuski znam dobrze.

–Musiales miec jakis ukryty powod.

MacLean przytaknal.

–Chcialem sobie przypomniec Jutte. Poczatkowo zawsze mi towarzysyla. Pamietalem kazdy szczegol, ale stopniowo wspomnienia zaczely sie zacierac. Czulem sie winny. Od blisko trzech lat nie mialem do czynienia z francuskim. Zapragnalem znow go uslyszec, zeby Jutte odzyla w mojej pamieci.

–Rozumiem... Udalo sie?

–Czesciowo. Ale bez wzgledu na to, jak bardzo sie czlowiek stara zachowac wspomnienia, z czasem wyblakna i rozwieja sie.

–To proces uzdrawiania – powiedziala Tansy. – Inaczej nikt z nas nigdy nie otrzasnalby sie z rozpaczy.

MacLean skinal glowa.

–Mowiles o kilku towarzystwach – przypomniała.

–Była też poezja angielska. Musiałem wreszcie wyjść z ubikacji.

–Slucham?! – wykrzyknęła.

Rozesmiał się.

–Kiedy wylądowałem na platformie wiertniczej, miałem w torbie trzy tomy poezji angielskiej. Pozwalały mi pozostać sobą wśród potężnych bicepsów i monosylabowych pomrukiwań. Chowalem się w kibelku, żeby poczytać. To był mój tajemny świat.

Tansy usmiechnęła się.

–Domyslam się, dlaczego trzymałeś to w sekrecie.

–Z czasem przekonałem się, że niepotrzebnie.

–Dlaczego?

–Złe ocenilem nowe towarzystwo; pozory myła. Jeden z nas był wiecznym studentem filozofii greckiej. Inny malował cudowne akwarele, ptaki morskie.

–To zdumiewające, co ludzie potrafią, jeśli mają do czegoś serce.

–Zgadza się.

–Wtedy wstąpiłem do klubu poezji. Popijałem herbatkę z damami z Kelvinside i zjadałem kruche ciasteczka domowego wypieku. Dyskutowałem o Byronie i Keatsie i uprzejmię oklaskiwałem panią Williams.

MacLean był zaskoczony.

–Mniej więcej. Nie wytrzymałem długo, to nie dla mnie. Ale skąd wiesz?

–Próbowałam tego samego z podobnym skutkiem. Wprawdzie nie w Glasgow, tylko tutaj, w Edynburgu. Po śmierci Keitha nadszedł w końcu czas, żeby "włączyć się do życia". Wstąpiłam do klubu poezji.

–Lubisz poezję?

–Bardzo.

–A czyja najbardziej?

–Elizabeth Barrett Browning, kiedy jestem zakochana, i Phillipa Larkina, kiedy jestem przygnębiona.

–Czy to przypadkiem nie pogłębia tego stanu? – zapytał MacLean.

Tansy usmiechnęła się.

–Owszem. Opowiadaj dalej.

–Dostałem prace na oddziale oparzeń w szpitalu Królowej Charlotty.

–A więc zgodnie z twoją specjalnością!

–Niby tak... – westchnął MacLean. – Ale po cytogerminie ciężko mi było cofnąć się do epoki bolesnych przeszczepów skóry i patrzeć na długie cierpienia pacjentów.

–Mogę ci zadać głupie pytanie?

–Proszę bardzo.

–Czy nie istniała możliwość sprawdzenia, którzy pacjenci mają utajonego raka, zanim poddano ich kuracji z zastosowaniem cytogermu?

MacLean usmiechnął się.

–To wcale nie jest głupie pytanie. W Genewie zadawałem je sobie milion razy, ale odpowiedź zawsze brzmiała: nie.

–Za duże ryzyko?

–Najbardziej optymistyczne wyniki badań wskazywały, że z powodu działań ubocznych cytogermu zmarłby jeden pacjent na dwunastu. Z taką statystyką żadna firma farmaceutyczna nie mogłaby się ubiegać o zezwolenie na wprowadzenie leku na rynek. A żaden rząd przy zdrowych zmysłach nie wydałby go. Zauważ, że...

MacLean urwał. Tansy cierpliwie czekała, wreszcie ponagliła: – Mów.

–To wyłącznie moje zdanie, ale gdybym miał zniekształconą twarz i ktoś dałby mi szansę odzyskania dawnego wyglądu, nie wahałbym się. Oczywiście zakładając, że nie byłoby żadnych problemów prawnych.

–Tak myślałam. Więc dlaczego firma zrezygnowała z cytogermu?

–Podejrzewam, że właśnie z powodu ewentualnych problemów prawnych. Poza tym

w takiej sytuacji lek nie przyniosłby zysku. Nie można byłoby go używać do zabiegów kosmetycznych. Prawde mówiąc, w ogóle nie znalazłby zastosowania. Chyba że w wypadku najcięższych oparzeń.

–Ale to nie wyjaśnia, dlaczego firma postanowiła zatrzeć po nim wszelkie ślady – zauważyła Tansy.

–Nie – zgodził się MacLean. – Długo się nad tym zastanawiałem, ale nadal tego nie rozumiem.

–Czy przy wprowadzaniu nowego leku zawsze chodzi przede wszystkim o pieniądze?

–Krotko mówiąc, tak. Mimo najszerszych chęci nie da się prowadzić firmy farmaceutycznej bez osiągnięcia zysku. Takie jest życie. Najlepsi w branży mogą sobie czasem pozwolić na dobroczynność, najgorsi nie. Ale zawsze głównym motywem działania jest zysk.

–Chyba nigdy nie rozumiem, jak firmy farmaceutyczne mogą siedzieć na stosach leków, gdy na całym świecie umierają ludzie, którym te leki mogłyby uratować życie – oburzyła się Tansy.

–To bardzo uproszczony punkt widzenia – zaprotestował MacLean. – Nikt nie rozdaje za darmo telewizorów i podobnie jest z lekami.

–Wygląda na to, że trzymasz ich stronę!

–Jestem realista. Nauczyły mnie tego ostatnie trzy lata. Tylko rządy są w stanie rozdawać leki.

–Wiec dlaczego tego nie robią? – natarła Tansy.

MacLean bezradnie rozłożył ręce.

–Nie wiem – wyznał.

Tansy uśmiechnęła się przepraszająco.

–Wybacz, że się uniosłem. Opowiadaj dalej. Skonczyłeś na nowej pracy.

–Wszystko szło dobrze i nagle koszmar zaczął się na nowo. Był piękny sierpniowy wieczór. Około siódmej spadł przelotny deszcz i wokół pachniało świeżą trawą. Wyszedłem ze szpitala o dziewiątej i wracałem do domu w dobrym nastroju. Kiedy skręciłem w moją ulicę, zauważyłem mezczyznie. Stał po drugiej stronie i oglądał wystawę sklepową na rogu. Może po pięćdziesięciu metrach uswiadomilem sobie, że

juz go przedtem widzialem.

–Znales go?

–Nie, ale poprzedniego wieczoru stal w tym samym miejscu.

–Moze czekal na autobus? – zasugerowala Tansy.

–Tez tak pomyslam – przyznal MacLean. – Ale dzien wczesniej wracalem do domu o innej porze, wiec nie mogl czekac na ten sam autobus. Dzieki lekcjom Doyle'a i Leaveya mialem wyostrzony instynkt. Zaczalem podejrzewac, ze jest z Lehman Steiner.

–Co zrobiles?

–Najpierw wpadlem w panike – wyznal MacLean. – Nie moglem uwierzyc, ze jeszcze mnie tropia. Nie chcialem w to wierzyc! Wskoczylem do autobusu i pojechalem do srodmiescia. Musialem spokojnie pomyslec. Wlozylem sie bez celu przez kilka godzin i wynajdywalem tysiace niewinnych powodow, dla ktorych tamten facet mogl stac w poblizu mojego mieszkania. Ale w glebi serca wiedzialem, o co mu naprawde chodzi.

Tansy polozyla MacLeanowi dlon na ramieniu.

–Wrocilem do domu inna droga – ciagnal. – Podoszedlem do budynku od tyłu, uliczka wzdluz parku. Nikt nie mogl mnie widziec. Tamten stal w wejsciu naprzeciwko moich drzwi. Nie zadal sobie trudu, zeby mnie sledzic do srodmiescia, bo znal moj adres. Wiedzial, ze kiedys wroce. Dobrze sie przygotowal. Poznal moje zwyczaje i czekal na wlasciwy moment. Nie byl skinem z brytyjska flaga. Sprawial wrazenie zawodowca i przerazal mnie. Nick Leavey zawsze mowil: "Nie przejmuj sie motlochem w skorzanych kurtkach. Zawsze wlocza sie grupkami, jakby wyskakiwali z ulicznych automatow w paczkach po pieciu. Ale zalatw jednego, a reszta prysnie. Beda zalowac, ze wyszli z domu, zamiast bawic sie kolejka. Prawdziwi zawodowcy nie udaja twardzieli. Wygladaja jak urzednicy bankowi, bo wiedza ze to daje im przewage".

–Poszedles na policje?

–I co bym im powiedzial? – MacLean usmiechnal sie. – Ze lazi za mna jakis facet? – Przeczaco pokrecil glowa.

–Mogles im opowiedziec cala historie – odparla Tansy.

–Juz probowalem. W Szwajcarii i we Francji. Nasza policja zareagowalaby tak samo. Zaden glina nie lubi wszczynac sledztwa przeciwko wplywowym ludziom. Dyrektorzy

firmy Lehman Steiner to nie byle kto. Prościej uznać zwykłego człowieka za czubka i odesłać go z kwitkiem niż burzyć ustalony porządek rzeczy i niepokoić możliwych tego świata.

–Chyba jesteś niesprawiedliwy.

–Już ci mówiłem; jestem realista.

–Więc nie poszedł na policję? – Nie.

–Ale poradziłeś sobie, jak widać.

–Facet mnie nie docenił. Popelniał ten jeden błąd, i to nie z własnej winy. Dobrze odrobił lekcje. Wiedział, kim jestem, gdzie mieszkam i gdzie pracuję. Ale skąd mógł wiedzieć, czego nauczyli mnie Doyle i Leavey? Nie wiedział również tego, że go zauważyłem. Nadszedł czas, by sprawdzić w praktyce, co potrafię.

–Co wtedy czułeś? – zapytała Tansy.

–Strach – wyznał MacLean. – Jakbym uczył się pływania z książki i po raz pierwszy miał skoczyć do wody.

–Wyobrażam sobie – uśmiechnęła się.

Pokreślił głową z poważną miną.

–Nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Codziennie zmieniałem zwyczaje, żeby nie mógł zaplanować ataku w drodze do pracy. W szpitalu bałby się mnie tknąć, więc pozostawało mu mieszkanie. A zatem wieczor. Przez cztery noce obserwowałem go zza zasłony w oknie. Stał przed sklepem po drugiej stronie ulicy. Za piątym razem przyniósł walizeczkę. Już wiedziałem, że teraz uderzy.

–Musiałeś żyć w strasznym napięciu.

–Kiedy zobaczyłem, że wchodzi do budynku, zrobiło mi się niedobrze. Po pierwszym dzwonku sparaliżował mnie strach. Ocknałem się po drugim. Ostrożnie otworzyłem drzwi. Nie podejrzewałem, żeby zawodowiec zaryzykował strzelanie do mnie z klatki schodowej. Przedstawił się jako Miller z Towarzystwa Ubezpieczeniowego "Przezorność". Zapytał, czy interesuje mnie polisa na życie.

–Dobry Boże! – szepnęła Tansy. – Coś takiego!

–Prawda? – przytaknął MacLean. – Wyciągnął wizytówkę. Udawałem, że ją biorę. Zamiast tego chwyciłem go za nadgarstek, wykreśliłem mu rękę za plecy i złamałem.

Tansy skrzywiła się.

–Musze mu oddac sprawiedliwosc: zareagowal prawidlowo. Omal nie urwal mi glowy druga reka. Ale Leavey zawsze mnie ostrzegal, zeby nie ustepowac, dopoki facet nie lezy na ziemi. Zwalilem go z nog i wciagnalem do mieszkania.

Tansy byla wstrzasnieta. – Ale chyba go nie zabiles?!

–Nie. Stracil tylko przytomnosc. Przeszukalem go. W walizeczce znalazlem pistolet z tlumikiem. Nie mial zadnych dokumentow. Kiedy doszedl do siebie, przystawilem mu do twarzy lufe mojej broni i zazadalem wyjasnien.

–Przyznal sie, ze pracuje dla Lehman Steiner?

–Do niczego sie nie przyznal. Wydawal sie wrecz ubawiony.

–Ubawiony?! – wykrzyknela Tansy.

–Wiem, ze to brzmi smiesznie – zgodzil sie MacLean. – Trzesly mi sie rece, tetno skoczylo pewnie do stu piecdziesieciu, a on siedzial ze zlamana reka i usmiechal sie.

–Ale chyba cos powiedzial?

–Nic sensownego. "Zaskoczyles mnie, doktorze, ale to na nic. Nie wygrasz. Der Amboss to potega".

–Co mial na mysli? MacLean wzruszyl ramionami.

–Nie wiem.

–Wezwales policje? Miales w reku dowody: zabojce i bron.

–Probowalem.

Tansy wygladala na zdziwiona.

–Wyszedlem do przedpokoju, zeby zatelefonowac. Bylem przy drugiej dziewiatce, gdy poczulem na policzku podmuch. Ktos otworzyl okno. Wpadlem z powrotem do pokoju i zobaczylem, ze moj gosc zniknal.

–Uciekl?

–Powiedzmy. Mieszkalem na czwartym pietrze. Kiedy wychylilem sie przez okno, lezal rozkrzyzowany na ulicy.

–Skoczyl z czwartego pietra?! – zapytala ze zgroza Tansy.

MacLean przytaknal.

–Ale dlaczego?

–Moze ze strachu.

–Przed czym?

–Nie mam pojecia.

–Co powiedziales policji?

–Nic. Kiedy sie pojawil, dookola nie bylo zywej duszy. Zamknalem okno i juz. Liczyłem na to, ze nikt sie nie zorientuje, ze wypadl z mojego mieszkania. Schowalem jego pistolet i walizeczke i nabralem wody w usta.

–Ale policja chyba do ciebie przyszla?

–Owszem. Zachowali sie bardzo uprzejmie. Zapytali, czy znalazem niejakiego Henry'ego Millera. Odparlem, ze nie.

Tansy nie wierzyła własnym uszom.

–Nie pytali o nic wiecej?!

–Pamiętaj, ze mieli do czynienia z lekarzem, porzadnym obywatelem, filarem spoleczenstwa. – MacLean zrobil wyrazna aluzje do swojego wczesniejszego zdania na temat policji.

–Ale zostala u ciebie bron i walizeczka – nie ustepowala Tansy.

–Nastepnego dnia wlozylem do niej kilka cegiel i wrzucilem wszystko do rzeki Clyde.

–Jakbym sluchala jednego z tych twoich "zawodowcow" – stwierdzila Tansy.

MacLean popatrzył na nia. Zorientowala sie, ze palnela glupstwo.

–Przepraszam, nie mialam na mysli nic... – zaczela i urwala, bo pokrecil glowa. Wyczula, ze chce cos powiedziec, ale milczal. Czekała.

–W pewnym sensie juz nim bylem – odezwal sie po chwili. – Doyle i Leavey okazali sie dobrymi nauczycielami i zdalem egzamin. Ale...

–Tak?

–Zle sie z tym czulem. Podjalem te gre, ale nie nadawalem sie do tego. – Spojrzal na Tansy szeroko otwartymi oczami, jakby szukal zrozumienia. – Spedzilem dluzszy

czas w toalecie. Wymiotowałem i przeżywałem wszystko od początku. Byłem lekarzem, nie zbrojca. Nie mogłem spać ani jeść. Zadawałem sobie pytanie, co robić, do diabła? Odpowiedź nie przyniosła mi ulgi. Po prostu musiałem czekać na następnego faceta w szarym garniturze. Wiedziałem, że tak to będzie trwać, dopóki sam z tym nie skończę. Rozumiesz?

Tansy pomyślała, że jeszcze nigdy nie widziała w niczyich oczach takiego bólu.

–Obawiam się, że tak – odrzekła cicho. – To ostatnia rzecz na świecie, którą chciałabym ci powiedzieć, ale tak jest. Naprawdę przeżyłeś piekło.

–Właściwe słowo – zgodził się MacLean. Pokiwała głową.

–Wiem zdecydowałeś się na samobójstwo.

–Postanowiłem dać się zabić przy następnej okazji. Pomyślałem, że jeśli nie ucieknę, nie będę musiał długo czekać na kolejnego mordercę. Kiedy się pojawi, ułatwię mu zadanie. Umrze szybko i bezboleśnie.

–Rzeczywiście wkrótce się pojawił?

–Nie minęły nawet dwa tygodnie. Od razu go zauważyłem. Wszedłem do szpitalnej stołówki, a on siedział i rozwiązywał krzyżówkę w "Timesie". Elegancki garnitur, dobrze dobrany krawat, okulary... Wyglądał na urzędnika.

–Albo na bankowca? – przypomniała Tansy.

–Zgadza się – przytaknął MacLean. – Natychmiast zacząłem powtarzać codzienne czynności o tych samych porach, żeby bez trudu mógł zaplanować zamach. Wybrałem nawet miejsce.

–Co?! – wykrzyknęła Tansy.

–Co wieczór wychodziłem z domu o dziewiątej, wstępowałem na drinka do pobliskiego pubu i szedłem na spacer nad rzekę. O tej porze było tam ciemno i pusto. Uważałem, że to wykorzysta.

–Dlaczego chciałeś umrzeć właśnie tam?

–Podobało mi się otoczenie. Cisza i spokój, rzeka, trawa, drzewa... Lubilem to wszystko. Dobre miejsce do umierania.

–Ale nie zginales.

–I nie wiem, dlaczego – dodał MacLean.

–Nie sprobował? – zdziwila sie Tansy.

–O tak – odrzekl w zamysleniu MacLean. – Sprobował. Uslyszalem nawet strzal. Oczywiscie mial bron z tlumikiem, ale i tak uslyszalem. Stalem jak idiota, czekalem na smierc i nic.

–Chybil?

–Trudno uwierzyc, zeby zawodowiec spudlowal z tak malej odleglosci.

–Jak sie skonczylo?

–Bylem zbity z tropu, a potem stracilem panowanie nad soba. Raz moglem stanac przed plutonem egzekucyjnym, ale nie wiecej. Ucieklem. Wpadlem do mieszkania i zaryglowalem drzwi. Przywarlem do nich plecami, a po twarzy splywal mi pot. Wstrzymywalem oddech, zeby w pore uslyszec jego kroki na schodach.

–Przyszeli?

MacLean pokrecil glowa.

–Nastepnego dnia przeczytalem w gazecie, ze nad rzeka znaleziono zwloki mezczyzny.

–Przez pomylke zastrzelil kogos innego?! – wykrzyknela zdumiona Tansy.

–Tez tak myslalem – przyznal MacLean. – Wprawdzie nikogo tam nie widzialem, ale to wydawalo sie najbardziej prawdopodobne. Gazety podaly, ze zabity nie mial dokumentow i zamiescily policyjny rysopis. Wygladal znajomo.

–Znajomo?

–Poszedlem do kostnicy pod pretekstem, ze rysopis przypomina mojego sasiada, ktorego nie widuje od kilku dni. Pokazali mi cialo.

–Rozpoznales je?

–Tak. To byl "urzednik" we wlasnej osobie.

Tansy otworzyla usta. Potrzasnela glowa jakby nie mogla w to uwierzyc. – Zastrzelil sie?!

–Watpie, zeby potrafil wpakowac sobie kule w kark – odparl MacLean. – Ktos go wyreczyl.

–Ale kto?!

–Najprostsze wytłumaczenie jest takie, że nasłano na mnie dwóch zbrojczyków. Całkiem możliwe... po poprzednim nieudanym zamachu. I przez pomyłkę jeden zastrzelił drugiego.

–Tak naprawdę chyba w to nie wierzysz?

–Nie, ale wtedy już mnie to nie obchodziło. Zrezygnowałem z pracy, uporządkowałem swoje sprawy, jak to mówią i złapałem pierwszy pociąg do Londynu.

–Znow uciekałeś.

–Tylko chwilowo. Potrzebowałem trochę czasu. Musiałem się uspokoić, żeby sam mogłem to załatwić. Zastanawiałem się, czy przed śmiercią chcę jeszcze coś zrobić. Zapragnąłem po raz ostatni wrócić do czasów dzieciństwa. Odwiedzić okolice, w których wyrosłem, zobaczyć szkoły, parki, kanał...

–I właśnie to robiłeś, kiedy uratowałeś Carrie?

MacLean przytaknął.

–Teraz wiesz wszystko.

Tansy milczała przez chwilę, wreszcie wzniosła oczy ku niebu i westchnęła przeciągle.

–A to ci historia, doktorze... – MacLean nie odezwał się. Wzięła go za rękę. – I co teraz, Sean? Co będzie dalej?

MacLean odwrócił wzrok i spojrzał w przestrzeń.

–Nic się nie zmieniło, Tansy. Koszmar trwa. Miałem tylko kilka dni wytchnienia, to wszystko.

–Zostan ze mną i z Carrie – poprosiła.

–Nie mogę – odrzekł smutno. – Sprowadziłbym do tego domu śmierć. Wystarczy, że przeze mnie zginęła Jutte. Oni mnie tu znajdą.

–Tylko wtedy, jeśli będziesz występował pod własnym nazwiskiem i pracował jako lekarz. Ale nikt nie zna Dana Morrisona. Mogłbyś znow nim być!

–To nie byłoby w porządku wobec was – zaprotestował MacLean.

–Bzdura! – zaprzeczyła Tansy. – Zostajesz! MacLean powstrzymał ją gestem.

–Zaczekaj. Musze wiedziec, dlaczego tego chcesz. Spojrzala mu prosto w oczy.

–Nie jestem pewna. Wiem tylko, ze postepuje slusnie. Dluugo sie zastanawial.

–Sprobuj! – zniecierpliwila sie Tansy. Zawahal sie, w koncu skinal glowa.

Mrozna zima ustepowala miejsca niezdecydowanej szkockiej wiosnie. Drzewa nad kanalem wypuszczaly pierwsze paki, w kroplach deszczu na galeziach mienilo sie slonce. Ogród przy białym domku budzil sie do zycia i wymagal porzadkow. MacLean i Carrie zajmowali sie tym z przyjemnoscia. Ostatnie trzy miesiace dobrze wplynely na psychike MacLeana. Znow nauczyl sie smiac. Z jego oczu zniknal ponury wyraz, zaokrąglil sie na twarzy. Wszyscy troje na nowo odnalezli szczescie i strzegli go zazdrosnie przed swiatem zewnetrznym, jakby w obawie, ze nagle sie rozwieje niczym poranna mgla. Nie robili planow i nigdy nie rozmawiali o przyszlosci.

Tansy stopniowo zrywala kontakty z przyjaciolmi. MacLean czul sie winny, ale nawet nie chciala o tym slyszec.

–Wiesz, jak cie nazywaja za moimi plecami? – zapytala kiedys. – Prostakiem!

Uśmiechnal sie. Oburzenie Tansy rozbawilo go.

–No coz... Wybralas sobie robotnika.

–Ale jestes duzo inteligentniejszy niz oni! – wsciekala sie. – Uprzejmiejszy, lagodniejszy i... – zabraklo jej slow. MacLean wzial ja w ramiona.

–No juz, juz... – uspokajal. – Nie badz dla nich taka surowa. To tylko ludzie. Jeden im imponuje, na innego patrzy z gory, tak juz jest. Pewnie po prostu nam zazdroszcza.

Tansy walnela go piesciami w piers.

–Dlaczego musisz byc taki... cholernie wyrozumialy?! – wykrzyknela z udawana zloscia.

Oboje parskneli smiechem.

Carrie przyzwyczaila sie, ze dom rozbrzmiewa smiechem i cieszyła sie z tego. Lubila MacLeana. Podobal jej sie zwlaszcza sposob, w jaki do niej mowil. Nie zmienial glosu, nie stroil min i nie gadal glupstw jak wiekszosc doroslych. Mogla z nim porozmawiac i zadawac mu pytania. Udzielal jej sensownych odpowiedzi. Nie smial sie z niej i nie drapal sie w glowe jak wujek George. I nie laskotal jej w brzuch jak ciocia Jane.

MacLean tez lubil Carrie. Przypominala mu wlasne dzieciństwo spedzone nad

kanalem. Kanal ciągnął się od basenu portowego w sercu Edynburga do miasteczka Falkirk położonego dwadzieścia mil na zachód. Jeszcze przed urodzeniem MacLeana przestano go używać jako drogi wodnej. Stał się nieoficjalnie podmiejskim rezerwatem przyrody. Blżej miasta wykorzystywano go do celów rekreacyjnych. Uczniowie pływali tu na kajakach, a studenci urządzali regaty wioślarskie. Trenerzy jechali na rowerach ścieżką wzdłuż kanału i wykrzykiwali swoje uwagi.

W sobotnie poranki MacLean i Carrie mieli zwyczaj wyruszać na wyprawy. Brali słoik i bambusowe kijki z małymi siatkami na końcach. Zapuszczali się w pobliskie lasy i nad wodę i przynosili Tansy dziwy natury. Witła ich gorąca czekolada i wykrzykiwała "och" i "ach". Zanim Carrie zdjęła żółtą pelerynkę i ulubione czerwone kalosze, robiła mamie wykłady z przyrody na środku kuchni.

MacLean słuchał jej z przyjemnością. Stał oparty o framugę drzwi i przyglądał się, jak z ożywieniem opowiada o swoich zdobyczach. Dziecięce przejeżdżenia dodawały uroku tym przedstawieniom. Wymieniali z Tansy spojrzenia i zawsze znajdowali sposób, by poprawić "nauczycielkę" bez obrazania jej. Cieszyli się, że Carrie zdobywa wiedzę i nabiera pewności siebie.

Związek MacLeana z Tansy nabierał treści. Niemal codziennie jedno odkrywało u drugiego nową cechę: siłę lub wrażliwość, co pogłębiało wzajemną miłość. Nie ukrywali przed sobą przeszłości. Tansy otwarcie mówiła o swoim życiu z Keithem, a MacLean opowiadał o Jutte. Działo to na niego kojąco. Oboje otrzasnęli się z rozpacz, ale zachowali czule wspomnienia po ukochanych osobach. Żadne nie traktowało drugiego jako namiastki.

Od początku ustalili, że nie będą się wzajemnie krepować. MacLean miał własny pokój, Tansy pozostała w swoim. Nie oznaczało to braku seksu w ich życiu. Nocne odwiedziny stwarzały atmosferę "nielegalności"; uważali je za zabawne i podniecające.

Oddzielne pokoje pozwalały im pograć się w samotności, gdy ktoreś z nich tego potrzebowało. Stanowiły ich sanktuaria, gdzie druga osoba nie miała wstępu bez zaproszenia. Na początku MacLean często zniknął u siebie. Wyrzucał sobie, że został; bał się, że w końcu sprowadzi nieszczęście na Tansy i Carrie. Z czasem Tansy przekonała go, żeby przestał się zadreczać. Miejsce Seana MacLeana i jego mrocznego świata zajął Dan Morrison. Był robotnikiem, ciężko pracował i niewiele zarabiał. Ale psychicznie czuł się o niebo lepiej.

6

MacLean otworzył oczy i przypomniał sobie, że jest sobota, dzień wyprawy z Carrie. Zdziwił się, że jeszcze nie przyszła go obudzić. Ale zegarek przy łóżku wskazywał

dopiero siódma. Przez szpary w zasłonach przedostawał się promień słońca i padał mu na twarz; to go obudziło. Z ulgą powitał ładną pogodę. Wprawdzie umówili się z Carrie, że będą wychodzić nawet w deszcz, ale nie przepadał za tym. W ostatnie trzy soboty lalo.

Ostrożnie wysliznął się z łóżka, żeby nie obudzić Tansy. Poruszyła się. Nakrył jej ramiona kołdrą i delikatnie uspokoił. Przez chwilę siedział obok i patrzył na nią. Myślał o tym, jak spokojnie wygląda we śnie i ile dla niego znaczy.

– Kocham cię, pani Nielsen – szepnął.

Poszedł do kuchni i włączył elektryczny czajnik, żeby zrobić kawę. Czekał, aż woda się zagotuje, wyglądał przez okno. Wiosenne słońce nadawało złocistą barwę trzcinom na mokradłach za domkiem. Wiał lekki wiatr. Wszystkie zdzbiały trawy kołysały się jednocześnie, jakby dawał im znaki niewidzialny dyrygent. Po błękitnym niebie płynęły pierzaste obłoki. Zapowiadał się piękny dzień.

MacLean kończył kawę, kiedy zjawiała się Carrie ze swoim nieodłącznym pluszowym misiem.

– Dzisiaj jest sobota! – oznajmiła.

– Pssst! Obudzisz mamę – ostrzegł MacLean.

Carrie wciągnęła głowę w ramiona i położyła palec na ustach. Ta wymowna pantomima miała oznaczać, że czuje się winna. Przeszła przez kuchnię na palcach, stawiając wielkie kroki.

MacLean uśmiechnął się.

– Chcesz śniadanie?

– Tak, poproszę – odrzekła szeptem.

– Nie przesadzaj, Carrie. Nie musisz być aż tak cicho.

Zachichotała i usiadła przy stole. MacLean nasypał jej płatki i zalał zimnym mlekiem. Kilka upadło na blat. Pozbierała je i włożyła do buzi.

– Jak myślisz, złapiemy dzisiaj osmiornice? – zapytała. – Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie ma ich w kanale – wyjaśnił MacLean. – Aha. – Carrie ze zrozumieniem pokiwała głową.

Po jedzeniu MacLean wysłał ją do łazienki, żeby umyła twarz, ręce i zęby. Zapowiedział, że sprawdzi, czy ma czyste uszy. Wrocila już w pelerynce i czerwonych gumowcach. MacLean udal, że sprawdza jej uszy.

–Można tam sadzić kartofle! – stwierdził.

–Wcale nie! – zaprotestowała. – Umylam je! Przyznał, że nie jest tak źle.

Z sypialni dobiegł głos Tansy:

–O co się tak kłócicie?

MacLean i Carrie spojrzeli na siebie.

–Przepraszamy – powiedział ze skrucha MacLean. – Nie chcieliśmy cię obudzić. Kawy?

–Poproszę – mruknęła sennie Tansy.

Carrie w podskokach weszła pierwsza. MacLean podał za nią filiżankę. Tansy uniosła się na łokciu i wzięła kawę.

–Możemy już iść, wujku Dan? – przynagliła Carrie. MacLean zerknął pytająco na Tansy.

–Chyba tak.

Tansy uśmiechnęła się.

–Idźcie, idźcie. Milego dnia.

Carrie pocałowała ją soczyskie w usta i wybiegła z pokoju.

–Do zobaczenia – powiedział MacLean.

Carrie kroczyła przodem, MacLean szedł za nią i niosł bambusowe wedki. Mała rozgarniała wysoka trawę, która miejscami ją przerastała, i oglądała się, czy nie jest sama. MacLean pamiętał, co się czuje w tym wieku w takich chaszczach. Przypominał sobie ciągle strach przed zablądzeniem, zapach mokrych trzcin i ich nieprzyjemna twardość, kiedy ocierały się o twarz. Carrie aż podskoczyła z radości, gdy wreszcie wyszli na ścieżkę i otwartą przestrzeń. Odwrocila się i uśmiechnęła do MacLeana.

Wysoki trawiasty brzeg skończył się. Doszli do niskiego, brukowanego nabrzeża. Carrie mogła się tu bezpiecznie zbliżyć do wody. Położyła się na brzuchu i uważnie obserwowała wszystko pod powierzchnią. MacLean przykucnął obok. Interesowała

go mina Carrie. Była bardzo skoncentrowana, chciała wiedzieć wszystko o świecie pełnym dziwów, którego jeszcze nie poznała. Podniosła głowę, żeby spojrzeć na MacLeana, ale nagle jej uwagę przykuło coś innego. Wpatrywała się w przestrzeń nad jego lewym kolaniem.

–To znów ten pan – powiedziała. Z powrotem odwróciła się do wody i zanurzyła słoik.

MacLean myślał, że się przesłyszał. Popatrzył w tamtą stronę, ale nikogo nie zauważył. Mimo to przeszedł go zimny dreszcz. Zaskło mu w gardle i musiał odchrząknąć.

–Jaki pan?

–Ten sam, co przy parkanie szkoły.

–Opowiedz mi o nim, Carrie.

Zignorowała jego prośbę. Lapiała właśnie jakieś stworzenie. MacLean poczuł, jak skacze mu tętno. Nie mógł czekać.

–Opowiedz mi o tym panu – rozkazał stanowczym tonem. Carrie przestraszyła się jego głosu. Spojrzała na niego niepewnie.

–Czy ten pan rozmawiał z tobą? – zapytał MacLean.

–Pytał o tate.

–I co powiedziałaś?

–Ze tatus jest w niebie.

Dziecinna odpowiedź uswiadomiła MacLeanowi, że wystraszył Carrie. Patrzyła na niego niesmiało. Wzjął ją w ramiona i przytulił. Z ulgą położyła głowę na jego piersi.

–Stało się coś złego, wujku Dan?

–Nie wolno ci rozmawiać z obcymi, Carrie.

–Przepraszam.

MacLean był pełen podejrzeń. Próbował się ich pozbyć, szukając jakiegos prostego wytłumaczenia. Mezczyzna zapewne mieszka w pobliżu. Odbierał dziecko ze szkoły i zwyczajnie zapytał Carrie, gdzie jest jej ojciec. Nie trafiało mu to jednak do przekonania. A może to jakiś zbieg okoliczności, który kreci się przed szkołami? Trzecia możliwość przypominała ciemną chmurę, która nagle przesłoniła słońce. To człowiek

z Lehman Steiner. Znaleźli go. Koszmar zaczął się od nowa.

–Dobrze się czujesz, wujku? – zapytała Carrie. MacLean zerknął na nią i spróbował się uśmiechnąć.

–Jak wyglądał ten pan?

–Był stary.

Jak każdy powyżej osiemnastu lat, pomyślał MacLean.

–Możesz powiedzieć o nim coś jeszcze, Carrie?

Zastanowiła się.

–Był trochę podobny do wujka George'a.

–A jaki jest wujek George? – Wazny.

–Wazny?

–Wujek George odpowiada za fure pieniędzy. Mama mi mówiła. Pracuje w banku.

Tamten obcy był w garniturze i krawacie, domyślił się MacLean, co niekoniecznie oznaczało, że to jeden z "zawodowców" Leaveya, ale na pewno tego nie wykluczało.

MacLean wlokł się za Carrie, jakby miał nogi z ołowiu. Nie mógł się skoncentrować na tym, co mówiła. Myślał tylko o jednym: to wszystko jego wina. Naiwnie uwierzył, że może rozpocząć nowe życie i teraz przyjdzie mu zapłacić za własną głupotę. Jeśli go znaleźli, musi się natychmiast rozstać z Tansy i Carrie. Zbyt wiele dla niego znacza. Gdyby został, naraziłby je na śmiertelne niebezpieczeństwo. Idiota! Powinien był to przewidzieć.

Carrie znów przystanęła, żeby popatrzeć na wodę. MacLean przyglądał się jej. To ich ostatnia wspólna wyprawa. Skryte marzenia się rozwiały; nie zobaczy, jak to dziecko dorasta, nie będzie go przy niej. Jego miłość do Tansy była tylko okrutnym żartem losu, jak chybiony cios noża. Wkrótce wróci na drogę swojego przeznaczenia.

Carrie wiedziała, że coś jest nie tak. Znała zachowanie dorosłych. W takich razach przestawali się odzywać i nie słyszeli, co się do nich mówi. MacLeana nie interesowały dziś jej odkrycia, jak to zwykle bywało. Nawet nie rzucił okiem na słoik. I ciągle zerkał na zegarek.

Czuła się nieswojo. Chciała się rozplakać, tylko nie była pewna dlaczego. Nie zaprotestowała, kiedy MacLean zarządził powrót, ale nie pobiegła przodem jak

zawsze. Została obok niego i wzięła go za rękę. Od czasu do czasu spoglądała w górę, szukając na jego twarzy uśmiechu. MacLean czuł ciepło jej małej dłoni. Pragnąłby ta chwila trwała wiecznie. Przepelniał go smutek i palący gniew.

Tansy obierała ziemniaki. Odwróciła się od zlewu, spodziewając się wybuchu entuzjazmu. Nie doczekała się. Carrie wprawdzie się uśmiechnęła, ale w milczeniu postawiła słoik na kuchennym stole. Tansy spojrzała pytająco na MacLeana i zobaczyła jego ponurą minę. Zastygła z mokrymi rękami, czekając na wyjaśnienia.

MacLean polecił Carrie, żeby zaniósła wędkarskie siatki do ogrodowej szopy. Wyszła bez słowa. Wtedy opowiedział Tansy o nieznanym mężczyźnie nad kanałem. Próbowła znaleźć jakieś niewinne wytłumaczenie, ale wyczytała z jego twarzy, że obawia się najgorszego.

–Muszę odejść – powiedział. – Nie chcę was narazić.

–Nie możesz tak po prostu zniknąć z naszego życia! – zaprotestowała Tansy. – Coś wymyślimy. Nie masz pewności, że temu obcemu chodzi o ciebie.

Zamilkli, bo wróciła Carrie. Wszyscy troje stali chwilę w ciszy. Tansy błagalnie popatrzyła na MacLeana, potem kazała Carrie zdjąć pelerynkę i kalosze. Carrie rozebrała się posłusznie. Nie odezwała się.

–Nie jesteśmy warte tego, żebyś o nas walczył? – zapytała Tansy. MacLean poczuł się zakłopotany.

–Nie o to chodzi... – zaczął, ale przerwała mu.

–Właśnie o to! Powinieneś się przynajmniej dowiedzieć, kim jest ten obcy, zanim odejdziesz w śnie jak mecenik, który składa siebie w ofierze. Nic dla ciebie nie znaczymy?

–Oczywiście, że tak! – parsknął MacLean. Słowa Tansy dotknęły go.

–Więc znajdź tego mężczyznę! Dowiedz się, kto to. Nawet jeśli jest jednym z tych twoich "zawodowców", potrafisz sobie poradzić, sam mówiłeś. Walcz! Nie uciekaj! Walcz o nas!

MacLean wahał się.

–Ale tobie i Carrie grozi niebezpieczeństwo!

–Zaryzykujemy, jeśli ty się nie poddasz. Czy sam nie mówiłeś, ile dla siebie znaczymy?

MacLean westchnal z rezygnacją.

–Jestes okropna.

–I dobrze! – odparła Tansy. Jej oczy blyszczaly z podniecenia. – Od czego zaczniemy?

MacLeanowi odeszła ochota na samobójstwo. Przekonał się, że Tansy i Carrie pragną być z nim tak bardzo, jak on z nimi. Odnajdzie tamtego faceta i dowie się, kim jest. A jeśli to zbrojca z Lehman Steiner... Niech Bog ma go w opiece.

Tansy spodziewała się, że MacLean wyjdzie poszukać obcego. Zamiast tego wybrał czekanie. Jeśli nieznajomy był tym, kim podejrzewał, musiał się wkrótce zjawic.

Na poddaszu domku miescily się dwa pokoje. Jeden nalezał do Carrie i miał okno mansardowe. MacLean uznał, że to najlepszy punkt obserwacyjny. Przysunął łozko do okna i położył się tak, by widziec ogrod. Tylko tedy prowadzila droga do drzwi wejsciowych. Uzbroidł się w cierpliwosc i czuwał.

Po dwoch godzinach zauwazyl kogos miedzy drzewami tuz za parkanem. Stezaly mu miesnie, ale się nie ruszał, żeby intruz go nie spostrzegł. Zza swierka wylonil się mezczyzna. Miał jakies metr siedemdziesiąt piec wzrostu, czarne włosy, smagła cera i ciemny garnitur. Ominął pień z prawej strony i odchyłil galezie lewa reka, co wskazywalo, że zapewne jest mankudem.

MacLean nie potrzebował pytać Carrie, czy to tego mezczyzne widziala przed szkola. Sam fakt, że obcy tu przyszedł, potwierdzil jego najgorsze obawy. Lehman Steiner go znalazł. Zaczekał, aż intruz z powrotem ukryje się w zaroslach, i zaczął działac. Musiał przejac inicjatywe i ubiec tamtego.

Zbiegl szybko po schodach i lekko scisnal Tansy za ramiona. Powiedzial, żeby zaryglowala za nim drzwi, nie wypuszczala Carrie z domu i nic nie robila do jego powrotu. Sprawdzil bron i wsunal do wewnetrznej kieszeni. Czul przyplyw adrenaliny. Kiedy wyszedł, Tansy zablokowala zamki i na moment oparla czolo o drzwi. Oddychala nierowno. Bala się. Wziela się w garśc, gdy poczula na sobie wzrok Carrie.

–Chodz, pomozesz mi w kuchni – powiedziala.

MacLean dobiegl do konca ogrodu i przesadzil parkan. Wyladowal na zgietych kolanach i wstrzymal oddech. Na wprost od siebie cos uslyszal; ocenil odleglosc na dwadziescia metrow. W porzadku! Gdyby przeciwnik siedzial cicho, oznaczaloby to, że sprawdza, czy jest sledzony. MacLean nie podejrzewal, żeby tamten wyczul jego obecnosć, ale wolal brac pod uwage kazda mozliwosc. Stawka w tej grze byla zbyt wysoka. Trzask galazek upewnil go, że wciaz trzyma w reku wszystkie asy.

Mezczyzna kierowal sie ku sciezce. MacLean zastanowil sie, gdzie najlepiej go zaskoczyc. Wybral miejsce za pierwszym kamiennym mostkiem. Zatoczy krag i zaczeka, az tamten nadejdzie. Dotarl tam i przywarl do zimnego muru.

Ciche kroki na sciezce zblizaly sie. Wreszcie rozlegly sie glosniej; obcy wszedl na bruk pod mostkiem. MacLean sprezyll sie. Kiedy przeciwnik wylonil sie zza muru, blyskawicznie chwycil go za szyje, obrocil gwaltownie i przycisnal twarza do mokrych kamieni. Wykrecil mu reke do tylu i calkowicie unieruchomil. Przeszukal mezczyzne i znalazl bron. Tkwila w kaburze pod prawa pacha. Mial racje, facet byl leworeczny.

–Pomyllil sie pan! – wykrztusil nieznajomy. Ledwo mogl mowic z twarza rozplaszczona na scianie.

–Nie ja – wycedzil MacLean. – To ty sie pomylliles. I to bardzo.

–Nic pan nie rozumie! – upieral sie obcy.

–Rozumiem az za dobrze – warknal MacLean. – Chce wiedziec, kto w Lehman Steiner ci zaplacil. Gdzie, kiedy i dlaczego. Jasne? Mam nadzieje, ze mi powiesz, bo jesli nie zaczniesz gadac w ciagu trzydziestu sekund, wetkne ci lufe do geby i nacisne spust. Krotko mowiac, rozwale ci mozg na miazge. A moze czegos jeszcze nie rozumiesz? – MacLean nacisnal mocniej wykrecona reke, az obcy wrzasnal z bolu.

–Nic pan nie rozumie – powtorzyl. – W Glasgow... ocalilem panu zycie. Uratowalem pana... przed Der Amboss.

To slowo wstrzasnelo MacLeanem. Powoli puscil ramie mezczyzny, ale wciaz mierzyl do niego z pistoletu. – Kim jestes?

–Bratem Lisy Vernay. Mam na imie Jacques. MacLean nie wierzyl wlasnym uszom. Opuscil bron.

–Bratem Lisy?! Tej z Lehman Steiner?!

–Tak – potwierdzil mezczyzna i dotkнал podrapanego policzka.

–Co pan tu robi? Co pan ma wspolnego z ta sprawa? Jacques Vernay rozmasowal obolale ramie.

–Jestem policjantem, doktorze. Kiedy moja siostrze znaleziono martwa w basenie, ani przez chwile nie wierzylem, ze to byl wypadek. Lisa nie skoczylaby nawet do najglebszej wody, a co dopiero do plytkiej czesci basenu. Nienawidzila nurkowania. Nie mialem watpliwosci, ze zostala zamordowana. Powiedzialem o tym moim

przełożonym i zgodzili się wszcząć natychmiastowe śledztwo. Po trzech dniach nagle zamknęli sprawę. Nie wyjaśnili mi dlaczego.

–Niech pan mówi dalej – zachęcił MacLean.

–Postanowiłem przeprowadzić własne dochodzenie. – Jak?

–Skoro nie pomogli mi moi, musiałem pogadać z drugą stroną.

–Nie rozumiem.

–Ze światem przestępczym, doktorze – wyjaśnił Vernay. – Poswieciłem moje oszczędności na zapłacenie za informacje o śmierci siostry.

–I czego się pan dowiedział?

–Dostałem nazwiska dwóch zawodowych zbrojczy, których wynajęto do zabicia Lisy. Przekazałem je moim szefom w nadziei, że mnie przeproszą i wznowią śledztwo.

–I...?

Vernay uśmiechnął się gorzko.

–Zwolnili mnie ze służby za niedozwolone kontakty z przestępcami. Straciłem siostrę i pracę. Ja i Lisa byliśmy bliźniętami, wie pan...

–Nie wiedziałem – wyznał MacLean. Nie znał Lisy Vernay zbyt dobrze.

–Postanowiłem sam poszukać sprawiedliwości. Tropiłem zbrojczy Lisy i jednego dopadłem w Paryżu. Wstyd się przyznać, ale "nakloniłem" go do mówienia.

MacLean nie dociekał jak. – I co powiedział? – Nic.

–Podobno go pan "naklonił".

–Nic nie wiedział, doktorze. Z takimi ludźmi często tak jest. Mówią im tylko tyle, ile trzeba. Nie miał pojęcia, dlaczego jego pracodawcy chcieli zlikwidować Lisę. Wiedział jedynie, że to ma coś wspólnego z Der Amboss. – Vernay zauważył, że to słowo nie jest MacLeanowi obce.

–Usłyszałem je od faceta w Glasgow – wyjaśnił MacLean. – Powiedział, że Der Amboss to potęga i że z nim nie wygram.

–Od faceta, którego wyrzucił pan przez okno? – upewnił się Vernay.

–Nie wyrzuciłem go – zaprzeczył MacLean.

–Niewazne, jak bylo. Z pewnoscia jest pan kims wiecej niz wiejskim lekarzem. MacLean nie odpowiedzial.

–Co pan jeszcze wie o Der Amboss, doktorze?

–Nic. Mam nadzieje, ze pan mi powie.

–To po niemiecku "kowadlo". Taki kryptonim nosi tajne porozumienie miedzy firma Lehman Steiner i ultrapravicowymi ugrupowaniami w calej Europie. Wedlug moich zrodel, rowniez w Zjednoczonym Krolestwie.

–Dlatego pan tu jest? Vernay zaprzeczyl.

–Tropilem drugiego zabojce siostry.

–Tego, ktory wypadl z okna?

–Nie. Tego, ktorego zwabil pan nad rzeke.

–Ach, tak... – MacLean nagle pojal, co sie wtedy stalo.

–Początkowo myślałem, że wciąga go pan w pułapkę. Dopiero w ostatniej chwili zrozumiałem, że ma pan zamiar dać się zabić. Kiedy unosił broń, zastrzeliłem go.

–Dzięki – mruknął zakłopotany MacLean. Poczul się głupio.

–Dlaczego firma Lehman Steiner chce pana zlikwidować, doktorze?

–Nie wiem. Ale podejrzewam, że z tego samego powodu co panska siostrę. Oboje zajmowalismy sie cytogermem.

Vernay zmarszczyl brwi.

–Lisa nic panu nie mowila? – zdziwil sie MacLean.

–Umowilismy sie, ze nie bedziemy rozmawiac o pracy – wyjasnil Vernay.

MacLean nie mial ochoty opowiadac mu calej historii. Byl wykonczony psychicznie i wiedzial, ze Tansy sie niepokoi.

–Moze dokonczymy te rozmowe w domu? – zaproponowal Vernay.

–Nie! – zaprotestowal MacLean. Jego gwałtownosc zaskoczyla Vernaya. – W domu nie chce mowic o tej sprawie.

–W porzadku. Ma pan inny pomysl?

MacLean zastanowił się.

–Spotkajmy się tu jutro o osmej wieczorem. – Nagle zapytał: – Po co pan tutaj przyszedł? Znalazł pan przecież zabójców siostry, wykonał pan swój plan.

–Tamci byli tylko wykonawcami, doktorze. Teraz chce znaleźć zleceńodawców. Chce wiedzieć wszystko o Der Amboss. Myślałem, że dowiem się czegoś od pana.

MacLean i Tansy padli sobie w ramiona. Przytulali się bez słowa. Carrie wciąż nie wiedziała, co się dzieje, ale objęła MacLeana za nogę. Przyciągnął ją do siebie.

–Opowiadaj – przemówiła w końcu Tansy.

–On nie jest z firmy. Odetchnęła z ulgą.

–Wiec to fałszywy alarm?

–Niezupełnie – odrzekł MacLean. – Nie rozumiem...

MacLean wyjaśnił.

Oczy Tansy przygasły. Pokręciła głową.

–Policjanci, zawodowi zbrojcy, morderstwa z zemsty, prawnicy politycy... Za wiele tego – mruknęła.

MacLean znów ją przytulił.

–Najważniejsze, że Lehman Steiner mnie nie znalazł. Ciągłe jesteśmy bezpieczni.

Uścisnęła go mocno.

–Masz rację. Przepraszam. Po co Vernay tu przyszedł? Czego od ciebie chciał?

–Informacji o Der Amboss. Liczył na to, że coś wiem.

–Rozumiem... – powiedziała w zamysleniu Tansy. MacLean wyczuł, że jest czymś zaabsorbowana. Poszła do kuchni, krzotała się tam przez kilka minut, wreszcie wyszła. – Przejde się – oświadczyła. – Zostan z wujkiem Danem, Carrie. Niedługo wróce.

MacLean bezradnie patrzył, jak zamyka za sobą drzwi.

Carrie była bliska łez. Spojrzała na niego ze zmartwioną miną.

–Masz mokro pod nosem – zauważył.

Niedbale otarła buzie wierzchem dłoni. MacLean przywołał ją do siebie i wytarł jej nos chusteczka. – Teraz lepiej. Rozplakala się. MacLean wziął dziewczynkę na ręce i pocieszał.

–Co się stało, wujku Dan? – zachlipała. – Nic nie rozumiem.

MacLean poczuł ucisk w gardle. Nie wiedział, co powiedzieć.

–Czasem życie dorosłych jest bardzo trudne, Carrie. Wpadamy w straszne kłopoty i potem jesteśmy nieszczęśliwi. Ale jeśli się postaramy, złe chwile szybko mija i znowu wszystko będzie dobrze. Może przyniesiesz kolejkę i pobawimy się do powrotu mamy?

Carrie poszła po pociąg. Była zadowolona, że wreszcie ktoś z nią porozmawiał. Nawet jeśli nic z tego nie zrozumiała.

MacLean starał się skoncentrować tylko na zabawie. Wiedział, że Carrie go obserwuje i sprawdza, czy nie myśli o czymś innym. Czasami śmiał się przesadnie głośno lub wykonywał zbyt gwałtowne ruchy, żeby zademonstrować swoje zaangażowanie. Odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał kroki Tansy i klucz w zamku.

Tansy stanęła w progu i uśmiechnęła się na widok pary na dywanie. Carrie podbiegła do niej i utonęła w matczynych objęciach. Tansy spojrzała na MacLeana ponad jej ramieniem.

–Przepraszam, musiałam przez chwilę być sama.

Skinał głową.

–Pewnie umieracie z głodu? – zapytała Tansy i zdjęła kurtkę. – Zobaczmy, co mamy do jedzenia.

Cała trojka grała szczęśliwą rodzinę, dopóki Carrie nie poszła spać. Tylko ona nie udawała. Kiedy Tansy wróciła z jej sypialni, popatrzyła na MacLeana niepewnie, jakby czuła się winna.

–Wszystko w porządku – zapewnił ją łagodnie. – Doskonale cię rozumiem. Po prostu dziś zdałaś sobie sprawę, że ugryzłaś więcej, niż możesz przetrwać.

Uśmiechnęła się słabo.

–To prawda. Odkryłam, że nie jestem taka odważna, jak myślałam. Kiedy pojawił się ten mężczyzna, a ty wyszedłaś z bronia...

MacLean ze zrozumieniem pokiwał głową.

–Nagle okazało się, że to rzeczywistość. Przedtem to była tylko opowieść. Coś odległego, jakby nierealnego. Jeszcze nigdy tak się nie bałam.

–To żaden wstyd powiedział cicho MacLean.

–Chociaż nic ci się nie stało, byłam przerażona. Jeśli znalazł cię ten mężczyzna, tamci też mogą.

–Dlatego lepiej, żebym odszedł.

–Nie! – sprzeciwiła się gwałtownie Tansy.

Spojrzał na nią pytająco.

–Na spacerze podjęłam decyzję. Przejdziemy przez to razem. Może nie jestem najodważniejsza, ale też nie uważam się za tchorza. Nie rozstaniemy się.

–Skoro tak uważasz... – westchnął MacLean. Położyła głowę na oparciu fotela.

–Boże, jestem wykończona!

–Idź do łóżka – doradził.

–Przyłączysz się? – Tansy wyciągnęła do niego rękę. Ujął jej dłoń i ucałował palce.

–Niedługo.

MacLean został sam ze swoimi myślami. Tansy się myliła; ludzie z Lehman Steiner nie znajdą go tylko dlatego, że udało się to bratu Lisy. Kiedy Vernay zastrzelił zbrojce w Glasgow, ślad się urwał. Z drugiej strony, dłuższy kontakt z nim był niebezpieczny. MacLean zapamiętał jego spojrzenie, gdy mówił o śmierci siostry. Ten człowiek miał obsesję na punkcie zemsty. Należało go unikać, bo stwarzał zagrożenie. MacLean załował nawet, że Vernay w ogóle się pojawił, ale potem zrobiło mu się wstyd. Zawdzięczał mu życie. Gdyby nie on, gnąłby teraz w grobie.

Postanowił spotkać się z nim tylko raz. Nie przyłączy się do krucjaty Vernaya przeciwko firmie Lehman Steiner. Opowie mu wszystko o cytogerminie i rozstanie się na zawsze. Podejrzewał, że przeciwnicy nie puszczają płazem śmierci swoich ludzi. Mimo długu wdzięczności wobec Vernaya, nie miał ochoty przez niego wpasć w ich ręce. Przy odrobinie szczęścia brat Lisy zniknie z horyzontu do poniedziałku i Dan Morrison znów będzie żył szczęśliwie.

Po dobrze przespanej nocy w Tansy wstąpiło nowe życie. Nabrala nawet ochoty do

rozmowy o tym, co Vernay powiedział MacLeanowi.

–Dlaczego firma Lehman Steiner miałaby się interesować polityką? – zapytała.

–Wielcy przedsiębiorcy zawsze interesują się polityką – wyjaśnił MacLean. – To zwykła konieczność. Politycy ustalają wysokość podatków i dotacji, ich decyzje mają wpływ na zyski firm. Ludzie interesu często finansują partie, które stwarzają im najlepsze warunki do działania.

–Ale dlaczego Lehman Steiner interesuje polityką innych krajów europejskich? Chyba nie spodziewa się, że wszędzie zdobędzie wpływy?

–Tak, to dużo trudniejsze – zgodził się MacLean. – I co to ma wspólnego z cytogermem?

–Nie wiem. Może nic.

–Długo się nad tym wszystkim zastanawiałam – wyznała Tansy. – I do jakiego wniosku doszłaś?

–Oni dalej używają cytogermu.

–I ukrywają zwłoki? – zapytał sceptycznie MacLean.

–Nie mam na myśli szerokiego zastosowania. Mogą go używać do specjalnych celów.

–Jakich?

–Skoro mowa o skrajnie prawicowych ugrupowaniach... – zaczęła ostrożnie Tansy.

–To...?

–Przyszło mi do głowy, że cytogerm może służyć do robienia operacji plastycznych przestępcom.

–Co?! – wykrzyknął MacLean.

–Nazistowskim przestępcom wojennym – dokonała szybko Tansy.

MacLean popatrzył na nią, jakby powiedziała dobry dowcip. O mało nie wybuchnął śmiechem. Zrobiła urazona minę.

–Tansy, zdajesz sobie sprawę, ile tacy ludzie mają teraz lat? Jeśli jacyś jeszcze żyją, w co wątpię.

–Na pewno nie sa mlodzi – przyznala.

–To starcy, ktorzy stoja nad grobem! Dzis nikt ich juz nie rozpozna! Po co im wyglad Roberta Redforda?

–W porzadku – poddala sie Tansy. – A miedzynarodowi kryminalisci? Nie zaplaciliby kazdej sumy za zmiane twarzy w ciagu dwoch tygodni? Sam mowiles, ze cytogerm to umozliwia.

–Nie przecze, ze to wykonalne – odrzekl MacLean. – Uwazam tylko, ze taki gigant, jak firma Lehman Steiner nie zawracalby sobie tym glowy. Po co? Ilu mieliby klientow ze swiata przestepczego?

Tansy w milczeniu przytaknela.

–Wybacz – ciagnal MacLean – ale jesli rzeczywiscie uzywaja cytogermu, to do czegos naprawde duzego, na czym mozna zarobic miliony funtow.

Tansy skinela glowa i uznala temat za wyczerpany. Wstala i podeszla do okna. Dzien byl piekny.

–Przejdziemy sie? – zaproponowala.

MacLean zgodzil sie z usmiechem.

O osmej wieczorem MacLean stawil sie na spotkanie z Vernayem. O zmierzchu na sciezce nie bylo juz spacerowiczow, krecil sie tam tylko bezdomny pies. W powietrzu unosila sie niebieskawa mgielka i zapach palacych sie lisci. MacLean domyslil sie, ze dolatuje z domu nad kanalem o mile dalej. Otaczal go bukowy zywoplot, a liscie opadajace z tych drzew zawsze stwarzaly wiekszy problem wiosna niz jesienia. Mieszkancy zapewne spedzali pogodny dzien na porzadkowaniu ogrodu.

Vernay czekal przy mostku. Uscisneli sobie dlonie i wolno ruszyli sciezka. MacLean trzymal rece w kieszeni, Vernay za plecami, jak przechadzajacy sie wladca. MacLean opowiedzial mu o pracy w Lehman Steiner, o euforii po pierwszych sukcesach z cytogermem i gorzkim rozczarowaniu po smierci Elsy Kaufman.

–Od tamtej pory zginelo czworo ludzi – powiedzial. – Kurt Immelman, Maks Schaeffer, Lisa... i Jutte zamiast mnie.

–Wiec musi pan czuc do firmy taka sama nienawisc jak ja – stwierdzil Vernay.

–Kiedys chcialem sie zemscic – przyznal MacLean. – Podobnie jak pan myslalem, ze uda mi sie z nimi wygrac – usmiechnal sie gorzko – bo racja jest po mojej stronie i dobro zawsze triumfuje nad zlem.

–Dlaczego zmienił pan zamiar?

–Bo przeżyłem trzy lata piekła. Straciłem wszystko: Jutte, dom, prace, przyjaciół. W końcu nawet nadzieję.

Vernay pokiwał głową.

–Teraz rozumiem pańskie zachowanie w Glasgow.

–Ale dzięki panu przeżyłem – odpowiedział MacLean. – Znowu mam dom i prace, i jestem szczęśliwy z Tansy i Carrie. Nie obchodzi mnie już przeszłość, tylko przyszłość. Jeśli spodziewa się pan, że wystąpię w roli kamikadze i spróbuję rozbić potęgę Lehman Steinera, to jest pan w błędzie. Kochałem Jutte, ale nic jej nie wskrzesi. Tansy i Carrie żyją i chcą, żebym ja też żył. Tylko o nie mogę teraz walczyć.

–Dlatego tak pan wczoraj zareagował na mój widok – domyślił się Vernay. Dotknął podrapanego policzka i rozmasował ramię.

–Przepraszam. Wziąłem pana za człowieka z firmy.

–Mogłem nim być.

–Dlatego więcej się nie spotkamy – uprzedził MacLean.

–Wciąż nie pomści pan Jutte? MacLean nie chwycił przynęty.

–Już panu mówiłem: zemsta przestała mnie interesować.

–Rozumiem, że chce pan bronić tego, co pan ma – odparł Vernay. – Ale chyba wie pan, że najlepsza metoda obrony jest atak?

–Nie przy tak nierównych szansach.

–Zamierza się pan ukrywać do końca życia?

–Może nie będzie mnie szukać aż tak długo – odrzekł MacLean.

–Ich dwaj ludzie zgineli niecałe sześćdziesiąt kilometrów stąd. MacLean załował, że Vernay mu o tym przypomniał.

–Wciąż nie mogę na pana liczyć?

–Powiedziałem panu wszystko, co wiem. Niech pan już idzie. Vernay wzruszył ramionami w typowo galijski sposób.

–Trudno. Przynajmniej wiem teraz, że śmierć mojej siostry miała coś wspólnego z cytogermem. Może znajdzie jakieś ogniwo łączące to z Der Amboss. Jak pan sądzi, doktorze?

–Życze szczęścia – odpowiedział MacLean.

Vernay westchnął z rezygnacją i wyciągnął paczkę papierosów. Zapalił i zapytał:

–Wyświadczy mi pan ostatnią przysługę?

–Zależy jaka.

–Spotkajmy się jeszcze raz... – Vernay powstrzymał gestem sprzeciw MacLeana. – Tylko raz, obiecuje. Nie zerwałem wszystkich kontaktów z kolegami z genewskiej policji. Poproszę ich, żeby poszukali czegoś o cytogermie. Mogą potrzebować więcej informacji, których pan mogłby mi udzielić. Zgoda?

MacLean nie miał na to ochoty. Po powrocie do domu chciał oznajmić Tansy, że sprawa z Vernayem jest zakończona i mogą dalej spokojnie żyć.

–Chyba nie proszę o zbyt wiele? – zapytał Vernay.

MacLean pomyślał, że zaraz usłyszy: "Przecież uratowałem panu życie".

–Dobrze – zgodził się. – Ale gdzieś daleko stąd. Niech pan się tu nie kreci. Czy to jasne?

–W porządku. – Vernay podał MacLeanowi swój adres i wyjaśnił, jak tam trafić. Wynajmował małe mieszkanie w śródmieściu. Umówili się za tydzień.

–Chyba już zawsze będę cię tak witac – powiedziała Tansy, obejmując mocno MacLeana.

–Nie mam nic przeciwko temu – odrzekł.

–Poszedł sobie? – Ton Tansy wskazywał, że spodziewa się odpowiedzi twierdzącej.

–Nie całkiem. Zgodziłem się na jeszcze jedno spotkanie – wyznał MacLean.

–Po co? – zapytała z rozczarowaniem.

–Uznałem, że przynajmniej to powinienem zrobić – wyjaśnił cicho MacLean. – Zawdzięczam mu życie. – Opowiedział, dlaczego mają się spotkać.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

–Nie masz ochoty pomoc mu w walce z firma? – odezwala sie nagle Tansy.

–O nie! – wykrzyknal MacLean. – Chce, zeby wszyscy zostawili nas wreszcie w spokoju!

–Jestes pewien? Gdybys walczył i wygral, moglbys wrocic do medycyny. Wiem, ile to by dla ciebie znaczylo.

–Dobrze jest, jak jest! – burknal MacLean. – Nie potrzebuje niczego zmieniac. Nigdy w zyciu nie bylem bardziej zadowolony. Liczy sie to, co czlowiek czuje.

Tansy usmiechnela sie.

–Filozofia obroncy domowego ogniska.

–Mowie powaznie. Ty i Carrie jestescie dla mnie wszystkim. Tylko wy mnie obchodzicie.

Jej rysy zlagodnialy.

–Carrie uwaza cie za nowego ojca.

–Masz cos przeciwko temu?

–Wrecz odwrotnie. Jestem zachwycona – zapewnila z usmiechem Tansy.

–A za kogo ty mnie uwazasz? – zapytal MacLean. Ujela jego twarz w dlonie.

–Bierzmy sprawy takimi, jakimi sa dobrze? Usmiechnal sie szeroko.

–W porzadku.

W progu stanela Carrie.

–Obudziliscie mnie – poskarzyla sie.

–Przepraszamy – powiedzial MacLean.

–Chce mi sie pic. Moge poprosic o wode?

–Oczywiscie. Dla Pana Misia tez? Carrie byla zadowolona.

–Tak, poprosze.

MacLean zaprowadzil ja z powrotem do lozka i otulil koldra razem z misiem. Delikatnie pocalowal ja w czolo i wstal, zeby wyjsc.

–A Pan Mis? – upomniała sie Carrie.

MacLean pocalował misia i zgasił światło.

Następny tydzień minal spokojnie, tylko pogoda była pod psem. Bez przerwy mzyło i biedna Carrie nie mogła bawic sie na dworze. W niedziele zaswieciło słońce i MacLean z Tansy zabrali ja do zoo.

Carrie gadala z malpami, chodzila jak pingwin i niepewnie przygladala sie tygrysom, gdy przyszła pora ich karmienia. Przejechała sie na sloniu i nauczyla, jak doic koze. Wypila lemoniade i zjadła lody. Biegala i smiala sie. MacLean i Tansy byli zadowoleni, ze sprawili jej przyjemnosc.

–To pierwsza rodzinna wyprawa od smierci Keitha – powiedziala Tansy, obserwujac Carrie, ktora probowala zabawiac lwa. Krol zwierzat nie zwracal na nia uwagi; wolal uciac sobie drzemke na skale.

–Mam nadzieje, ze bedzie ich wiecej – odrzekl MacLean. Tansy scisnela go za reke.

Patrzyli na niedzwiedzie polarne, nurkujace w basenie po ryby. Tansy stwierdzila, ze robia tyle zamieszania, co Carrie w kapieli. Cala trojka wybuchnela smiechem. Tego dnia nic nie macilo ich dobrego nastroju. Dopiero poznym wieczorem Tansy nawiazala do czekajacego MacLeana nazajutrz spotkania z Vernayem.

–Jak sie czujesz? – spytala.

–Chcialbym to juz miec za soba. Nie powiem mu nic nowego o cytogeremie.

–Pojedziesz tam prosto z pracy?

–Tak. Powinienem wrocic okolo siodmej.

MacLean orientowal sie po adresie, ze Vernay mieszka w dzielnicy robotniczej. Czlowiek wracajacy z budowy nie rzucal sie tam w oczy. W drelichowym kombinezonie i z plecakiem na ramionach MacLean pasowal do otoczenia. Znalazl wlasciwy budynek i minal go. Kawalek dalej przeszedl na druga strone ulicy i zawrocil. Takich srodkow ostroznosci nauczyl go Doyle. Mial szczescie; niemal naprzeciw domu Vernaya napotkal bar szybkiej obslugi. Wstapil tam, kupil cos do jedzenia i przez dziesiec minut obserwowal wejscie dc przeciwleglego budynku. Nie zauwazyl nic podejrzanego, wiec przecial ulice i wszedl na klatke schodowa.

Vernay zajmowal mieszkanie na trzecim pietrze. MacLean nacisnal dzwonek. Nikt nie otworzyl. Zadzwonil drugi raz, potem trzeci. Uslyszal, ze pietro nizej ktos wychodzi na korytarz. Ostroznie wyjrzal przez porecz. Z dolu patrzyla na niego starsza kobieta. Na widok obcego zrobila zawiedziona mine.

–Ojej... A juz myslalam, ze to pan Vernay.

–Cos sie stalo? – zapytal MacLean.

–Widocznie zapomnial zakrecic kran. Woda kapie mi z sufitu.

W glowie MacLeana odezwały sie dzwonki alarmowe. Ludzie pokroju Vernaya nie zostawiaja odkreconych kranow, kiedy wychodza z domu. Cos bylo nie tak. Gdyby nie kobieta, wywazyłby drzwi. Westchnal wspolczujaco i zapytal, czy moze pozyczyc srubokret. W kobiecie wstapila nadzieja na ratunek przed potopem. Pobieglą poszukac.

Gdy tylko zniknela z widoku, MacLean cofnal sie o kilka krokow, uniosl noge i kopnal w drzwi tuż ponizej zamka yale. Rozlegl sie suchy trzask odlupanego drewna. MacLean oparl sie ramieniem o drzwi i otworzyl je powoli.

Wszedl w ciemnosc. Przedpokoj nie mial okien, a pokoje byly zamkniete. Uslyszal kapanie wody na podloge. Skierowal sie w tamta strone. Wiedzial, ze nikt mu nie odpowie, ale kilkakrotnie zawolal Vernaya. Wlasny glos dodawal mu odwagi. Poczul pod nogami kaluze. Musial uwazac, zeby nie posliznac sie na mokrym linoleum. Woda szumiala coraz glosniej. Dobrнал do lazienki i nacisnal klamke. Bal sie tego, co tam znajdzie.

Swiatlo bylo zgaszone. Przez okno wpadala zolta poswiata ulicznej lampy sodowej. Vernay lezal w wannie. Spod powierzchni wody patrzyly jego wytrzeszczone, martwe oczy. MacLean przelkнал z trudem i nachylil sie, zeby zakrecic kran. Kiedy zobaczyl rece Vernaya, zrobilo mu sie niedobrze. Zakrwawione kikuty nie mialy palcow.

–Prosze pana! Jest pan tam? – dobiegl z przedpokoju glos starszej kobiety. MacLean otrzasnal sie. Wszedl z lazienki i zamkнал za soba drzwi. Sasiadka z dolu podeszla blizej. – Juz po klopcie – uspokoil ja. – Moj glupi kolega zostawil odkrecony kran nad wanna, a odpływ widocznie jest zatkany. Powiem mu kilka slow do sluchu, jak tylko wroci. Ten duřen zniszczyl pani sufit!

Kobieta wygladala na zadowolona, ze MacLean tak sie przejal jej problemem. Zaproponowala pomoc przy sprzataniu balaganu.

–Alez nie ma mowy, prosze pani! – zaprotestowal MacLean i delikatnie wyprowadzil ja z mieszkania. – Dam sobie rade. – Kiedy znalazla sie za drzwiami, odetchnal z ulga. Postanowil obejrzec pozostale pomieszczenia. Chcial wiedziec, co sie tu wydarzyló.

Nigdzie nie zauwazyl sladow walki; Vernaya ktos musial zaskoczyc. Wszedl do kuchni. Obok zlewu zobaczyl deske kuchenna, a na niej obciete palce. Staly szeregiem jak ołowiane zolnierzyki. Odwrocil sie, zeby nie zwymiotowac. Po chwili spojrzal na deske okiem fachowca. Oprawcy uzyli czegos ciezkiego: siekiery albo

topora rzeźniczego.

Dlaczego? Po co znechali się nad Vernayem? Nie wystarczyło go zabić? Odpowiedź poraziła MacLeana jak rozszarżona igła wbita w mózg. Chcieli zmusić go do mówienia! A on wiedział o domku, Tansy i Carrie! Ludzie z Lehman Steiner dowiedzieli się wszystkiego! Na pewno już tam jada!

Bron. Trzeba zdobyć bron! Vernay miał pistolet. Może jeszcze tu jest. MacLean zaczął gorączkowe poszukiwania. Pospiesznie wyciągał szuflady i otwierał szafki. W końcu znalazł pistolet pod materacem. Tkwił w kaburze do noszenia pod pachą. MacLean sciągnął kurtkę i przypiął bron. Zawisła pod niewłaściwą pachą, ale to nie miało znaczenia. Ważne, że był uzbrojony.

Zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie, i wypadł na ulicę. Próbował zatrzymać taksówkę, ale kierowca udał, że go nie widzi. Widocznie nie spodobało mu się ubranie i zachowanie MacLeana. Drugi się zatrzymał, lecz obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Z pewnością podejrzewał, że ma do czynienia z pijanym.

MacLean wskoczył na tylne siedzenie i zatrzęsł drzwi.

–Most Craiglockhart nad kanałem! Tylko szybko!

–Też widziałem ten film – odparł lakonicznie taksówkarz. MacLean wyciągnął z portfela pieniądze i zamachał mu przed nosem.

–Nie zgrywam się. Gaz do dechy, a zapłać podwójnie!

Jazda trwała siedem minut. MacLean nie odrywał oczu od zegarka. Bez przerwy popędzał kierowcę, choć na zakretach rzucało go z boku na bok. Wreszcie samochód zahamował z piskiem na moście. MacLean wcisnął taksówkarzowi garść banknotów i wyskoczył. Kierowca pokręcił głową, ale MacLean już tego nie widział.

Trzydzieści metrów poniżej szczytu wzgórza stał czarny Ford Granada. Ilu ich jest? – zastanawiał się MacLean. Ilu tych sukinsynów przyjechało? Zbiegł śliskim zboczem na ścieżkę i popędził wzdłuż kanału. Było ciemno, ale dobrze znał drogę i pomagały mu refleksy na wodzie.

Między drzewami zamigotały światła domku. Carrie na pewno jest w sypialni na gorze. Tansy siedzi w salonie albo przygotowuje w kuchni kolację. Błagam cię, Boże! Spraw, żebym zdążył!

Wśród drzew coś się poruszyło. MacLean przystanął i przykleknął na jedno kolano. Na tle jasnego okna zobaczył sylwetkę mężczyzny. Trzymał coś w ręku. MacLean pomyślał najpierw, że to pistolet, ale przedmiot był za duży. Obcy wziął zamach jak do rzutu. MacLean wrzasnął ostrzegawczo. Za późno. Przedmiot poszybował w

strone domku, rozbił szybe i wpadł do srodka. Po trzech sekundach ciszy granat zapalajacy eksplodowal. Sciandy sie zatrzesly i w niebo strzelily plomienie.

Mezczyzna nie uslyszal MacLeana. Stal dokladnie na wprost niego na skraju ogrodu. Oswietlala go luna pozaru. MacLean wyszarpnal bron spod pachy i wycelowal. Bez skrupulow wpakowal w obcego trzy kule.

Zerwal sie i pobiegl do plonacego domku. W powietrze strzelaly snopy iskier, od zaru bolaly go oczy, ale nie zwazal na to. Uslyszal kobiecy krzyk pelen rozpaczny. Tansy!

Opadl na czworaki. Bal sie, ze od goraca zapali sie na nim ubranie. Tansy kleczala na trawie i wpatrywala sie w szalejacy ogien z obledem w oczach.

–Carrie! – wrzeszczala w kolko niczym ranne zwierze.

MacLean sprobował odciagnac ja na bezpieczna odleglosc. Wyrwala sie.

–Carrie zostala na gorze! – krzyknela. – Zrob cos!

Caly parter domku plonal. Nie bylo sposobu, zeby tam wejsc. MacLean spojrzal w gore. Z okna sypialni Carrie wydobywal sie czarny dym. Umierala, a on nie mogl nic zrobic. Tansy nagle rzucila sie naprzod. Zlupal ja w pore.

–Zostaw mnie, do cholery! – wrzasnela.

Ziemia zadrzala od wybuchu wewnatrz domku. Mansardowe okno w pokoju Carrie wylecialo z framugi i roztrzaskalo sie na trawie wsrod iskier. MacLean dostrzegl w otworze mala postac w bialej koszulce nocnej. Lezala bez ruchu. Stracila przytomnosc albo juz... Wolal o tym nie myslec. Gdyby mu sie udalo dosiegnac poddasza, moglby ja uratowac. Ale zar byl nie do zniesienia, a on nie mial drabiny.

Belki stropowe przepalily sie na jednym koncu. Podloga w sypialni Carrie nagle sie zarwala i przechylila. Mala postac zaczela sie zsuwac na zewnatrz. MacLean podbiegl, zeby ja zlapac. Ale koszulka nocna dziewczynki zahaczyla o rynne. Dziecko zawislo poza jego zasiegiem.

MacLean byl mokry od potu i osmalony, ale jeszcze nigdy nie czul takiego przyplywu adrenaliny. Pospiesznie ulozyl stos z porzrzucanych szczatkow. Stanal na jego szczycie i siegnal do gory. Zabraklo mu pol metra. Wydal ryk rozpaczny.

Nie mial czasu budowac porzadnego pomostu. Plomienie zblizaly sie do dziecka, a zar i dym lada chwila mogly mu uniemozliwic dalsze dzialanie. Ugial kolana i sprezyl sie do podskoku. Wiedzial, ze ma tylko jedna szanse; kiedy opadnie z powrotem na kupe drewna, krucha konstrukcja nie wytrzyma jego ciezaru.

Wybil sie do gory i chwycil Carrie. Runeli niezgrabnie na ziemie. Mocno przyciskal dziewczynke i toczyl sie coraz dalej od plonacego domku. Zatrzymal sie, gdy dotknal policzkiem zimnej, mokrej trawy. Tansy wyjela coreczke z jego objec i patrzyła na nia z niepokojem, szukajac oznak zycia. Trzymala dziecko w ramionach i powtarzala w szoku:

–Boze! Tylko nie to!

MacLean podpelzil do niej i z powrotem wzial Carrie. Była cala czarna od sadzy i ziemi. Poszukal tetna i wyczul je.

–Zyje – powiedzial.

–Dzieki ci, Boze! – wykrzyknela Tansy. – Do szpitala, predko! Musimy ja zawiezc do szpitala!

MacLean sprawdzil, czy Carrie nie odniosla obrazen. To, co zobaczyl w blasku ognia, wstrzasnelo nim. W kaciku ust widnial otwor, ktory poczatkowo wzial za smuge brudu. Lewa polowa twarzy byla spalona.

Nie mieli telefonu, a nikt w okolicy nie wszczal alarmu. Domek stal samotnie na uboczu. Najblizsi sasiedzi mieszkali zbyt daleko, by cos zauwazyc i wezwac straz pozarna. MacLean byl zdany na siebie. Przeszukal zwloki zabitego mezczyzny i znalazl kluczyki od forda. Oproznil kieszenie nieboszczyka, zerwal mu z szyi medalik i sciagnal z palca sygnet.

Schowal wszystko do plecaka, potem zaciagnal trupa za nogi w poblize ognia. Ciało wazylo niewiele ponad szescdziesiat kilogramow. Nie bylo za ciezkie do tego, co zaplanowal. Chwycil je za ramie i kostke, uniosl i okrecil wokol siebie. Po trzech obrotach wypuscil zwloki w powietrze. Sila rozpedu zwalila go z nog, ale nieboszczyk wyladowal w plomieniach.

Tansy patrzyła na to obojetnie. Kleczala na trawie i trzymala Carrie w ramionach. Kolysala sie w przod i w tyl jak w transie. W jej oczach odbijal sie blask ognia. MacLean czul sie wewnetrznie odretwialy, ale obawial sie, ze ona jest w jeszcze glebszym szoku.

–Chodźmy – powiedzial lagodnie. – Zawieziemy Carrie do szpitala.

Podniosl Carrie lewa reka. Prawa pomogl Tansy wstac. Potykajac sie i zataczajac, pospiesznie dobrneli sciezka do ulicy i zaparkowanego forda. MacLean pognal do szpitala na zlamanie karku. Zahamowal z piskiem opon przed oddzialem wypadkow i pomocy doraznej. Wskoczyl z samochodu, wpadl do srodka i krzyknal:

–Potrzebuje pomocy! Przywiozlem ofiary eksplozji!

Dwaj portierzy wybiegli na zewnątrz i ostrożnie wydobyli z forda Tansy i Carrie. Trzeci przyprowadził wozek. W chwili później zjawil sie lekarz i pielegniarki.

–Dziewczynka odniosla powazne obrazenia – wyjasnil MacLean. – Jej matka jest w szoku i ma tylko stluczenia.

Zespol medyczny zabral pacjentki. MacLean zostal na parkingu w towarzystwie jednego z portierow.

–Jest pan krewnym? – zapytal mezczyzna.

MacLean zaprzeczyl.

–Przypadkiem bylem w poblizu. Uslyszalem wybuch i zobaczylem pozar.

–Panem chyba tez powinien sie zajac lekarz – powiedzial portier. – Niech pan lepiej wejdzie.

MacLean popatrzył na niego bez wyrazu.

–Nie trzeba, nic mi nie jest. – Wsiadl do samochodu i wolno odjechal.

Jechal bez celu przed siebie. Obawial sie o Tansy; byla naprawde w glebokim szoku. On tez, ale funkcjonowal niczym automat. Przestrzegal przepisow drogowych, zwracal uwage na ograniczenia szybkosci, zwalnil przed znakami "Ustap pierwszenstwa przejazdu" i zatrzymywal sie poslusznie tam, gdzie byl "Stop". Nie mial tylko pojecia, dokad jedzie i po co.

W koncu zatrzymal sie przy krawezniku i spojrzal na zegarek. Dochodzila trzecia nad ranem. Zakryl twarz dlonmi i zaczal plakac. Wyraz twarzy, chlodny i zawziety, nie zmienil sie, tylko z oczu plynely lzy. Przynajmniej czesc rozpaczy znalazla wreszcie ujscie.

8

MacLean uspokoil sie troche. Poczul sie na tyle lepiej, ze znow mogl jasno myslec. Przesladowal go widok spalonej twarzy Carrie. Co za okrutne zrzadzenie losu. Niewinne dziecko tak strasznie ucierpialo, a on wyszedl z tego bez szwanku. Tansy dojdzie do siebie, ale co czeka Carrie? Jesli nawet wyzdrowieje, jak bedzie wygladala?

Zaczelo padac. Wlaczyl na chwile wycieraczki. Stal w cichej uliczce w dzielnicy willowej na poludniu miasta. Musial stad odjechac, zanim ktos z okolicznych mieszkancow wezwie policje. Ludzie nie lubia, gdy podejrzany obcy parkuje obok ich

posesji. Wlaczyl silnik i wolno ruszyl. Zastanawial sie, co dalej robic.

Przy odrobinie szczescia Der Amboss uzna, ze Sean MacLean zginal w pozarze. Przynajmniej na razie, dopoki nie sie okaze, ze naslany czlowiek nie wrocil. Ale odkrycie prawdy zajmie im troche czasu. Jesli pozostanie w ukryciu, nie znajda go predko. Najpierw trzeba sie pozbyc samochodu; najlepiej, zeby zniknal bez sladu. Potem musi sie gdzies zadekowac, a na to potrzeba pieniedzy.

MacLean znow stanal i wyciagnal portfel. Mial trzydziesci dwa funty. Malo. Przypomnial sobie, ze zabral zabitemu jakas gotowke. Siegnal do plecaka. Naliczyl sto szescdziesiat funtow i piecset frankow francuskich. Na poczatek wystarczy. Znalazl tez male, skorzane etui zapinane na suwak. Tkwily w nim dwa klucze do zamka yale. Znak firmowy wskazywal, ze pochodza z Francji lub Szwajcarii. MacLean byl ciekaw, czy ktos czeka za drzwiami mieszkania, do ktorych pasuja. Zona? Dziewczyna? Ale wlasciciel kluczy juz nigdy nie wroci.

MacLean wyjechal z miasta. Pamietal, ze na poludnie od Edynburga, w pustej okolicy sa male jeziora. Wypuszczal sie tam w mlodosci na ryby. W jednym z nich postanowil zatopic forda. Wybral jezioro daleko od szosy. Chcial znalezc sie poza zasiegiem reflektorow przejezdzajacych samochodow.

Prowadzila tam dluga polna droga. Problem stanowil domek straznikow wodnych, ktory MacLean musial minac. Na szczescie chatka stala u podnoza stromego zbocza. Mogl zgasic silnik i przejechac obok rozpedem. Na szczycie wzgorza wylaczyl zaplon i swiatla. W mroku i ciszy potoczyl sie w dol.

Z biciem serca obserwowal ciemne okna. Zaslony byly zaciagniete. Przed drzwiami stal stary humber. MacLean nabieral zbyt duzej szybkoosci i musial zwolnic. Modlil sie, zeby hamulce nie zapiszczaly, a pod kolami nie zachrzescil zwir. Udalo sie, domek zostal z tyłu. Zdjal noge z pedalu i ford znow sie rozpedzil. Za zakretem przekrecil kluczyk, wrzucil trzeci bieg i wolno puscil sprzeglo. Silnik zaskoczyl i samochod lagodnie przyspieszyl.

MacLean jechal wzdluz ogrodzenia, dopoki nie znalazl znajomej bramy. Wiedzial, ze za nia jest trawiaste zbocze, a pietnascie metrow nizej powierzchnia wody. Brzeg urywal sie gwaltownie, a jezioro mialo tu czterdziesci metrow glebokosci. Zaparkowal jak najblizej urwiska, wysiadl i rozejrzal sie. W swietle ksiezycy nie zauwazyl zadnych przeszkod. Zwolnil hamulec reczny i pchnal samochod. Na moment przerazil sie, ze ford zawisnie na krawedzi, wiec naparl na tylny zderzak. Czarna granada przechylila sie i runela do wody.

Chmury przeslonily ksiezyc i MacLean stracil ja z oczu. Po chwili znow zrobilo sie jasniej i zobaczyl, ze samochod utrzymuje sie jeszcze na powierzchni.

–Ton! – syknal. – Na litosc boska ton! – Rozlegl sie bulgot i ford przestal sie kolysac. Zanurzyl sie powoli i zniknal z widoku. Woda zakipiala na krotko, potem zapadla cisza.

MacLean przypomniał sobie nagle, że jest piętnaście kilometrów od miasta i został bez środka transportu. Był cały umorusany sadzą popiołem i błotem, a zmęczony jak po biegu maratonskim. Spojrzał w niebo i poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu. Ale to wszystko nie miało znaczenia. Przyziemne problemy pozwalały mu zapomnieć o tym, co działo się w jego głowie.

Dotarł do miasta skrajnie wyczerpany. Ulewa zmyła z niego większość brudu, ale zimno i wilgoc odbierały mu resztki energii. Była godzina porannego szczytu. Mijało go mnóstwo ludzi, lecz w strugach deszczu nikt nie zwracał na niego uwagi. Udało mu się wepchnąć do zatłoczonego autobusu. Pojechał w kierunku śródmieścia i wysiadł przy krytym basenie Royal Commonwealth. Wpadł na pewien pomysł, ale najpierw musiał zdobyć świeże ubranie. Znalazł w pobliżu sklep z tanim odzieżą.

–Przemokł pan do suchej nitki – zauważył sprzedawca.

MacLean uśmiechnął się słabo i wyrecytował, czego potrzebuje. Wkrótce wyszedł z dwiema plastikowymi torbami. Były w nich dwie pary dżinsów, dwie koszule, sweter, kurtka, solidne buty, skarpety i bielizna. Poszedł na basen i poprosił o bilet do sauny.

–Prosto z nocnej zmiany? – zagadnął mężczyzna z obsługi.

MacLean przytaknął i wymienił nazwę miejscowej kopalni.

Chciał szybko zdjąć brudne, przemoczone ubranie, ale zabrakło mu sił. Musiał się rozebrać spokojnie i powoli. Chromowany kurek prysznicowy wydał mu się kluczem do raju. Odkrecił go i długo stał w strumieniach ciepłej wody. Był pierwszym klientem. Wszedł do jednej z trzech kabin w saunie, rozłożył ręcznik i wyciągnął się na drewnianej ławce. Suche, gorące powietrze działało jak balsam na jego zmordowane ciało.

Kiedy wreszcie miał dość, wziął prysznic i owinał się przescieradłem kąpielowym. Usadził się wygodnie w sali wypoczynkowej i zasnął. Trzy godziny później zastał go tam mężczyzna z obsługi. Powinien był obudzić gościa, który przekroczył swój limit czasu, ale zrobiło mu się żal gornika. Praca w kopalni nie jest lekka, a spiaczy nikomu nie przeszkadzał.

MacLean ocknął się o trzeciej po południu. Kupił szampon i jednorazową maszynkę do golenia. Dyżurny pracownik nie omieszkał napomknąć, że złamał przepisy, pozwalając mu spać. MacLean odpowiednio podziękował. Ogolił się, ubrał i wepchnął stare ubranie do plastikowej torby. Zostawił napiwek i wyszedł. Umierał z głodu.

Po drugiej stronie ulicy zauważył pub. Wyrzucił torbę ze starym ubraniem do śmietnika i wszedł do lokalu. Wziął piwo i kanapki, które jeszcze zostały z pory lunchu. Zapchał się nimi, zanim jeszcze poczuł smak, ale myślał o czymś innym. Zobaczył u barmana pierwsze wydanie popołudniówki "Edinburgh Evening News" i zapytał, czy może zerknąć. Mezczyzna podał mu gazetę. Artykuł nie zdążył się pojawić w porannej prasie, ale teraz zajmował pierwszą stronę.

–Przykra sprawa – powiedział barman.

Zdjęcie przedstawiało dymiące zgliszcza białego domku. "Tragedia na przedmieściu", głosił tytuł. "Mezczyzna poniósł śmierć w płomieniach". MacLean czytał tekst z bijącym sercem. Niejaki Daniel Morrison, mieszkający z panią Tansy Nielsen i jej córeczką Carrie, zginął w pożarze domku nad Union Canal, wywołanym "tajemniczą eksplozją". Przedstawiciele Komisji Gazu prowadzą śledztwo. Według dyrekcji szpitala, córeczka pani Nielsen znajduje się w stanie krytycznym, a sama pani Nielsen w głębokim szoku. To już druga tragedia, która dotknęła tę rodzinę w ostatnich czasach. Rok temu mąż pani Nielsen został znaleziony martwy w garażu. Policja odmawia komentarzy na tym etapie dochodzenia.

–Cholerna Komisja Gazu! – warknął barman. – Jeśli chce pan usłyszeć moje zdanie, są gorsi od IRA.

MacLean oddał mu gazetę i wyszedł.

Niebo zaczęło się chmurzyć; znowu zanosilo się na deszcz. MacLean rozpoczął poszukiwania jakiegoś lokum w dzielnicy, w której się znajdował. Tak było najwygodniej. W pobliżu mieścił się uniwersytet. Mieszkało tu dużo studentów, przewijało się mnóstwo ludzi i panował ciągle ruch. To pozwalało zniknąć w tłumie.

Szedł wolno główną ulicą i rozglądał się za tabliczkami w oknach.

Miał trudności z określeniem charakteru dzielnicy. Nie wyglądała ani na dobrą, ani na złą. Nie pasowało do niej żadne uogólnienie. W innych częściach miasta nie spotkał się z taką mieszanką jak tutaj. Obok ponurych, zaniedbanych willi, z odpryskującą ze ścian farbą, stały okazałe, pięknie odnowione rezydencje. Prywatna szkoła dla dziewcząt sąsiadowała z podejrzany dwugwiazdkowym hotelikiem.

Minał dom starców i wzdrygnął się na widok nazwy. W dużym pokoju na parterze zobaczył grupkę pensjonariuszy. Siedzieli pod ścianami i tępo patrzyli w telewizor, który stał dumnie w wykuszowym oknie, jakby na pokaz. "Dolina Zachodzącego Słońca"? Na sam dźwięk tych słów można zapomnieć o problemach życia doczesnego, pomyślał MacLean. Przystanął przed napisem "Ciche pokoje do wynajęcia". Brzmiał zachęcająco.

Właściciel domu był goralem z zachodu. Miał miękki akcent i mówił irytująco powoli.

MacLean wolalby, żeby rozmowa trwała jak najkrócej.

Mezczyzna wygłosił najpierw monolog na temat zasad obowiązujących lokatorów, po czym sprawdził, czy w tej chwili dysponuje.

–Trochę pan za stary na studenta – stwierdził.

–Jestem wykładowca na wydziale chemii – skłamał MacLean. – Przyjechałem na zaproszenie uniwersytetu.

–To bardzo ciekawe, że...

–Chce pan jakas zaliczke? – przerwał szybko MacLean.

–Za tydzień z góry, jeśli można.

MacLean odliczył pieniądze. Właściciel wziął je z uśmiechem i wręczył mu klucz.

–Nazywam się MacLeod – powiedział. – Mieszkam tam... – wskazał drzwi na parterze. – Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dać znać.

MacLean położył się na łóżku. Oddalające się kroki zamilkły, drzwi na parterze trzasnęły i zapadła cisza. W pokoju panował przenikliwy chłód. MacLean wpatrywał się w sufit i rozmyślał. Do wczoraj sądził, że poznał już najgłębszą otchłań rozpacz, w jakiej może się pograć człowiek. Dzisiaj wiedział, że nie. Był odpowiedzialny za to, co spotkało Carrie. Ta bolesna świadomość sprawiła, że zaczął drzeć na całym ciele. Zaciśnął pięści, żeby się uspokoić, ale to nie pomogło. Musiał się dowiedzieć, w jakim stanie jest Carrie. A przedtem sprawdzić, czy Tansy otrzaskała się z szoku.

MacLean zastanawiał się, czy Tansy w ogóle pamięta, co się stało. Kiedy znalazł ją kłęczącą na trawie, była już prawie nieprzytomna. Zapewne podmuch pierwszej eksplozji wyrzucił ją z domku. Jej umysł mógł przestać rejestrować, co się dzieje dookoła. Możliwe, że nawet uwierzyła w jego śmierć w pożarze.

Przez chwilę rozważał, czy wyprowadzić ją z błędu. Miał teraz okazję zniknąć na zawsze z jej życia. Ale nie potrafiłby tak odejść. Zdarzyło się nieszczęście, a Tansy i Carrie znaczyły dla niego zbyt wiele. Trzeba zadzwonić do szpitala.

Obawiał się, że nie zechce udzielić mu informacji. Jeśli poda się za obcego, zbedą go frazesem w stylu "stan pacjentki jest na tyle dobry, na ile można oczekiwać". Jeśli przedstawi się jako krewny, niewiele to zmieni. Ale przynajmniej zorientuje się, czy Carrie żyje. Zszedł na dół do telefonu.

W holu leżał wytarty dywan i pachniało stęchlizną. MacLean zobaczył przez okno, że znowu pada. W słuchawce odezwał się szpital.

–Jest pan krewnym? – usłyszał MacLean w odpowiedzi na swoje pytanie.

–Tak. Bratem pani Nielsen.

–Bratem?

–Nazywam się Victor Nielsen. Właśnie przyjechałem ze Stanów. – MacLean przypomniał sobie w porę o wujku Carrie. Miał na imię Victor i pracował w Stanach Zjednoczonych.

–Stan pani Nielsen poprawia się – powiedziała pielęgniarka. – Nie doznała poważniejszych obrażeń i pewnie ją wypiszemy za dzień, dwa.

–A jej coreczka? – MacLeanowi pot wystąpił na czoło.

–Stan Carrie jest poważny, ale stabilny. Została przewieziona do innego szpitala na oddział oparzeń.

–Czy moja siostra wie o tym? – zapytał MacLean.

–Jeszcze nie. Od chwili przyjęcia do nas jest w szoku.

–Mogę ja odwiedzić?

Pielęgniarka zawahała się.

–W tej chwili to chyba nie najlepszy pomysł. Jest na silnych środkach uspokajających. Niech pan zaczeka dzień lub dwa.

–Czy mogę zostawić swój numer telefonu? Niech się odezwie, jeśli wcześniej poczuje się lepiej.

–Oczywiście. Kiedy tylko to będzie możliwe, przekaze jej, że pan dzwonił.

MacLean wyłączył się. Carrie żyła.

W czwartek wieczorem w holu zadzwonił telefon. MacLean leżał ubrany na łozku ze szklanka whisky. Przeczytał już prawie całą gazetę linijka po linijce; został mu tylko dział gospodarczy. Studiował właśnie ceny akcji firm farmaceutycznych, gdy z dołu dobiegło wołanie:

–Jest tu jakiś Victor Nielsen?

MacLean szybko zbiegł po schodach i wziął słuchawkę od młodego mężczyzny. Zauważył, że Murdo MacLeod uchylił drzwi i dziwnie mu się przygląda, ale nie obchodziło go to. Wiedział, że dla właściciela nazwisko nie jest ważne, gdy ktoś płaci

gotowka.

–Victor? – zapytala niepewnie Tansy.

MacLeanowi zaschlo w gardle. Zdawalo mu sie, ze minely wieki, zanim odwazyl sie odezwac.

–Tansy... To nie Victor. To ja... Sean.

–Sean?! – wykrzyknela i zaczela lkac. – Powiedzieli mi, ze zginales! Ale ja wiedzialam... – mowila bezladnie. – Sniles mi sie... Wyciagales Carrie z ognia... Widzialam to... Nie bylo cie w domku... Och, Sean! – Rozplakala sie na dobre.

MacLean dlugo ja uspokajal. Wreszcie sie udalo.

–Wiec kto zginal w pozarze? – spytala.

–Lehman Steiner nas znalazl, Tansy. Wyslali czlowieka, ktory wrzucil do domku granat zapalajacy. To on zginal w plomieniach.

–Rozumiem – powiedziala chlodniejszym tonem Tansy. – Gdzie byles? Dlaczego sie nie pokazales?

MacLean wyczul w jej glosie oskarzycielska nute.

–Wolalem, zeby uznano, ze nie zyje – odrzekl. – Ludzie z Lehman Steiner uwierza w to, kiedy zobacza gazety. Przystana mnie szukac i uwolnimy sie od nich na zawsze. Ty, ja i Carrie.

Celowo wymienil imie Carrie, zeby sie czegos dowiedziec. Ale Tansy milczala. Musial zapytac wprost.

–Widzialas Carrie?

–Nie. Przeniesli ja do innego szpitala. Dzieki Bogu, nic jej nie grozi – westchnela.

MacLean zorientowal sie, ze w szpitalu nie ujawnili Tansy calej prawdy.

–Wytlumaczyli ci, dlaczego ja przeniesli? – zapytal.

–Nie – odpowiedziala Tansy. – Ale przypuszczam, ze po prostu zabrali ja do szpitala dzieciacego, prawda?

MacLean zamknal oczy i wzial gleboki oddech.

–Tansy... Zabrali ja na oddzial ciezkich oparzen.

–O Boże, nie! Chyba nie chcesz powiedzieć... O Boże! Tylko nie twarz!

Tansy była bliska hysterii. MacLean nie mógł nic zrobić na odległość.

–To dopiero pierwszy dzień... – zaczął ją pocieszać. – Minie kilka tygodni, zanim prawidłowo ocenia uszkodzenia.

–Wiedziałaś! – natarła Tansy. – Musiałaś wiedzieć! Wynosiłeś ją z pożaru!

–W ciemnościach niewiele widziałem – bronił się MacLean. – Poza tym była cała w sadzy.

Tansy ochłonęła. MacLean pocieszał ją jeszcze bez przekonania, potem dał jej swój adres. Poprosił, żeby przyszła, jak tylko opuści szpital. Uprzedził właściciela domu, że żona przyjeżdża na weekend.

Tansy zjawiała się nazajutrz o dziesiątej trzydziestu rano. Przez chwilę stali w holu naprzeciw siebie dziwnie zakłopotani; nie widzieli się od pożaru. Skrepowanie minęło, gdy MacLean wziął ją w ramiona. Przytulili się mocno, a po jej policzkach popłynęły łzy.

–Kiedy mi powiedzieli, że zginęłaś, też chciałam umrzeć – szepnęła. MacLean otarł jej oczy i objęci weszli na schody. MacLean uchylił drzwi.

–Chyba nieczęsto się widujecie? – zagadnął. MacLean udął, że nie słyszy.

MacLean wypełniał luki w pamięci Tansy. Ona pytała, on odpowiadał.

–Wiec Vernay powiedział im, gdzie mieszkamy?

–Zmusili go – westchnął MacLean. Wciąż miał przed oczami straszna scena. Tansy ze smutkiem pokręciła głową.

–A wszystko układało się tak dobrze... Byliśmy tacy szczęśliwi we trojkę... Myślisz, że jeszcze kiedyś tak będzie?

–To zależy od nas samych – odrzekł cicho MacLean. – Musimy tego bardzo chcieć.

Jego słowa podniosły ją na duchu. Ożywiła się.

–Odbudujemy domek za pieniądze z ubezpieczenia! – Po chwili zdała sobie sprawę, że to niezbyt dobry pomysł. Zmarkotniała. – Nie, lepiej się przenieść gdzie indziej. Nieważne, abysmy tylko byli wszyscy razem.

Rozmowa zeszła na Carrie. Tansy próbowała wysondować MacLeana, czy dziewczynka ma szansę całkowicie wyzdrowieć. Pytała, ile potrwa leczenie, czy jest

bolesne i kiedy mała wróci do szkoły. MacLean wykrecal sie od odpowiedzi. Wyjasnil, ze nie moze ich udzielic bez obejrzenia Carrie.

–Pozwolili mi ja odwiedzić w przyszłą środę – oznajmiła Tansy. – Pojdziesz ze mną?

–Oczywiście.

MacLean i Tansy spędzili razem weekend. Rozstali się w poniedziałek rano. Na wieść o pożarze domku wielu dawnych przyjaciół Tansy znow się "ujawniło", jak to określiła. Powiedziała im, że wychodzi ze szpitala dopiero w poniedziałek rano. W sobotę i niedzielę chciała mieć święty spokój i być tylko z MacLeanem. W poniedziałkowy poranek pojawiła się na schodach szpitala. Miała ją odebrać zaprzyjaziłona para, Neville i Marjory. Zнали Tansy od lat; za życia Keitha cała czwórka należała do miejscowego klubu tenisowego. Tansy wydawało się teraz, że od tamtej pory minęły całe wieki.

Neville przyjechał sam. Był prawnikiem i wziął w kancelarii wolne przedpołudnie. Z upodobaniem odgrywał samarytanina. Wskoczył z samochodu i objął Tansy.

–Wprost nie wiem, co powiedzieć, kochanie... – westchnął. Pomógł jej wsiąść na przednie siedzenie, jakby nie potrafiła sama chodzić. Przez całą drogę do domu nie szczędził jej wyrazów sztucznego współczucia. W przerwach Tansy wtracała: "To bardzo uprzejme z twojej strony, Neville". Malo brakowało, żeby kazała mu zatrzymać samochód; chciała wysiąść i uciec jak najdalej. Nie zdążyła, bo akurat dojechali na miejsce. W drzwiach domu ukazała się Marjory.

Otoczyła Tansy ramionami niczym fala przyływu. Tansy stała nieruchomo i uśmiechała się. Marjory powtórzyła mniej więcej to samo, co mówił jej mąż. Potem zaprezentowała własny repertuar.

–Nasz dom jest twoim domem, kochanie, przecież wiesz... A co z biedną Carrie? Opowiedz mi, co z biedną, kochaną Carrie... Musisz się strasznie martwić... Nie przejmuj się ubezpieczeniem, Neville się wszystkim zajmie. Prawda, Neville? – Neville, który zamykał pochod, przytaknął.

Podczas rozmowy gospodarze ani razu nie wspomnieli o Danie Morrisonie. Widocznie uważali, że skoro "prostak" zginął w płomieniach, nie ma już o czym mówić. Kłopotliwy temat przestał istnieć i teraz Tansy powróci do towarzystwa, jak zblakana owca do stada. Wkrótce znow zacznie się pojawiać na przyjęciach i będzie miała wzięcie u wielu atrakcyjnych facetów. Tansy wiedziała, że powinna być wdzięczna Neville'owi i Marjory za pomoc, ale w tej chwili nienawidziła ich.

W środę Tansy pojechała do szpitala odwiedzić Carrie. Marjory pozyczyła jej swojego mini; wręcz nalegała: "W każdej chwili jest do twojej dyspozycji, kochanie". MacLean przyjechał autobusem. Spotkali się na parkingu. Niewiele mówili, idąc

wolno dluga zwirowa sciezka. Tansy wiedziala, ze dzis zdejma Carrie bandaze z twarzy. MacLean tez sie tego spodziewal.

Wiosenne slonce przyjemnie grzalo, wokol pachnialy kwiaty. Tansy nagle ogarnal strach; wolalaby nigdy nie dojsc do drzwi. Ociagala sie. Przystanela przy krzewie.

–Patrz, wypuszcza paki – pokazala. MacLean skinal glowa.

–Prawdziwa wiosna. – Objal Tansy. Doskonale rozumial, co przezywa.

Po krotkim oczekiwaniu wprowadzono ich do malego gabinetu. Za biurkiem siedzial lisy mezczyzna w bialym fartuchu. Mial na nosie okulary w polowkach oprawek i konczyl pisanie. Kiedy pielegniarka zamknela za soba drzwi, podniosl wzrok.

–Aaa... pani Nielsen... – Spojrzal na MacLeana. – I...?

–Jestem wujkiem Carrie – wyjasnil MacLean.

–A, tak... Maz pani Nielsen nie zyje. Jestem doktor Coulson, konsultant Carrie. Prosze siadac.

Tansy usmiechnela sie uprzejmie. MacLean pozostal obojetny. Nie podobal mu sie ten facet. Ale moze za wczesnie uprzedzil sie do niego?

–Pozwola panstwo, ze przedstawie sytuacje. Carrie dostala srodki uspokajajace, zeby nie czula bolu przy zdejmowaniu opatrunkow. Pielegniarki przygotowuja ja teraz do panstwa wizyty. Musze z gory uprzedzic, ze prawie na pewno konieczna bedzie operacja plastyczna.

MacLeana cos scisnelo za gardlo.

–A jak jej oczy, panie doktorze? – zapytala Tansy.

–Nie zostaly uszkodzone. Widzi doskonale.

Tansy zerknela na MacLeana. Usmiechnal sie, zeby dodac jej otuchy. Do gabinetu wrocila pielegniarka. Oznajmila, ze wszystko gotowe.

–Dobrze – powiedzial Coulson. – Moze najpierw ostrzege, ze...

Tansy juz sie podnosila z krzesla. Usiadla z powrotem. – ...To bedzie troche przygnebiajacy widok – dokonczyl lekarz. – Niestety, oparzenia skory raczej nie wygladaja... przyjemnie.

MacLean zauwazyl, ze Tansy zesztyniala. Zacisnela palce, az zbielaly jej kostki i wpatrywala sie w Coulsona z przestraczem. MacLean polozyl reke na jej dloni.

–Jestem gotowa – odezwała się ochryple.

–Do Carrie niewiele dociera – zaznaczył Coulson. – Nie musi pani udawać przed nią dzielnej matki.

Poprowadził ich długim korytarzem z oszkloną ścianą. Na zewnątrz widac było trawniki skapane w słońcu.

–Najpierw wejdziemy tutaj.

W pomieszczeniu czekały dwie pielęgniarki. Wzięły ich wierzchnie okrycia i pomogły włożyć fartuchy i maski chirurgiczne. MacLean wolałby, żeby bardziej zajęły się Tansy. Potrzebowała teraz kobiecego towarzystwa.

–Carrie jest tutaj... – Coulson otworzył drzwi do małej bocznej salki z na wpół zasuniętymi żaluzjami. Obandażowana Carrie leżała w łóżku, a dwie pielęgniarki układały na tacy instrumenty. MacLean patrzył na nią ze współczuciem; wydawała się taka mała i bezbronna. Przesunął lekko Tansy, udając, że jest mu trochę za ciasno. Ustawił ją tak, żeby widziała prawą, zdrową połowę twarzy Carrie.

Pielęgniarki przystąpiły do rozcinania bandazy. Od czasu do czasu przykładaly do nich tampony nasączone roztworem soli, żeby je odkleić. MacLean zerknął na Tansy. Sledziła te zabiegi wytrzeszczonymi oczami. Spróbował wziąć ją za rękę, ale odsunęła się.

Przygotowania zostały zakończone. Miejsce obok Carrie zajął teraz Coulson. Ostrożnie odwijał paski gazy i wrzucał do stalowego naczynia. W końcu pozostały tylko dwa opatrunki. Coulson usunął prawy. Na widok znajomej twarzyczki MacLeana ogarnęło wzruszenie. Tansy zwilgotniały oczy.

Coulson miał trudności ze zdjęciem drugiego opatrunku; przykleił się. Udało się dopiero po kilkakrotnym namoczeniu roztworem. Lewa część twarzy Carrie pozostała w cieniu, ale MacLean dostrzegł uszkodzenia. Przeraził się. Między dolną powieką i szyją tkanka była całkowicie zniszczona, a usta poważnie zniekształcone. Wątpił, czy Carrie będzie mogła mówić.

Tansy doznała wstrząsu. Coulson zaczął coś tłumaczyć, ale odwróciła się na pięcie i wypadła z sali.

–Siostro! – zawołał lekarz.

–Pojde po nią – wtracił się MacLean.

Tansy biegła na osłep korytarzem. Roztraciła dwie idące pielęgniarki, pchnęła drzwi i zniknęła na zewnątrz. MacLean znalazł ją na dworze. Przywierała do pnia kwitnącej

wisni. Delikatnie polozył jej dlonie na ramionach.

Obrocila sie sztywno jak wiezyczka czolgu.

–Ty to zrobiles! – wysyczala. – Ty jej to zrobiles! To twoja wina!

Jej slowa gleboko zranily MacLeana, ale nie bronil sie. Tansy miala racje. Nagle wpadla w histerie. Zaczela go okladac piesciami. Stal nieruchomo w sloncu, a po policzkach splywaly mu lzy.

Wscieklosc opuscila Tansy tak raptownie, jak ja opanowala. Rozplakala sie i wtulila w piers MacLeana. Blagala, zeby jej przebaczył. Objal ja mocno i zanurzył palce w jej wlosach. Zapewnil, ze nie ma czego przebaczac. Dobrze wie, ze powiedziala prawde: to jego wina.

–Nie – zaprzeczyla Tansy przez lzy. – To ja chcialam, zebyś zostal. Prosilam cie, wrecz blagalam.

Dopiero teraz pojawily sie pielegniarki. Szly ku nim przez trawnik. MacLean pokazal gestem, zeby nie podchodzily. Otoczył Tansy ramieniem i odprowadzil dalej od budynku, zeby byli zupełnie sami.

–Nie wiedzialam, co mowie – lkala Tansy. – Kiedy zobaczylam twarz Carrie..

–Wiem – odrzekl uspokajajaco MacLean. – Wiem.

–Och, Sean... Co my teraz zrobimy? – Podniosla na niego oczy pelne bolu.

–Chce ci cos przyrzec, Tansy.

Patrzyla na niego wyczekujaco.

–Zwroce ci Carrie taka, jaka byla – obiecal MacLean. – Potrafie tego dokonac, ale z twoja pomoca.

Tansy wytrzeszczyla oczy.

–Nie rozumiem... Widziales jej twarz, usta...

–Zrekonstruuje zniszczone miejsca cytogermem.

–Przeciez to juz przeszlosc!

–Mysle, ze uda mi sie go zdobyc – odrzekl MacLean.

W oczach Tansy blysnela nikla nadzieja, ale miala watpliwosci.

–Jesli nawet, to czy przy takich uszkodzeniach...

–Widzialem gorsze – przerwal MacLean. – Mozna to zrobic.

–Ale skad wezmiesz cytogerm?

–Pojade do Genewy, do firmy Lehman Steiner.

–Oszalales?! – wykrzyknela Tansy. – Zabija cie!

–Mam nadzieje, ze uwazaja mnie za martwego. A nawet jesli nie, to nie beda mnie szukac za swoim progiem.

–Ale skad wiesz, ze cytogerm jeszcze istnieje?

–Nie wiem – przyznal MacLean. – To jedna z trzech kart, na ktore musimy postawic.

–Z trzech?

–Pierwsza, ze Lehman Steiner wciaz ma zapasy cytogermu. Druga, ze w ciele Carrie nie ma uspionych komorek rakowych. Trzecia, ze zdobedziemy pieniadze; to przedsiwziecie bedzie duzo kosztowac. Byc moze pojdzie na to cale odszkodowanie za domek.

Tansy zaczela lkac.

–Oddam wszystko, do ostatniego pensa... – wykrztusila.

9

Wrocili do gabinetu Coulsona. Tansy przeprosila za swoje zachowanie. Lekarz wydawal pomruki zrozumienia, ktore MacLean uznal za nieszczerze. Coulson mowil juz takie rzeczy milion razy.

–Obawialem sie, ze na widok coreczki dozna pani szoku – powiedzial lekarz. Zgarnal z biurka papiery i otworzyl szuflade. – Ale zdziwi sie pani, co potrafimy zrobic w dzisiejszych czasach.

Coulson kreslil plany leczenia Carrie, nie przestajac sprzatac biurka. Mowil o calej serii przeszczepow skory.

MacLean sluchal tego z ciezkim sercem. Tansy chlonela kazde slowo.

–Ile to potrwa? – zapytala.

–Niestety, kilka lat – przyznał lekarz.

Tansy upadła na duchu, ale nie dała tego po sobie poznać. Wiedziała przynajmniej, czego się spodziewać, jeśli MacLean nie zdobędzie cytogerma. Zadawała pytania jak automat.

–Skąd będzie pochodziła tkanka do rekonstrukcji twarzy Carrie?

–Zasadniczo z innych części jej ciała – wyjaśnił Coulson. – Z ud, pośladków i tak dalej. A to nasza najnowsza pomoc... – Wziął z biurka coś, co przypominało sflaczony balon. – Umieszczamy to pod skórą pacjenta i z czasem stopniowo pompujemy. Wymusza to wzrost nowej tkanki nad tym urządzeniem, co zapewnia jej nadwyżkę służącą do przeszczepu.

Tansy machinalnie skinęła głową. Przypominała sobie opowieść MacLeana o cudach, jakich może dokonać cytogerm. Utkwiły jej w pamięci słowa, że przy rekonstrukcji twarzy przeszczepy skóry z pośladków nigdy nie dawały takich efektów.

MacLean też pamiętał to zdanie i teraz załował, że je wypowiedział.

Coulson zerknął na zegarek i wyprostował się na krześle, jakby chciał dać do zrozumienia, że rozmowa skończona.

–Nie ma pani więcej pytań?

–Chyba nie... – odrzekła niepewnie Tansy i spojrzała na MacLeana.

–Rozumiem, że do pierwszej operacji mamy jeszcze trochę czasu? – odezwał się MacLean.

Lekarz przytaknął.

–Najpierw stan Carrie musi się ustabilizować! Potem zobaczymy, jak sprawy stoja, i przeprowadzimy zabieg.

–To dobrze. Ale nie zrobicie niczego bez wcześniejszego zawiadomienia pani Nielsen, prawda?

Coulson popatrzył na MacLeana dziwnym wzrokiem.

–Oczywiście, że nie.

–To dobrze – powtórzył zadowolony MacLean.

–O co ci chodziło? – zapytała Tansy, kiedy wyszli ze szpitala.

–Nie chciałem, żeby cokolwiek robił bez twojej wiedzy – wyjaśnił MacLean.

–Chyba ma obowiązek uzyskać moja zgodę?

–Oficjalnie tak. Ale nie wszyscy tego przestrzegają. Chirurdzy czasem najpierw robią swoje, a dopiero potem wypełniają papiery.

–A co na to rodziny pacjentów? – zdziwiła się Tansy. – Nie awanturuja się?

–Nie ma nic prostszego pod słońcem, niż wmówić krewnym, że działania lekarza wyszły tylko choremu na dobre.

–Rozumiem. MacLean uśmiechnął się.

–Chciałem mu pokazać, że należymy do tych, którzy będa się awanturować.

–Wiele się nauczyłam – powiedziała Tansy. – I pomyślałam, że miałam takie zaufanie do lekarzy...

Kiedy MacLean zamieszkał w domku Tansy, dał jej wszystkie posiadane pieniądze. Teraz musiał za coś żyć. Zdawała sobie z tego sprawę i wręczyła mu kopertę.

–Kiedy będziesz potrzebował naprawdę dużej sumy? – zapytała.

–Jeszcze nie wiem. Najpierw muszę ułożyć plan działania.

–Będziemy się widywać?

–Może przyjdiesz do mnie jutro wieczorem? Zgodziła się i zapytała, czy podwieźć go do miasta. MacLean pokręcił głową.

–Lepiej nie. Musimy być ostrożni. Pogładziła go po policzku.

–Wierzysz, że Carrie ma szansę, prawda? – Patrzyła na niego jak mała, bezbronna dziewczynka. Bardzo chciała usłyszeć "tak".

–Tak – odrzekł MacLean.

–Uważaj na siebie.

–Ty też.

MacLean patrzył przez chwilę na odjeżdżającego mini. Stał tyłem do słońca i czuł na karku ciepło. Myślał o tym, że właśnie zrobił pierwszy krok w kierunku zamglonego horyzontu. Obawiał się na tej drodze wielu niebezpieczeństw, ale był przekonany, że nie zawróci. Im prędzej zajmie się przyszłymi problemami, tym lepiej.

Kiedy wieczorem lezał na łozku, dostrzegł pierwszą przeszkodę do pokonania. Jak dostać się do Szwajcarii? Nie wiedział, gdzie Lehman Steiner ma swoich ludzi, jednak podróż z własnym paszportem mogła się równać samobójstwu. Skoro wytropili go, ledwo rozpoczął pracę w brytyjskim szpitalu, natychmiast dowiedza się, że przekroczył granicę szwajcarską.

MacLean pomyślał nagle o mezu Tansy. Z jej słów wynikało, że był mniej więcej w jego wieku. Jeśli zachował się akt urodzenia Keitha, mógłby to wykorzystać. Wystarczyłoby przedstawić ten dokument i własne zdjęcie na pocztę, żeby otrzymać paszport turystyczny ważny na rok. Używanie tożsamości Keitha Nielsena nie powinno być ryzykowne na krótką metę. Tylko czy akt urodzenia nie splonął w pożarze? Zapytał o to Tansy w czwartek wieczorem.

–Wszystkie nasze papiery są w sejfie bankowym – powiedziała. – A dlaczego?

MacLean wyjaśnił.

Obiecała zdobyć dokument nazajutrz rano.

–Jakie masz dalsze plany? – spytała.

–Będzie improwizował – odrzekł MacLean. – Polece do Genewy w poniedziałek lub wtorek; zależy, kiedy dostanę paszport i miejsce w samolocie. Zatrzymam się w jakimś małym hotelu i zadzwonię do kogoś. Potrzebuje informacji z wewnątrz firmy.

–To może być niebezpieczne – zauważyła Tansy. – A jeśli ten ktoś się wygada?

–Muszę wiedzieć, co się działo w Lehman Steiner przez ostatnie lata. Zatelefonuję do Ewy Stahl, mojej byłej pielęgniarki operacyjnej.

Tansy skinęła głową.

–Pamiętam. Zwrociłeś jej młodość.

–Zgadza się.

–Możesz jej zaufać?

–Mam nadzieję. Lubiliśmy się.

–I jest ci winna przysługę – dodała Tansy.

–Właśnie – przytaknął z uśmiechem MacLean.

–Mogła już odejść z firmy.

–To prawda – przyznał MacLean. – Ale może znać tam kogoś, kto mi się przyda.

–Masz jej adres?

–Sprzed czterech lat. Ale od czegoś trzeba zacząć.

MacLean i Tansy nie mogli się pozbyć przygnębiającego skrepowania. Oboje czuli się winni po jej wybuchu w szpitalu. Ona robiła sobie wyrzuty, że była niesprawiedliwa wobec niego. On nie mógł sobie wybaczyć, żeściągnął nieszczęście na nią i Carrie. Zawsze się tego obawiał i stało się. Teraz pragnął wszystko naprawić. Był pod wielką presją, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że podjął się bardzo niebezpiecznego zadania.

Mimo najlepszych chęci nie potrafił przestać myśleć o tym, co go czeka. Zachowywał się z rezerwą i nie mógł na to nic poradzić. Tansy uważała, że to ona doprowadziła do takiej sytuacji; wymusiła na nim, żeby coś zrobił. Cierpiała, bo miłość do MacLeana walczyła w niej z miłością do Carrie.

–Lepiej już pójdę – odezwała się z zakłopotaniem. – Neville i Marjory będą się zastanawiać, gdzie się podziałam.

MacLean przytaknął z uśmiechem i wstał, żeby ją odprowadzić. Patrzyli na siebie przez chwilę.

–Och, Sean! – powiedziała nagle Tansy. Oparła głowę na jego piersi i zamknęła oczy. Poczula wielką ulgę, kiedy ją objął i pocałował we włosy. – Tak bym chciała znaleźć inny sposób...

–Wszystko będzie dobrze – szepnął MacLean. – Obiecuję.

Umówili się na jutro rano. Tansy miała przynieść akt urodzenia Keitha i pieniądze na podróż do Genewy.

MacLean z duszą na ramieniu stał w kolejce na poczcie. Zazwyczaj się niecierpliwił, kiedy musiał czekać, ale dziś dziwnie mu się nie spieszyło. Był wręcz zadowolony, że klient przed nim marudzi przy okienku; zadawał mnóstwo pytań, na które urzędnik nie potrafił odpowiedzieć. MacLean po raz kolejny obejrzał swoje zdjęcie zrobione w automacie na dworcu i akt urodzenia Keitha Nielsena. Nielsen urodził się w Aberdeen, a jego matka miała na imię Christabel. Ładnie, pomyślał MacLean. W tym momencie usłyszał:

–Następny.

MacLean wsunął dokumenty i fotografie pod szklaną przegrodę. Staral się zachowywać swobodnie, co nie przyszło mu łatwo pod surowym spojrzeniem

urzednika. Udal, ze oglada plakaty na scianie. Ponury mezczyzna w okienku skonczyl porownywac jego twarz ze zdjeciem i zabral sie do pisania. MacLean zastanawial sie, dlaczego personel na poczcie nigdy sie nie usmiecha. Zerknal na druga kolejke. Tam tez obslugiwano klienta bez usmiechu. Ucza ich, zeby nie okazywali zadnych emocji? Kaza im cwiczyc przed lustrem te kwasne miny? Moze dlatego w kazdy piatek rano zamykaja poczte na pol godziny? Jasne, szkolenie personelu. Wyobrazil sobie rzad pryszczatych urzednikow powtarzajacych chorem: "Nastepny".

Glosny stuk pieczatki wyrwal MacLeana z zamyslenia. Mial paszport! Urzednik pchnal dokument pod szklana przegroda i zwrocil akt urodzenia Keitha Nielsena. MacLean schowal papiery do wewnetrznej kieszeni.

–Dziekuje – powiedzial.

Mezczyzna w okienku spojrzal w przestrzen.

–Nastepny.

MacLean i Tansy spotkali sie o pierwszej po poludniu. Zjedli lunch w malym lokalu na tybach Princes Street. MacLean oddal Tansy akt urodzenia.

–Byly jakies problemy? – zapytala.

–Zadnych.

–Kiedy lecisz?

–Mam rezerwacje na wtorek.

–Zobaczymy sie jeszcze? MacLean pokrecil glowa.

–Lepiej nie. Twoi przyjaciele moga nabrac podejrzen.

Tansy otworzyla usta, zeby zaprotestowac, ale powstrzymal ja gestem.

–Poza tym potrzebuje troche samotnosci. Musze sie przygotowac. Zadzwoenie zaraz po powrocie.

–Bedziesz bardzo uwazal, prawda? – powiedziala ze smutkiem w oczach. MacLean przytaknal z usmiechem.

–Mozesz byc pewna.

MacLean spedzil weekend na intensywnych cwiczeniach fizycznych. Chcial byc przygotowany na wszystko, co mogla przyniesc przyszosc. Poza tym wysilek mial dzialanie terapeutyczne. Rozjasnial mu umysl i uwalnial od strachu. Wybral sie na

wzgorza Pentland Hills na południowych obrzeżach miasta.

W sobotni poranek wspiał się stroma ścieżka na szczyt Turnhouse Hill i pobiegł grzbietami wzgórz. Pokonał całą długość lancucha. Po drodze wdrapał się na Carnethy, Scald Low oraz na East i West Kip. Potem pozwolił sobie na kwadrans odpoczynku i zjadł dwa batony czekoladowe. Wracal tą samą trasą.

Był zmęczony, ale zadowolony. Okazało się, że jest w dobrej formie. Niepokoił go tylko własny stan psychiczny.

Zaledwie kilka miesięcy temu znalazł się u kresu wytrzymałości i postanowił ze sobą skończyć. Czy całkiem wyleczył się z depresji? Miłość do Tansy i Carrie pomogła mu się pozbierać, ale czy jest zdolny stawic czoło potężnemu przeciwnikowi? Czy jest już na tyle odporny, że się nie załamie? Przyznał niechętnie, że nie jest tego zupełnie pewien. W życiu nie sposób z góry przewidzieć, kto będzie bohaterem, a kto tchorzem. Okazuje się to dopiero podczas prawdziwej próby. Większość ludzi nigdy nie musi jej przechodzić, ale MacLean czuł, że jego to nie minie.

Dobiegł do końca trasy i opadł wyczerpany na zbocze powyżej zbiornika wodnego Glencorse. Ledwie dyszał i waliło mu serce. Leżał na plecach w bujnej trawie i patrzył na obłoki płynące na wschód, w kierunku Firth of Forth. Widoczność była dobra; w ujściu rzeki zobaczył platformę wydobywczą, zdążającą na holu na Morze Północne. Uśmiechnął się do wspomnień.

W niedzielę, choć mięśnie mu zesztywniały, powtórzył trening. Zmienił tylko trasę powrotną; pobiegł przez sosnowy las na zachód od Caerketton. Na tym zakończył sprawdzian wytrzymałościowy. Znowu doprowadził się do krancowego wyczerpania, ale tego właśnie chciał. Zamierzał się przekonać, czy Nick Leavey mówił prawdę, że siła woli można pokonać słabość ciała. Trzeba się tylko skoncentrować.

Upewnił się, że jest sam, i wybrał gałąź. Sterczała dwa metry nad ziemią i miała jakieś osiem centymetrów grubości. Zapamiętał jej położenie, stanął tyłem i zamknął oczy. Wyciągnął z kieszeni monetę i podrzucił. Kiedy upadła, błyskawicznie obrócił się na lewą stronę, wyskoczył do góry i wyrzucił przed siebie prawą nogę. Kopnięta gałąź odłamała się z głośnym trzaskiem.

Zadowolony ruszył przez las. Wyobrażał sobie, że galezie z prawej i lewej to przeciwnicy. Rozprawiał się z nimi celnymi uderzeniami nog. Niedaleko skraju lasu napotkał czterech ostatnich "wrogów". Postanowił załatwić ich w ciągu pięciu sekund. Wziął głęboki oddech i zaatakował. Pierwszego trafił prawą stopą na wysokości oczu. Drugiego zdzielił lewą ręką, trzeciego kopnął znowu prawą nogą. Czwarta gałąź pękła od ciosu nasadą prawej dłoni.

MacLean wynurzył się spod drzew i w odległości dziesięciu metrów zobaczył

dwojke turystow. Mieli niewiele ponad dwadziescia lat i czerwone kurtki. Siedzieli z kanapkami w rekach i wlepiali w niego niespokojne oczy. Musieli widziec jego ostatnia "walke". Poczul sie glupio i chcial sie natychmiast wytlumaczyc, ale stlumil ten odruch.

Przez chwile wpatrywali sie w siebie. Mlodzi ludzie trwali w bezruchu, MacLean dyszal ciezko. Byl nieogolony i mial wlosy mokre od potu. Wilgotna bluza lepila mu sie do ciala. W koncu przerwal milczenie.

–Znow mamy piekny dzien – powiedzial uprzejmie i poszedl swoja droga.

We wtorek o czwartej trzydziesci po poludniu wyladowal w Genewie. Jak zwykle padalo i przy zetknieciu z mokrym asfaltem kola samolotu wzbily do gory wodna mgla. MacLean zatrzymal sie na moment na szczycie schodkow i popatrzył na znajomy budynek terminalu. Powinien czuc sie tak, jakby wracal do domu, ale bylo zupełnie inaczej. W otaczajacej go ponurej szarosci czaila sie grozba, az przeszly mu ciarki po plecach. Stewardesa u dolu schodkow usmiechala sie machinalnie do kazdego pasazera, ale zadnego nie dostrzegala. Ospaly urzednik kontroli paszportowej zajrzal do dokumentu MacLeana i zapytal o cel przyjazdu.

–Jestem turysta – odparl MacLean. Mezczyzna niedbale wskazal reka, ze moze przejsc. A wiec wrocil.

Podczas jazdy do miasta MacLean rozmyslal o przeszlosci. Znajome budynki i restauracje przypominaly mu o karierze i stylu zycia, ktory tak lubil, zanim zaczela sie sprawa z cytogermem. Przeszedl daleka i ciezka droge od znanego chirurga-eksperymentatora do robotnika na platformie wiertniczej. Posmutnial, lecz nie czul juz gniewu. Los wynagrodzil mu utrate dobrej pracy, ale nigdy nie wynagrodzi smierci bliskiej osoby, pomyslal na widok sklepu, gdzie Jutte kupowala mu ubrania. Popatrzył na nieruchomego manekina na wystawie i scisnelo mu sie serce.

Taksowka mijala hotel "Stagelplatz". MacLean obojetnie spojrzal w gore. Caly czas pamietal, ze nie wolno mu ulegac emocjom. Doyle i Leavey zawsze to podkreslali: "Kiedy sprawa staje sie osobista, zaczynasz kopac sobie grob. Okresl dokladnie, co chcesz osiagnac, zaplanuj i wykonaj. Nie zmieniaj planu dopoki nie jestes zmuszony". Przybyl do Genewy, zeby zdobyc cytogerm. To jedyny cel jego przyjazdu. Nie bedzie zalatwial starych porachunkow.

Kierowca zajechal przed maly hotelik. MacLean zaplacyl i wysiadl. Podobalo mu sie tutaj. Bylo czysto, przytulnie i anonimowo. Zameldowal sie i poszedl do pokoju. Zrobil sobie kawe i zastanowil sie, jak najlepiej skontaktowac sie z Eva Stahl. Zerknal na zegarek i postanowil nie dzwonic. Wezmie prysznic, przebierze sie i pojdzie do niej. To tylko cztery kilometry, z przyjemnoscia sie przejdzie.

Deszcz przestał padać, ale ulice jeszcze nie wyschły. MacLean wmieszał się w tłum dobrze ubranych przechodniów. Wieczorem Genewa wyglądała elegancko. Gdy mijal jasno oświetlona kawiarnie, poczuł mocny aromat kawy i zapach drogich cygar. Wdychał go z przyjemnością. Ktoś otworzył drzwi i z wnętrza dobiegł śmiech. Miły dźwięk, pomyślał MacLean. Ale od tego świata dzieliły go tysiące kilometrów.

MacLean odnalazł właściwą ulicę. Dopiero teraz przypomniał sobie, że kiedyś tu bywał. Eva i jej mąż od czasu do czasu urządzali przyjęcia. Wyleciało mu to z głowy, bo takie spotkania towarzyskie zawsze i wszędzie są takie same. Drzwi budynku zostały otwarte. Wjechał winda na czwarte piętro, ale nie pamiętał, czy ma skręcić w lewo, czy w prawo. Poszedł w prawo i ucieszył się na widok nazwiska "Stahl" na trzecich drzwiach.

Otworzył mężczyzna. MacLean poznał męża Ewy i uśmiechnął się.

–Pewnie mnie pan nie pamięta – powiedział. – Kiedyś pracowałem z Eva.

Stahl przysunął się bliżej, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Niezbyt przyjazna mina i zmrużone oczy nasunęły MacLeanowi podejrzenie, że jest pijany. Minęła dopiero siódma wieczorem.

–A, tak... – mruknął Stahl. – Przypominam sobie.

Przyglądał mu się w milczeniu i MacLean poczuł się zakłopotany.

–To pan zmienił jej twarz, zrobił z niej piękność...

–Stało się coś złego? – zaniepokoił się MacLean. Mężczyzna odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się gorzko.

–Złego?! – wykrzyknął. – A co się miało stać złego?

–Może porozmawiamy w środku? – zaproponował MacLean. Stahl cofnął się, sklonił nisko i wykonał zamasztysty gest.

–Serdecznie zapraszam, drogi doktorze – zadrwił. – Przynajmniej będę mógł się napić z facetem, który zrobił z mojej żony dziwkę.

MacLean został za progiem.

–Eva już tu nie mieszka?

–Nie, drogi doktorze. Rozeszliśmy się dwa lata temu.

–Zna pan może jej nowy adres?

–Nie znam i nie chce znac – odparł Stahl z wyraźną satysfakcją.

–W takim razie dobranoc. – MacLean odwrócił się na piecie i ruszył do windy.

–Nie chce pan usłyszeć ze szczegółami, jak to było? – zawołał za nim Stahl.

–Nie, dziękuję – rzucił przez ramię MacLean. Stahl nie był mu już potrzebny.

MacLean siedział w barze hotelowym i zastanawiał się, co dalej. Jeśli Eva Stahl ponownie wyszła za mąż lub z kims mieszka, nigdy jej nie znajdzie. Ale jeśli ma własne mieszkanie, może jest w książce telefonicznej.

Eva Stahl figurowała w spisie pod adresem Rue Martin 69. MacLean zanotował telefon na podstawce do piwa i zadzwonił z kabiny w holu hotelowym. Wstąpiła w niego nadzieja; wydawało mu się, że rozpoznał kobiecy głos.

–Czy rozmawiam z tą Evą Stahl, która pracowała w Lehman Steiner?

–Nadal tam pracuje. A kto mówi?

–Sean MacLean.

W słuchawce zapadła długa cisza. Potem kobieta zapytała:

–Sean? To naprawdę ty?

MacLean zapewnił, że on we własnej osobie.

Eva nie mogła opanować wzruszenia. Zająknęła się kilka razy, zanim wykrztusiła:

–Sean, nie masz pojęcia, jak się cieszę. Nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. Mówili, że miałeś jakieś złamanie nerwowe. Próbowałam cię znaleźć, ale wyjechałeś.

–Możemy się spotkać? – zapytał MacLean.

–Oczywiście! – odparła z entuzjazmem. – Może jeszcze dziś wieczorem?

–Miałem nadzieję, że to zaproponujesz – powiedział MacLean. Umówili się za godzinę przy zegarze kwiatowym w Jardin Anglais. MacLean mógł tam dojść w dziesięć minut. Zamówił następne piwo.

Kiedy MacLean zobaczył nadchodzącą Eve, poczuł lekki przyływ zawodowej dumy. Miała na sobie granatowy kostium, który podkreślał jej urodę. Upięte z tyłu włosy odsłaniały klasyczne rysy pięknej twarzy. Zauważyła, że taksuje ją wzrokiem. Uśmiechnęła się.

–Jak mnie oceniasz?

–Wygladasz szalowo.

–Dzięki tobie. – Wziela go pod reke i poszli spacerkiem przed siebie.

–Na pewno jestes zadowolona? – zapytal ostroznie MacLean.

–Oczywiscie. Masz watpliwosci?

Opowiedzial o wizycie w jej dawnym mieszkaniu.

Skinela glowa.

–Rozumiem... Rozmawiales z Peterem i powiedzial ci, ze stalam sie babilonska nierzadnica?

–Cos w tym rodzaju – przyznal MacLean.

Eva westchnela.

–Prawdziwa ironia losu. Dopoki bylismy malzenstwem, nigdy nie mialam innego mezczyzny. Kochalam Petera. Ale nie mogl sie pogodzic z tym, jak wygladam po operacji. Zrobil sie chorobliwie zazdrosny i podejrzliwy. Jesli wrocilam pozno do domu, to na pewno mialam randke. Jesli szlam do pracy na inna zmianie, niz powinnam, to na pewno dlatego, ze chcialam sie spotkac z "tamtym". Jesli ktos zadzwonil i okazalo sie, ze to pomyłka, na pewno "tamten" sprawdzal, czy jestem sama. W koncu nie moglam tego dluzej wytrzymac i odeszlam. Zamieszkalam sama.

–A teraz?

–Jestesmy rozwiedzeni.

–Wiem, mowil mi.

–Chciales zapytac, czy w moim zyciu jest ktos nowy? Jest. Ma na imie Jean-Paul i jestesmy bardzo szczesliwi.

–Ciesze sie – powiedzial MacLean. – Dalej pracujesz w Lehman Steiner?

–Tak – przytaknela Eva. – Wracasz moze do firmy? Dlatego przyjechales?

MacLean zaprzeczyl i przez chwile zastanawial sie nad odpowiedzią. Nie chcial mieszac Ewy do tej koszarnej sprawy bardziej niz to konieczne. Z drugiej strony... musial jej cos powiedziec, skoro oczekival od niej pomocy. Najpierw uprzedzil ja, ze nikt w firmie nie moze wiedziec, ze on zyje, a tym bardziej, ze jest w Genewie.

Zdradził jej, że używa teraz nazwiska Keith Nielsen. Eva była zaskoczona, ale obiecała dochowac tajemnicy. MacLean zapytał ją o cytogerm.

–Przecież to się skończyło, zanim wyjechałaś!

–I od tamtej pory nie słyszałaś, żeby go używali?

–Oczywiście, że nie! Okazał się zabójczy, nie pamiętasz? Jako jedna z niewielu miałam szczęście.

MacLean skinął głową. Musiał jej powiedzieć więcej.

–Podejrzewam, że Lehman Steiner nadal go używa. Nie wiem do czego, ale zamierzam się dowiedzieć.

–Skąd ten pomysł? – zdziwiła się Eva.

MacLean opowiedział jej, co spotkało zespół, który pracował nad cytogermem. Wytrzeszczyła oczy; była przerażona.

–Wiedziałaś, że Kurt nie żyje, ale reszta? To straszne.

–Laczyło nas tylko jedno: cytogerm – wyjaśnił MacLean.

–Wiec wróciles, żeby odkryć, dlaczego tamci zgineli? – domysliła się Eva.

–Nie – odparł MacLean. – Potrzebuje trochę cytogermu, Evo. I to bardzo. Otworzyła usta.

–Ale chyba go nie użyjesz? To zbyt niebezpieczne.

–Nie mam innego wyjścia, przysięgam. Eva poznała po jego oczach, że cierpi.

–Opowiedz mi o tym – poprosiła.

MacLean opowiedział, co spotkało Carrie. Podkreślił, że kocha ją jak własne dziecko i wini się za "wypadek". Eva scisnęła go za ramię.

–Bardzo mi przykro. – Obiecała, że zapyta o cytogerm.

–Nie! – zaprotestował ze zgrozą MacLean. – Nikomu o tym nie wspominaj!

–Jak mam się czegoś dowiedzieć, skoro nie mogę o tym wspomnieć? MacLean zapytał, czy pamięta nazwisko Von Jonek.

Eva uśmiechnęła się kwasno.

–Pamiętam. Rzadko miałam okazje widzieć cie tak wściekłego. Przyszędł do kliniki, prawda?

–Tak. Po dokumentacje dotyczaca cytogermu. Widzialas go jeszcze kiedyś?

Zastanowila sie.

–Dalabym glowe, ze tak. Tylko nie moge sobie przypomniec, przy jakiej okazji. Czy to wazne?

MacLean przyznal, ze tak; osoba Von Joneka moze byc kluczem do znalezienia cytogermu.

–W firmie powiedzieli mi kiedyś, ze to archiwista, ale nie wierze. Nie dlatego interesowal sie cytogermem.

–Mam sie o nim czegos dowiedziec? – zapytala Eva.

–Bylbym wdzieczny. Ale zachowuj sie bardzo ostrocznie. Nikogo o nic nie pytaj. Sprobuj cos znalezc w komputerze.

–Dobrze. Zobacze, co sie da zrobic. Skoro juz przy tym jestesmy, interesuje cie cos jeszcze?

–Chcialbym ustalic, czy firma Lehman Steiner zajmuje sie projektem zakodowanym pod nazwa Der Amboss.

–Der Amboss... – powtorzyla Eva.

–O ile wiem, to znaczy "kowadlo" – wyjasnil MacLean. – O to tez nikogo nie pytaj. Po prostu postaraj sie cos wygrzebac.

Eva skinela glowa.

–To wszystko?

–Moze uslyszysz plotki o jakims skandalu. Usmiechnela sie.

–Gdzie? W szatni pielegniarek?

–A gdziezby indziej? – odparl MacLean.

–Jak cos podslucham, to ci powiem – obiecala Eva.

–Wiem. – MacLean popatrzył na nia z wdziecznoscia.

–Moze przyjdiesz jutro na kolacje? – zaproponowala. – Poznasz Jean-Paula i powiem ci, czy cos znalazlam.

MacLean przyjal zaproszenie i zapisal adres.

MacLean lezal w lozku i z zadowoleniem myslal o pierwszym dniu w Genewie. Wszystko poszlo dobrze. Jedyna przykra sprawa byla rozmowa z Peterem Stahlem. Przyszlo mu do glowy, ze moze w pewnym stopniu jest odpowiedzialny za powstala sytuacje. Ale o ile pamietal, Stahl nie spodobal mu sie juz przy pierwszym spotkaniu. Bardzo mozliwe, ze Eva i tak by od niego odeszla. MacLean nie zmierzal robic sobie wyrzutow. Wystarczy tego obwiniania sie. Zaczal ukladac plan na jutro. Mial nadzieje, ze Eva przypomni sobie, przy jakiej okazji widziala Von Joneka. Zasnal, majac przed oczami jego twarz.

Kilka mil od hotelu MacLeana Eva Stahl tez myslala o Von Joneku. Nie mogla zasnac; byla zla, ze nie potrafi sobie przypomniec, gdzie go widziala. Im bardziej wysilala pamiec, tym trudniej bylo jej sie skoncentrowac. Westchnela i przekrecila sie na bok trzeci raz w ciagu trzech minut. Spiacy obok Jean-Paul mruknal z niezadowoleniem. Eva przestala sie wiercic i myslala dalej. Po pol godzinie doznala olsnienia. Nareszcie! Usmiechnela sie w ciemnosci i przytulila do plecow Jean-Paula.

MacLean odetchnał z ulgą, gdy okazało się, że Jean-Paul Rives to mężczyzna po czterdziestce. Trochę się obawiał, że uroda Evy mogła przyciągnąć jakiegoś młodzika i zastanie tu dwudziestoletniego gwiazdora muzyki pop w spodniach z lamparciej skóry. Tymczasem jej nowy towarzysz życia nosił okulary, był wysoki, lysiał i miał ujmujący sposób bycia. MacLean od razu poczuł się przy nim swobodnie. Rives zaproponował, żeby się napili, zanim Eva wynurzy się z kuchni. Weszła do pokoju oblizując palce i poprosiła Jean-Paula o drinka. Podeszła do MacLeana i cmoknęła go w policzek.

–Jak się dogadujecie? – zapytała. Rives podał jej szklaneczkę.

–Jean-Paul też pracuje w Lehman Steiner – dodała.

MacLean starał się zachować uśmiech na twarzy. Eva zauważyła jego minę i scisnęła go za ramię.

–Bez obaw. Możesz mu powierzyć te same sekrety, co mnie. Rives położył palec na ustach.

–Bede milczał jak grob. MacLean rozchmurzył się.

–Jestes lekarzem czy naukowcem, Jean-Paul?

–Ani jednym, ani drugim – odparł Rives. – Księgowym.

–Ale budżet domowy nic na tym nie zyskuje – wtraciła Eva. Rives uśmiechnął się i objął ją.

–Jakos sobie radzimy, kochanie. – Eva przytuliła się do niego. Dobrze im ze sobą, pomyślał MacLean.

Po wspaniałej kolacji Rives opowiedział MacLeanowi, jak poznał Eve, gdy była już w trakcie rozwodu.

–Odpowiadałem wtedy za finanse nowo otwartej kliniki firmy, specjalizującej się w leczeniu bezpłodności. Eva prowadziła tam nabor personelu pielęgniarstwa.

MacLean spojrzał na Eve.

–Nie jesteś już instrumentariuszka?

Pokreśliła głową.

–Po niepowodzeniu z cytogermem firma zaczęła odchodzić od badań z zakresu chirurgii. Skoncentrowali się na innych rzeczach. W porę wyczułam, skąd wieje wiatr i postarałam się o stanowisko przełożonej pielęgniarek w nowej klinice. To było

dobre posuniecie; lubie te prace.

–Jaki rodzaj uslug swiadczy ta klinika? – zainteresowal sie MacLean.

–Pelny zakres – odrzekla Eva. – Od poradnictwa wstepnego do zaplodnien in vitro i implantow.

–Znow to samo! – wykrzyknal Rives z udawana zgroza. – Czy w tym domu nie mozna zjesc posilku bez rozmowy o ludzkich wnetrznościach?

MacLean zaczal z usmiechem przepaszac, ale Eva przerwala mu.

–Nie przepaszaj. Jean-Paul lubi udawac laika, choc doskonale wie, co to sa implanty.

Rives zamachal rekami w typowo galijski sposob.

–Oui. Mama i tata uprawiaja milosc w probowce, a wy wkładacie dzidziusia z powrotem do brzuszka mamusi. Nie jest tak?

–Sam bym tego lepiej nie opisal – rozesmial sie MacLean.

–Co za czasy... – westchnal Jean-Paul. – Zadnego romantyzmu.

–Udaje – powiedziala Eva. – Naprawde obchodza go tylko liczby.

–A tak – przyznal Rives. – Przy wlasciwym zestawieniu moga tworzyc wspaniala kompozycje. Zgodny bilans jest jak walc Straussa, sonet Szekspira, obraz Cezanne'a...

MacLean usmiechnal sie. Polubil Jean-Paula.

Przy kawie MacLean zapytal Eve o Von Joneka.

–Mylilam sie – odpowiedziala. – Juz go potem nie widzialam. MacLean ledwo mogli ukryc rozczarowanie.

–Ale zetknelam sie z jego nazwiskiem – dodala. – Dlatego nie jest mi obce.

–Mow.

–Po pierwsze, miales racje. To nie archiwista, tylko naukowiec. Dwa lata temu, tuz po otwarciu nowej kliniki, wplynela do nas pisemna prosba od doktora Von Joneka.

–O co?

–O sperme.

–Slucham?!

Eva usmiechnela sie.

–Caly personel uznal to za dziwne. Przy wstepnych badaniach mezow pobieramy rowniez probki nasienia. Von Jonek prosil o przekazywanie mu ich po zakonczeniu testow.

–Wyjasnil, po co mu to potrzebne?

Eva zaprzeczyla.

–O ile pamietam, robilismy nawet zaklady, do czego ich uzyje.

–Oczywiscie ty wygralas! – wykrzyknal Rives. Eva dala mu pieszczotliwego klapsa.

–Wlasnie, ze nie.

–Pewnie nie uda ci sie odszukac tamtego pisma? – zapytal MacLean.

–Juz je znalazlam – pochwalila sie Eva. – Choc watpie, czy sie na cos przyda. Jest na firmowym papierze Lehman Steiner, ale bez adresu nadawcy. Ma tylko wewnetrzny numer sprawy: X 14.

–X 14... – powtorzil MacLean.

–Chyba bede mogl pomoc – wtracil sie Jean-Paul. – Kazdy nowy program badawczy otrzymuje symbol X. To oczywiscie oznacza "eksperyment". Natomiast liczba wskazuje po prostu kolejny projekt w danym roku finansowym.

Eva mrugnela do MacLeana.

–Teraz widzisz, jak on potrafi wszystko pozbawic dramatyzmu.

MacLean zapytal Rivesa, czy bylby w stanie rozszyfrowac, co to za projekt.

–Obawiam sie, ze nie – westchnal Jean-Paul. – Co najwyzej moge stwierdzic, czy okazal sie na tyle obiecujacy, ze zespól badawczy otrzymal dalsze fundusze na jego realizacje.

–A jesli tak – zapalila sie Eva – to moglibysmy ustalic, gdzie pracuje Von Jonek!

–Byloby wspaniale – usmiechnal sie MacLean.

–Zobacze, co da sie zrobic – obiecal Rives.

Jeszcze tego samego wieczoru MacLean zadzwonil do Tansy, ze wszystko idzie dobrze. Dowiedzial sie, ze w weekend Carrie wstala z lozka i spacerowaly po szpitalnym parku. Zatrzymaly sie pod znajoma wisnia i przez moment zdawalo im sie, ze sa razem z nim. Carrie ma ciagle obandazowana twarz i porozumiewa sie na migi. MacLean przypomnial sobie jej "wyklady" po sobotnich wyprawach nad kanal i scisnelo mu sie serce.

MacLean umowil sie z Eva, ze bedzie czekal na jej telefon. Jesli nie zastanie go w hotelu, zostawi wiadomosc. Na razie spacerowal po miescie i wypijal niezliczone kawy w kawiarnianych ogrodkach. W tlumie czul sie jeszcze bardziej samotny, ale obserwowanie ludzi skracalo mu czas denerwujacego oczekiwania. Probowal zgadywac, kim sa i czym sie zajmuja.

Stal pod prysznicem, gdy wreszcie zadzwiezczal telefon. Pospiesznie owinal sie recznikiem i wbiegl do pokoju. Podniosl sluchawke i przysiadl na lozku.

Uslyszal od Ewy, ze Jean-Paul znalazl cos interesujacego o X 14. Kiedy moga sie spotkac? MacLean zaproponowal wspolna kolacje.

–Gdzie? – zapytala Eva.

MacLean wymienil nazwe malej greckiej restauracji, ktora pamietal z dawnych czasow. Spytal Eve, czy lokal jeszcze istnieje.

–Tak. Bylismy tam kilka miesiecy temu. O ktorej?

–O osmej?

–Dobrze. Do zobaczenia.

MacLean przyszedl wczesniej i nerwowo popijal dzin z tonikiem. Siedzial przy oknie, wiec zobaczyl podjezdzajacego bialego citroena. Eva wysiadla, a Rives pomachal mu przez szybe i odjechal na parking. Kiedy juz byli we trojke, MacLean zamowil drinki i zaczeli studiowac menu. Z niecierpliwoscia czekal na rewelacje Jean-Paula, ale wstrzymywal sie do odejscia kelnera.

–Dasz wiare, ze nawet mnie jeszcze nic nie powiedzial? – odezwala sie Eva.

–Pomyslalem, ze powiem od razu wam obojgu – odparl Rives.

–Wiec mow! – przynaglila.

Oczy Rivesa zablyslly. Przypominal ucznia, ktory ma wyjawic klasie jakis sekret

doroslych.

–Sprawdziłem cały tamten rok, kiedy do kliniki Ewy wpłynęło pismo o symbolu X 14. Nie ma żadnego śladu po tym projekcie! – Zrobił efektowną pauzę, ale Eva tylko prychnęła pogardliwie. – I to wszystko?

Jean-Paul popatrzył na nią z wyższoscia.

–Nie całkiem. Rok wstecz też niczego nie znalazłem.

–Niesamowite – stwierdziła sarkastycznie Eva. Ale MacLean poznał po minie Rivesa, że jeszcze nie skończył. Eva też zauważyła znajomy błysk w jego oczach. – Słowo daje, nie znam bardziej irytującego człowieka od ciebie! Mów wreszcie!

–Cofnałem się jeszcze o rok – wyjaśnił Jean-Paul – i dopiero wtedy natrafiłem na projekt X 14. Doktor Hans Von Jonek otrzymał na badania dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich. – Rozparł się wygodnie na krześle i zaplotł ręce na piersi.

MacLean był rozczarowany, jednak wyraz twarzy Rivesa nasunął mu podejrzenie, że może nie docenił wagi tej informacji.

–Czy brak wzmianki o X 14 przez następne dwa lata oznacza, że Von Jonekowi przyznano środki na realizację projektu? – zapytał z nadzieją.

–Nie – odparł Jean-Paul.

MacLean potrząsnął głową. Nic z tego nie rozumiał.

–Zacznijmy od początku. Von Jonek dostał dziesięć tysięcy na rozpoczęcie prac nad projektem.

–Zgadza się.

–Ale skoro rok później nie ma śladu po X 14 ani po przyznaniu funduszy na realizację projektu, to znaczy, że eksperyment się nie powiódł. Mam rację?

–Tak.

MacLean i Eva wymienili zdumione spojrzenia. Potem Eva popatrzyła na Rivesa.

–Wiec dlaczego wyglądasz jak kot, który właśnie złapał mysz? Jean-Paul pochylił się nad stołem.

–Bo komus chodzi o to, żebyśmy tak myśleli. Eva i MacLean nadal nic nie rozumieli.

–Znalazłem dwie zastanawiające rzeczy – wyjaśnił Rives. – Po pierwsze, Von

Jonekowi przyznano budżet tylko na rok. A jednak klinika Evy otrzymała pismo o symbolu X 14 dwa lata później, gdy oficjalnie ten projekt już nie istniał. Dla mnie znaczyło to tylko jedno: Von Jonek nadal realizuje program rozpoczęty cztery lata wcześniej.

–I rzeczywiście tak jest? – zapytała z podnieceniem Eva.

–Tak. Doszedłem do tego za pomocą kodu komputerowego, którym oznaczono wstępny budżet. Numer się nie zmienił.

–A budżet? – zainteresował się MacLean.

Jean-Paul zerknął na Eve.

–Ten facet wie, o co pytasz. Trzymajcie się mocno, przyjaciele. Tegoroczny budżet projektu X 14 to osiemnastdzieści milionów dolarów.

Kiedy Eva odzyskała głos, zapytała z niedowierzaniem:

–Lehman Steiner przeznaczają osiemnastdzieści milionów dolarów na badania, o których nikt nic nie wie?

–Dokładnie! – przytaknął Rives z taką miną, jakby właśnie wpisał ostatnie hasło do krzyżówki.

MacLean wzruszył ramionami.

–Skoro firma pakuje w to takie pieniądze, to dlaczego, u diabła, pracownia Von Joneka nie ma statusu samodzielnej placówki badawczej?

–To bardzo proste – odparł Jean-Paul. – Takie placówki mają nazwy i adresy, listy personelu i listy plac. Można je skontrolować i rozliczyć. Pracownie realizujące projekty oznaczone symbolem X są z natury rzeczy dużo mniej sformalizowane. Ich budżety to jednorazowe subwencje, więc księgowość jest ograniczona do minimum. Muszę przy tym zaznaczyć, że przeciętny budżet projektu X wynosi osiem tysięcy dolarów i zazwyczaj przyznawany jest jednej osobie.

–Już widzę, jak Lehman Steiner wręcza komuś brązową kopertę z osiemnastoma milionami dolarów! – odezwała się Eva.

MacLean uśmiechnął się do Rivesa.

–Bardzo ci dziękuję. Upewniłeś mnie, że jestem na właściwym tropie.

–Co teraz zrobisz? – spytała Eva.

–Musze znalezc Von Joneka – odrzekl MacLean. – Naukowca z budżetem osiemnastu milionow dolarow. Jestem pewien, ze to ma cos wspolnego z cytogermem.

Eva zwrocila sie do Jean-Paula.

–Pewnie nie dowiesz sie niczego wiecej?

Wolno pokrecil glowa.

–Chyba nie. Pieniadze sa przelewane z jednego konta numerowego na drugie. Bez nazwisk i adresow.

–Szwajcaria z tego slynie – zazartowal MacLean.

–I z zegarow z kukulka – dodala Eva. Urodzila sie w Austrii.

–Teoretycznie latwiej byloby wytropic Von Joneka przez dzial personalny – powiedzial Rives.

–Znasz tam kogos? – zainteresowala sie Eva.

–Niestety nie.

Rozmowa zaczela kulec, gdy nagle Jean-Paul spojrzal na MacLeana.

–Eva mowila mi o tym poszkodowanym dziecku. Wiem, ze to dla ciebie bardzo wazne. Sprobuje cos zrobic.

MacLean podziekowal.

Jean-Paul Rives wcisnal sie citroenem w sznur pojazdow, tuz przed maske renault 5. Maly samochod zatrabil. Rives westchnal; znow uczestniczy w najglupszym spektaklu pod sloncem, zwanym porannym szczytem. To samo powtarza sie niemal codziennie we wszystkich duzych miastach swiata. Utknal w korku i zerknal w lusterko. Kierowca "renowki" gestykulowal wsciekle.

–Rany boskie, czlowieku! – mruknal pod nosem Jean-Paul. – Tak ci zalezy, zeby byc dziesiec metrow z przodu? – Znalazl ulubiona kasete i wlozyl do odtwarzacza. Orkiestra Jamesa Lasta poprawiala mu humor. Przy szybkich dzwiekach skrzypiec wyobrazal sobie gory i rzeki. Latwiej mu bylo pelznac w slimaczym tempie i wdychac spaliny.

Wstal dzis bardzo wczesnie. Od switu zastanawial sie, jak dowiedziec sie wiecej o Von Joneku, nie wzbudzajac podejrzen. Nie wymyslil nic madrego. Obiecal MacLeanowi, ze sprobuje cos zrobic i chcial dotrzymac slowa. Hmm... Troche za

pozno na nawiazywanie przyjazni z kims z dzialu personalnego. Co mu pozostaje? Nie wejdzie tam i nie zapyta wprost o von Joneka, bo to zbyt duze ryzyko. Co robic?

Zaparkowal auto na stalym miejscu w podziemnym garazu i poszedl do windy sluzbowej. Moze w koncu cos mu przyjdzie do glowy? Wysiadl na trzecim pietrze wylozonym zielonym dywanem i wszedl do dzialu ksiegowosci.

Przez pewien czas Rives mial pelne rece roboty. Po ostatnich wahaniach dolara kursy walut europejskich ciagle sie zmienialy. Duze miedzynarodowe firmy, jak Lehman Steiner, musialy dopasowywac polityke cenowa do lokalnych warunkow. Rives korygowal teraz ceny produktow firmy na rynku belgijskim, uwzgledniajac przewidywane zmiany kursu franka belgijskiego.

Wprowadzil do komputera swoj osobisty kod dostepu i poprosil o aktualny portfel akcji firmy we frankach belgijskich. Na ekranie monitora pojawily sie zadane liczby. Porownal je ze wszystkimi aktywami Lehman Steiner w Belgii. Otrzymal zadowolajacy wynik, ale zapytal jeszcze o przewidywany margines zysku, gdyby w ciagu dwoch najblizszych miesiecy frank belgijski spadl w stosunku do dolara. Okazalo sie, ze zysk nadal bylby na przyzwoitym poziomie, chyba ze zdarzyloby sie cos naprawde niedobrego. Napisal na wydruku: "Sytuacja nie wymaga dzialan interwencyjnych" i wrzucil go do korytka z wychodzacymi dokumentami.

Zamierzal usunac dane z ekranu, gdy nagle cos mu przyszlo do glowy. Oczami matematyka widzial przed soba rownanie. Monitor pokazywal mu jedna strone – inwestycje firmy w Belgii; wydruk druga – jej belgijskie aktywa, czyli co firma ma za swoje pieniadze. Lewa strona rownala sie prawej, bilans sie zgadzal. Nie bylo zadnych kopotliwych niejasnosci, do ktorych mogliby sie przyczepic rewidenci.

Osiemnascie milionow dolarow stanowilo ogromna kwote, nawet dla takiego giganta jak Lehman Steiner. Ta suma musiala powodowac w rachunkach razaca niezgodnosc. Tylko gdzie? Jak ja znalezc? Z pewnoscia jest w to zaangazowanych mnostwo osob. Operacji na taka skale nie sposob ukryc w szwajcarskich laboratoriach. Projekt X 14 realizowano prawdopodobnie za granica. Pomysl Rivesa polegala na tym, by porownac portfele akcji i aktywa firmy w kazdym kraju europejskim. Moze w ten sposob uda sie ustalac, w ktorym z nich kryje sie niezgodnosc w wysokosci osiemnastu milionow dolarow?

Rivesa ogarnelo podniecenie, ale przypomniat sobie, ze przeciez firma ma wiele ustronnych klinik w Szwajcarii. Jesli projekt X 14 realizowany jest w ktorejs z nich, nic nie znajdzie. Rachunki krajowe prowadzil inny dzial ksiegowosci. Sekcja Rivesa zajmowala sie tylko zagranicznymi interesami Lehman Steiner.

Podczas przerwy na lunch Rives przyniosl kanapki do biura, zeby nie tracic czasu. Mimo to nie zdazyl sprawdzic tego, co zamierzal. Postanowil zostac w pracy po

godzinach. Na razie zajął się z powrotem bieżącą robotą. Nie chciał mieć zaległości; rosnący stos przychodzących dokumentów mógł zwrócić na niego uwagę. O czwartej trzydziści zadzwonił do kliniki, by uprzedzić Eve, że wróci później. Sekretarka obiecała przekazać wiadomość.

Gdy nad Genewą zaczął zapadać zmierzch, biuro opustoszało. Rives zapalił lampę na biurku i zabrał się do dzieła. Nie zważał na to, że wokół robi się coraz ciemniej. Siedział w kregu światła niczym na małej wyspie pośród oceanu mroku. O osmej wieczorem poczuł się tak, jakby natrafił na żyłę złota. Znalazł poważną niezgodność w rachunkach francuskich. Wprawdzie nie na sumę osiemnastu milionów dolarów, ale również na niemalą kwotę. Sprawdził wszystko jeszcze raz; o pomyłce nie mogło być mowy. Firma zainwestowała we Francji znacznie więcej, niż wskazywałby na to jej stan posiadania w tym kraju. Dane pochodziły sprzed pięciu dni. Aktualizacje robiono raz na tydzień. Mogło się zatem okazać, że firma wydała masę pieniędzy w ciągu zaledwie tygodnia. Tylko na co?

Rives wysilił umysł. Po chwili ze złością wałnął się w czoło; przypomniał sobie. Na apteki! Nowa inwestycja! Czytał w jakiejś gazecie finansowej, że Lehman Steiner złożył ofertę zakupu większości udziałów w sieci francuskich aptek; firma chciała mieć własne punkty sprzedaży detalicznej w tym kraju. Według komputera transakcja sfinalizowana; po prostu sieć nie figurowała jeszcze w wykazie majątku firmy. Porazka sprawiła, że Rivesa ogarnęło zniechęcenie. Chciał się napić i poczuł głód. Sprawdzi jeszcze Holandię i na tym koniec.

O dziewiątej trzydziści był w domu.

Eva z podnieceniem wysłuchiwała opowieści Jean-Paula o jego poszukiwaniach. Jej entuzjazm podniósł go na duchu. W drodze do domu czuł się zniechęcony, ale może to nie był taki głupi pomysł? Przetarł oczy.

–Wiesz, jak człowiek cały dzień wpatruje się w ekran monitora, zaczyna wszystko widzieć na różowo...

Eva stała za nim i masowała mu kark. Teraz zabrała się za skronie. Jean-Paul westchnął z zadowoleniem.

–Jak myślisz, powinienem zadzwonić do twojego przyjaciela i powiedzieć mu? – zapytał.

Eva zastanowiła się.

–Odłóż to do jutra. Kto wie, może będziesz miał dla niego coś jeszcze bardziej interesującego?

MacLean nie mógł usiedzieć na miejscu. Tłumaczył sobie, że od przyjazdu do

Genewy sprawa posuwa sie naprzod, ale dzis nic sie nie dzialo. Minuty wlokly sie jak godziny. Wyrzucal sobie, ze Carrie lezy w szpitalu, a on nic nie robi. Ale nie mial na to rady. To, czy znajdzie Von Joneka, zalezalo od Rivesa. Tymczasem ani on, ani Eva sie nie odzywali. MacLean zastanawial sie, czy nie zadzwonic do Ewy. W koncu zrezygnowal; gdyby cos odkryli, zawiadomilaby go. Nie chcial byc natarczywy. Juz i tak winil sie za to, ze zaklocil im spokoj.

Podszedl do okna. Ciagle padalo. W pokoju hotelowym czul sie jak zwierz w klatce. Nalal sobie solidna porcje whisky i wypil prawie jednym haustem. Troche za szybko, ale dobrze mu to zrobilo. Po drugiej szklance ogarnela go sennosc.

Kiedy sie obudzil, do pokoju zagladalo slonce; nie zaciagnal zaslon do konca. Na szybie pozostaly jeszcze krople deszczu i ich ksztalty odbijaly sie na przeciwleglej scianie. Ostatni raz widzial takie cienie w domku Tansy, gdy padal snieg. Ale teraz nie chcial sie oddawac wspomnieniom, znow poczulby sie winny. Pogoda zachecala do spaceru. Wzial prysznic i wyszedl z hotelu bez sniadania. Mial ochote odetchnac swiezym powietrzem, zanim na ulicach zaroi sie od samochodow.

Po godzinie zapach kawy i swiezego pieczywa przypomniat mu, ze jeszcze nic nie jadal. Wstapil do malej kawiarni niedaleko katedry St. Pierre. Zamowil sok pomaranczowy, jajecznicę i kawe. Mloda, usmiechnieta kelnerka zapytala, czy jest turysta. MacLean zastanawial sie, skad to przypuszczenie. Moze tak wyglada? Byl ubrany elegancko, ale swobodnie; lepiej niz robotnik, jednak gorzej niz biznesmen. Mowil dobrze po francusku, choc z lekkim obcym akcentem. Odpowiedzial, ze istotnie jest turysta. Dziewczyna polecila mu kilka miejsc w okolicy, ktore warto zobaczyc. MacLean podziekowal i po wyjsci z kawiarni poszedl w kierunku Rue de Rhone.

W tym miescie nie mogli uciec od przeszlosci. Po drodze zobaczyl sklep jubilerski, gdzie kupil Jutte prezent urodzinowy zaledwie tydzien przed jej smiercia. Przystanal na chwile przed wystawa i lekko oparl palce na szybie. Odwiedzanie drogich sklepow bylo kiedys czescia jego stylu zycia. Teraz rzedy eleganckich witryn wydawaly sie czymys zupełnie obcym. Odszedl szybko i skierowal sie nad jezioro. Kiedy czekal, zeby przejsc na druga strone ruchliwej ulicy, w sznurze samochodow minal go biały citroen. Za kierownica siedzial Jean-Paul Rives zasluchany w orkiestrze Jamesa Lasta.

Rives spedzil cale przedpoludnie na analizowaniu cen wszystkich produktow firmy we Wloszech. Powazny kryzys rzadowy w tym kraju spowodowal spadek lira, co grozilo ograniczeniem zyskow firmy do minimum. Wymagalo to podjecia dzialan interwencyjnych, a to nalezalo do obowiazkow Rivesa. Zalecil ogolna, dziesiecioprocentowa podwyzke na okres dwoch miesiecy. Mruknel z zadowoleniem i uznal sprawe za zalatwiona. Wyciagnal sie na krzesle i rozprostowal ramiona.

–Wyskoczmy na lunch? – zaproponował kolega.

Rives pokręcił głową. Odpowiedział, że zaczerpnie świeżego powietrza i przyniesie sobie kanapkę.

Rives przez dziesięć minut oddychał pełną piersią i rozkoszował się słońcem. Potem kupił kanapkę i kawę, i wrócił do budynku. Zanim dotarł na trzecie piętro, plastikowy kubek poparzył mu palce. Ostatnie metry pokonał biegiem, a i tak omal go nie upuścił. Dopadł biurka na ugiętych nogach, pośpiesznie postawił kawę i zaczął dmuchać na rekę.

Ponieważ przed wyjściem zajmował się rynkiem włoskim, postanowił teraz przeprowadzić prywatne "śledztwo" w tym kraju. Po czterdziestu pięciu minutach nie znalazł znaczących rozbieżności między inwestycjami i stanem posiadania firmy. Westchnął i przeszedł do następnego kraju.

Pięćdziesiąt minut później miał przed sobą poważną niezgodność. Sprawdził wszystko powtórnie i poczuł rosnące podniecenie. Przypomnił sobie jednak, że już raz dał się zwieść pozorom. Może i tu istnieje logiczne wytłumaczenie? Ale nie natrafił na zakup drugiej sieci aptek, których nie wprowadzono jeszcze do wykazu majątku firmy. Różnica wynosiła okrągłe osiemnaście milionów dolarów! Tego właśnie szukał! Nie mogło być mowy o przypadku; znalazł kraj, gdzie realizowano projekt X 14.

Ze zdenerwowania zaschło mu w gardle. Nie odrywając oczu od ekranu, sięgnął po resztkę kawy. Skoro doszukał się tego, może wygrzebie coś więcej? Warto spróbować. Zapytał komputer o źródło niezgodności. Wystukał polecenie i zobaczył odpowiedź, której się spodziewał: "Otwórz plik Projekt X 14".

Koleżdy wrócili z lunchu i znowu musiał się zająć bieżącymi sprawami. Postanowił, że dziś też zostanie po godzinach. Na razie skupił uwagę na podwyżce cen produktów firmy w Szwecji. Dodatkowo zalecił wycofanie ze skandynawskiego rynku szamponu, który bardzo źle się sprzedawał. Po południu dwukrotnie dzwonił do kliniki, ale nie złapał Evy. Zostawił u sekretarki wiadomość, że wróci później.

O szóstej trzydziestej został w biurze sam. Watpilby udało mu się bez problemu wejść do pliku projektu X 14. Jeśli nie, wróci do pierwotnych numerów kont tego programu badawczego. Miał do nich dostęp i wiedział, że się nie zmieniły. Znalazł kraj, gdzie realizowano projekt, więc może dotrze do tamtejszego banku, który obsługuje finanse X 14. A kod bankowy wskaże mu miasto.

Rives wydał polecenie otwarcia pliku X 14 i na ekranie pojawiły się słowa: "Dostęp ograniczony. Podaj swój kod osobisty". Wprowadził go bez namysłu. Komputer odpowiedział: "Dostęp ograniczony. Podaj numer kodowy zakresu twoich

upowaznien". Rives wystukal cyfry. Moze teraz sie uda? Ale zobaczyl tylko: "Brak dostepu". Wzruszyl ramionami; trzeba wrocic do numerow kont.

W interesujacym go kraju naliczyl szesnascie bankow, w ktorzych firma miala rachunki; dwa panstwowe i czternascie komercyjnych. Wypisal ich kody i zaczal sprawdzac, czy ktorys figuruje przy numerach kont projektu X 14.0 dziewiatej wieczorem znalazl wlasciwy bank komercyjny, pol godziny pozniej miasto. Zadzwonil do domu i pochwalil sie Evie. Byla zachwycona i podniecona. Powiedziala, ze zaraz zawiadomi MacLeana o sukcesie i zaprosi go, zeby wpadl wysluchac dobrych wieści.

–Kiedy przyjedziesz? – zapytala.

–Za pol godziny – odrzekl Rives.

11

Kiedy Rives robil porzadek na biurku, wydalo mu sie nagle, ze nie jest sam. Zamarl i nasluchiwal. Chyba gdzies w korytarzu skrzypnely drzwi? Ale jedynymi dzwiekami byly szum klimatyzacji i buczenie uszkodzonej jarzeniowki pod sufitem. Zamykal teczke, gdy znow cos uslyszal. Tym razem nie mogl sie mylic.

–Jest tam ktos? – zawolal w strone ciemnego korytarza. Nikt nie odpowiedzial.

Rives przeklal w duchu swoja nerwowosc. To na pewno przez te ciemnosc i grzebanie w nie swoich sprawach; przelozeni nie bylaby zachwyceni. Ale uspokoil sie, ze to falszywe poczucie winy. Po raz ostatni zerknal na biurko i poszedl do windy. Gdzies wysoko wlaczyl sie mechanizm dzwigu i numery pieter na wyswietlaczu na scianie zaczely sie zmieniac. Kabina jechala w dol.

Metalowe drzwi rozsunely sie. Rives zrobil krok, zeby wsiasc i nagle znalazl sie miedzy dwoma mezczyznami. Wymamrotal do nich, ze go zaskoczyli; nie spodziewal sie, ze o tej porze ktos tu jeszcze pracuje. Nie odezwali sie. Wszyscy trzej wsiedli do windy. Rives nacisnal guzik z symbolem podziemnego garazu. Jego towarzysze nie zareagowali.

Rivesa ogarnal strach. Obcy nie wygladali na ksiegowych ani w ogole na urzednikow firmy. Nigdy ich nie spotkal w budynku. Wyzszy mial zoltawa cere. Drugi byl niski i krepy, z kwadratowa glowa, ktora zdawala sie wyrastac prosto z ramion. Obaj patrzyli w przestrzen.

Drzwi sie otworzily. W kabinie zapachnialo benzyna i woskiem do karoserii. Rives nie mogl sie doczekac tej chwili. Nareszcie sa w garazu. Pomyslal, ze chyba niepotrzebnie sie obawial. Wtedy wysoki chwycil go za lokiec i wykrecil mu reke do tyłu. Obaj popchneli go w kierunku czarnego mercedesa kombi. Rives zaczal sie

szarpac, ale niski wyciągnął pistolet i wskazał lufa samochód.

Wysoki usiadł za kierownicą. Niski wepchnął Rivesa na tylne siedzenie i zajął miejsca obok. Wszystko odbyło się bez słowa. Rives kilkakrotnie zapytał, kim są i czego chcą, ale nie otrzymał odpowiedzi. Traktowali go jak przedmiot. Kiedy wyjechali na ulicę, miał ochotę zawołać do usmiechniętych, rozgadanych przechodniów: "Nie widzicie, co się dzieje?!" Nie odważył się; broń była wycelowana w jego brzuch.

Mercedes zatrzymał się przed domem w eleganckiej dzielnicy Sacconex. Kierowca okrzykiem otworzył tylne drzwi i kazał mu wysiąść. Zaprowadzili go pod lufą do bocznego wejścia. Zeszli pod schodkami i wysoki pierwszy wszedł do środka. Wewnątrz siedział elegancki mężczyzna. Był młodszy od Rivesa i wyglądał jak szef działu sprzedaży dużej firmy.

Gospodarz usmiechnął się.

– Witam, panie Rives. Proszę siadać.

– O co wam chodzi?! – natarł Rives. – Protestuję! To niesłychane! Mam tylko nadzieję, że to jakaś idiotyczna pomyłka!

– Żadna pomyłka, panie Rives – odparł spokojnie mężczyzna. – Dlaczego szukał pan dostępu do X 14?

Pod Rivesem ugięły się nogi. Nagle zrozumiał; plik X 14 miał system zabezpieczający! Wszystko widzieli na monitorze kontrolnym. Komputer zadał podania kodów nie po to, żeby umożliwić mu dostęp. Namierzał intruza! Mężczyzna siedzący naprzeciw już nie przypominał szefa sprzedaży. W jego zimnych oczach czaiła się groźba. Rives wolał nie myśleć, co będzie, jeśli nie uda mu się z tego jakos wywinąć.

Wytłumaczył, że do jego obowiązków należy czuwanie nad zyskami firmy w całej Europie. Przez przypadek natknął się na niezgodność: w jednym z krajów majątek firmy nie odzwierciedlał wysokości inwestycji. Komputer podpowiedział mu, żeby szukał przyczyny w pliku oznaczonym X 14. Chciał sumiennie wykonać swoją pracę i dlatego próbował się czegoś dowiedzieć.

W pokoju zapadła denerwująca cisza. Gospodarz wolno postukał długopisem w poręcz fotela.

– Wciąż do dziś nic pan nie słyszał o X 14? – zapytał.

– Nie – skłamał Rives.

–A jak pan wyjasni to? – mezczyzna wyciagnal z wewnetrznej kieszeni dwie kartki i podal Rivesowi. Rives przyjal je jak wyrok sadu. Wiedzial, co to za papiery, zanim jeszcze na nie spojrzal. Byly pogniecione; ktos wyjal je z jego kosza na smieci. Trzymal w rece wlasne notatki sprzed dwoch dni. Znalazl wtedy zwiazek Von Joneka z X 14. W milczeniu spuscil wzrok.

–Czekam – przypomniał mezczyzna.

–W porzadku – westchnal Rives. – Probowalem znalezc doktora Von Joneka.

Znow zalegla nieprzyjemna, dluga cisza.

–Dlaczego? – zapytal mezczyzna.

–Bo ktos mnie o to poprosil.

–Kto?

–Przyjaciel.

–Nazwisko?

–Schmidt. Karl Schmidt. Kiedys studiowal razem z doktorem Von Jonekiem. Po latach chcial go odszukac. Slyszal, ze pracuje w naszej firmie i dlatego poprosil mnie o pomoc.

–Nie mogl pan tego od razu powiedziec? – zdziwil sie mezczyzna. W jego glosie zabrzmiala rozbrajajaca zyczliwosc.

–Nie chcialem stracic posady – odrzekl Rives. – Lubie te prace. Wysoki o zoltawej cerze wyszedl zza plecow Rivesa i stanal obok gospodarza. Mezczyzna w fotelu spojrzal na niego.

–Co ty na to, Rudi?

–Ten facet jest zalgany po zeby – odparl zoltoskory.

Siedzacy mezczyzna oparl lokcie na poreczach fotela i zlaczyl razem czubki palcow.

–Wiec moze wyrwiemy mu zeby? – zaproponowal po namysle.

Rives wyobrazil sobie czekajacy go bol i zaczal sie trzasc ze strachu. Krepy chwycil go z tylu i przytrzymal. Wysoki zblizal sie. Rives zamknal oczy, spodziejajac sie ciosu. Ale zamiast tego zoltoskory unieruchomil mu glowe w zelaznym uscisku. Rives otworzyl oczy i zobaczyl przed soba kombinerki.

Oprawcy sila rozwarli mu usta. Przy trzeciej probie zoltoskoremu udalo sie uchwycic obcegiami prawy siekacz Rivesa. Oparl je poziomo o dziaslo, przekrecil i plynnym ruchem wyrwal zab.

Rives jeszcze nigdy nie zaznal takiego bolu. Krzyknal i omal nie udlawil sie krwia. Przelknal ja i zrobilo mu sie niedobrze. Trzasl sie na calym ciele.

–Prosze wybaczyć, jeśli się powtarzam, panie Rives... – odezwał się mężczyzna w fotelu – ale dlaczego szukał pan dostępu do X 14?

Rives zebrał w sobie desperacką odwagę, o jaką się nawet nie podejrzewał. Odparł, że powiedział prawdę.

–No coż... Co ty na to, Rudi?

–Ten facet jest zalgany po konce palców.

Tym razem mężczyzna w fotelu nie potrzebował nic mówić. Obserwował tylko przerażoną twarz Rivesa.

Rives zemdlal, kiedy obcegi zmiadziły mu czubek środkowego palca lewej ręki. Zoltoskory rozwarł kombinierki i na podłogę spadł paznokiec i zakrwawiona tkanka. Gdy Rives się ocknął, zdradził oprawcom wszystko, co chcieli wiedzieć.

Siedzący mężczyzna wyglądał na zadowolonego. Spojrzał na krego i skinał głową. Niski przykrecił tłumik do lufy pistoletu i przyniósł z kata pokoju mały, lecz ciężki woreczek z piaskiem. Ułożył go na głowie Rivesa i wepchnął ksiegowemu lufę do ust. Potem nacisnął spust. Na swoje szczęście Rives był prawie nieprzytomny ze strachu i bólu. Nie zdążył zdac sobie sprawy, co się dzieje. Śmierć zupełnie go zaskoczyła.

Trzej mężczyźni załadowali ciało Rivesa do bagażnika mercedesa i pojechali złożyć wizyte Evie Stahl. Rives powiedział im o jej dawnym koledze z pracy nazwiskiem Keith Nielsen. Nie wiedział jednak, w którym hotelu mieszka. Byli pewni, że dowiedzą się tego od Ewy.

O wpół do dziesiątej wieczorem MacLean uznał, że należy spisać na straty następny dzień; Eva się nie odezwała. Postanowił pobiegac, żeby się wyladowac. Ledwo wyszedł z hotelu, zadzwoniła. Zostawiła w recepcji prosbę o telefon. Zdyszany MacLean wrócił tuż po dziesiątej i natychmiast chwycił za słuchawkę.

–Mam wspaniałą wiadomość – pochwaliła się Eva. – Jean-Paul wytropił Von Joneka!

–Bomba! – ucieszył się MacLean. – Gdzie?

–Wpadnij, to pogadamy.

–Kiedy?

–Jak najszybciej. Jean-Paul będzie w domu lada chwila... Właściwie powinien już być.

–Lece! – MacLean wbiegł po schodach, żeby się przebrać. Musiał jeszcze wziąć prysznic; był cały spocony. Złatwił to błyskawicznie, potem pośpiesznie włożył garnitur i krawat. Wyglądało na to, że szykuje się mała uroczystość. Sprawdzał, czy ma pieniądze i paszport. Tak go uczył Doyle. "W terenie bądź zawsze wypłacalny i gotów do wyjazdu". MacLean rzucił klucz na łade recepcyjną i wybiegł przed hotel.

Kiedy jego taksówka skrecała w ulicę St. Martin, czarny mercedes właśnie z niej wyjeżdżał. MacLean nie zwrócił na niego zbytnej uwagi; szukał wzrokiem białego citroena Rivesa. Nigdzie go nie było. Zadzwoił niecierpliwie do drzwi Ewy. Nikt nie otworzył. Nacisnął dzwonek jeszcze raz. Nic. Wtedy przypomniał sobie koszmarne odkrycie w mieszkaniu Vernaya i przeszły mu ciarki po plecach. Zadzwoił po raz trzeci. Znow nic. Ogarnęło go złe przeczucie. Z niepokojem przyłożył ucho do drzwi. Usłyszał cichy jęk.

Wyważył ramieniem drzwi i wpadł do środka. Ewa leżała na podłodze w kałuży krwi. Była tak ciężko pobita, że ledwo rozpoznał twarz. Unosił jej głowę i zaczął delikatnie scierać krew. Otworzyła oczy.

–Podaj mi... nazwę twojego hotelu... – wykrztusiła z trudem. – Ale nie powiedziałam... kim naprawdę jesteś... Jean-Paul nie żyje.

MacLean wiedział, że ona też umiera. Wypuszczała ustami krew z płuc, które przebiły połamane zęby. Nie było już sensu wzywać karetki. Lepiej, żeby spędziła ostatnie chwile życia w ramionach przyjaciela. Pocałował ją lekko w czoło. Uśmiechnęła się słabo.

–Przepraszam – szepnął MacLean. Przepelniała go rozpacz i wściekłość.

Ewa znow się odezwała:

–Twoja mała dziewczynka... May Haas... X 14... May Haas... MacLean nie zrozumiał sensu tych słów.

–Kto to jest May Haas?

–May Haas to... – Z ust Ewy buchnęła krew i jej głowa opadła na bok. MacLean ułożył ją na podłodze i zamknął jej oczy. Przez chwilę jeszcze kleczał przy niej.

–Wybacz mi – szepnal.

MacLean wstal. Zabojcy Evy musieli byc teraz w drodze do jego hotelu albo juz tam dojechali. Pytanie, co zrobia, kiedy go nie zastana? Odpowiedz byla prosta: zaczekaja, az wroci. Nie wiedza przeciez, ze wybral sie do Evy. Tak, na pewno zaczekaja na powrot Keitha Nielsena, ktory niczego nie podejrzewa.

MacLean widzial dwa wyjscia. Mogl pojechac prosto na lotnisko i opuscic kraj... albo wrocic do hotelu i pomscic Eve i Jean-Paula. Mialby po swojej stronie element zaskoczenia. Mysliwym nie przyjdzie do glowy, ze sa zwierzyzna.

W jego umysle rozlegly sie ostrzegawcze glosy Doyle'a i Leaveya: "Kiedy sprawa staje sie osobista, zaczynasz kopac sobie grob". Czy teraz tak wlasnie jest? Czy chodzi mu tylko o zemste, czy tez dostrzega jakas korzysc w wypowiedzeniu wojny zabojcom Evy? Mysl obiektywnie, MacLean! Badz rzeczowy!

Masz zdobyc cytogerm dla Carrie. "Nie zmieniaj planu, dopoki nie jestes zmuszony".

MacLean wszedl do kuchni i wypil szklanke zimnej wody. Trzeba sie zastanowic nad sytuacja. Byl o krok od znalezienia Von Joneka i cytogermu, az nagle wszystko poszlo zle i zostal z niczym. Jedyny trop to nazwisko May Haas.

Przeciwnicy juz wiedza, ze niejaki Keith Nielsen interesuje sie projektem X 14. Ale nie wiedza, ze Nielsen to Sean MacLean. Jednak poslugiwanie sie falszywym nazwiskiem bedzie teraz rownie niebezpieczne, jak uzywanie prawdziwego.

Sytuacja nie wygladala dobrze, chociaz... istniala szansa, ze o Nielsenie wiedza na razie tylko ci, ktorzy czekaja na niego przed hotelem. Pojechali tam prosto od Evy, wiec moze jeszcze nie zdazyli zlozyc raportu swoim pracodawcom. Gdyby dopadl ich, zanim to zrobia, nikt wiecej by sie o nim nie dowiedzial. Moglby dalej wystepowac pod tym nazwiskiem i szukac May Haas.

MacLean zdecydowal sie wyruszyć na wojne.

Spenetrowal mieszkanie w poszukiwaniu jakiejs broni. Nie spodziewal sie znalezc pistoletu, ale nawet noz kuchenny byl lepszy niz nic. Wybral dwa. Dolozyl do nich nozyczki, srubokret, pieprz, zapalki, swiece i tubke super kleju. Z szafki pod zlewem wyciagnal dwie niewielkie turystyczne butle z gazem i plastikowe rurki od zestawu do domowego wyrobu wina. Swoje wyposazenie uzupelnil latarka i kilkoma kolkami do wieszania ubran. Zapakowal wszystko do duzej plastikowej torby, wyszedl z mieszkania i cicho zamknal drzwi.

Zlupal taksowke i pojechal do hotelu, odleglego o pol kilometra od tego, w ktorym mieszkal. Udal, ze tam wchodzi, ale gdy tylko kierowca odjechal, ruszyl pieszo do

swojego hoteliku. Po drodze kluczył, krył się w cieniu i przeskakiwał od bramy do bramy. Podchodził ostrożnie i obserwował teren. Nie wiedział, ilu jest przeciwników i gdzie na niego czekają.

Zwrócił uwagę na czarnego mercedesa kombi, zaparkowanego w wąskiej uliczce naprzeciw hotelu. Stał prawymi kołami na chodniku. MacLean zobaczył dwóch mężczyzn na przednich siedzeniach, ale nie mógł dostrzec, czy ktoś siedzi z tyłu. Wycofał się, zatoczył krąg i wychynął zza rogu na drugim końcu uliczki, daleko za samochodem. Szybko podkradł się bliżej i zauważył trzeciego pasażera na środku tylnego siedzenia. Wszyscy mężczyźni wpatrywali się w wejście do hotelu. Dwaj palili papierosy.

MacLean był przekonany, że to jego przeciwnicy, ale chciał uzyskać absolutną pewność, zanim zacznie działać. Musiał też ułożyć plan akcji. Nie wątpił, że są uzbrojeni; nie pokona ich kuchennym nożem. Po krótkim namyśle uznał, że słabym punktem tamtych jest samochód. Ludzi skupionych w małym pomieszczeniu dość łatwo zlikwidować; są właściwie bezbroni. Tylko czy to istotnie zbrojcy? Postanowił sam posłużyć za przynętę. Pobiegł z powrotem i znalazł się blisko hotelu.

Eva i Jean-Paul na pewno zostali zmuszeni do podania jego rysopisu. Inaczej ich oprawcy nie wiedzieliby, kogo szukać. MacLean przystanął w ukryciu. Jeszcze kilka kroków i byłby widoczny z mercedesa.

Nie podejrzewał, żeby przeciwnicy zaatakowali go przed hotelem. Po co robić zamieszanie na ulicy? Bezpieczniej załatwić sprawę w pokoju. Miał nadzieję, że tamci rozumują podobnie jak on. Przezegnal się w duchu i wyszedł z ukrycia.

Przystanął pod latarnią i udawał, że szuka czegoś w plastikowej torbie na zakupy. Chciał, żeby przeciwnicy go rozpoznali. Wszedł po schodkach do hotelu i wziął z recepcji swój klucz. Wsiadł do windy, ale przejechał tylko jedno piętro. Wyskoczył z kabiny, zbiegł na parter i zatrzymał się przy oszklonych drzwiach na klatkę schodową. Miał stąd dobry widok na wejście do hotelu.

Nie czekał długo. Trzej mężczyźni weszli swobodnym krokiem do holu. Zapytali o coś recepcjonistę i podeszli do windy. Wsiadli do kabiny, z której wysypało się rozesmiane czteroosobowe towarzystwo.

Drzwi windy zasunęły się. MacLean szybko przeszedł przez hol, kryjąc się za wesolą czworką. Wolał, żeby recepcjonista nie widział, że wychodzi. Potem pusczył się na pedał do mercedesa. Modlił się, żeby był otwarty. Miał szczęście.

Pytanie, czy zdąży zastawić pułapkę za pomocą prymitywnych środków, które posiada? Mężczyźni nie zastaną go w pokoju. Sprawdzą w recepcji, czy na pewno wrócił, i spróbują jeszcze raz. Nikt im nie otworzy, więc wywaza drzwi. MacLean

obliczył, że ma najwyżej pięć minut.

Wsiadł na tylne siedzenie mercedesa i wysypał obok siebie zawartość plastikowej torby. Główną rolę w jego planie miały odegrać dwie butle z gazem. Uciął w połowie długości plastikową rurkę z zestawu do wyrobu wina. Obie części wepchnął do wylotów butli. Potem wydlubiał nożem otwory w przednich siedzeniach. Wsunął do nich wolne konce rurek. Butle ukrył pod siedzeniami i odkrecił zawory. Chciał, żeby wewnątrz samochodu wypełniło się gazem. Poduszki przednich siedzeń powinny zapobiec ulotnieniu się butanu przy otwarciu drzwi.

Musiał teraz znaleźć elastyczny przewód paliwowy samochodu. Podejrzewał, że w kombi dostanie się do niego z wnętrza auta. Trzeba tylko usunąć tapicerkę w przestrzeni bagażowej. Przesunął połowę dzielonej, tylnej kanapy i przedostał się do tyłu. Niestety, bagażnik był załadowany i ledwo mógł się tam poruszać. Pod brezentem leżało coś dużego i nie dawało się przepchnąć. Włożył obie ręce pod pakunek i dzwignął z całej siły. Nagle zjeżyły mu się włosy na głowie; bagaż wydał z siebie dźwięk. MacLean rozpoznał go i pot wystąpił mu na czoło. Taki odgłos wydobywa się ze zwłok, gdy z płuc uchodzi resztkę powietrza. Młode pielęgniarki, które przygotowują zmarłych do sekcji, wpadają wtedy w panikę.

MacLean powoli cofnął ręce. Z walącym sercem odwinał brezent. Z zakrwawionej twarzy Jean-Paula patrzyły na niego martwe oczy. MacLean przelknął głośno i zakrył Rivesa. Musiał się spieszyć, czas szybko uciekał. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, kim są trzej mężczyźni. Oderwał boczna tapicerkę i znalazł gietki przewód paliwowy. Przeciął go tak, by benzyna wyciekła przez otwór odpływowy w nadwoziu i zbierała się w rynsztoku. Samochód stał dwoma kołami na chodniku i krawężnik przebiegał pod środkiem podwozia.

MacLean wysiadł z mercedesa w sama porę. Gdy tylko ukrył się w mroku po drugiej stronie uliczki, z hotelu wyszli trzej mężczyźni. Rozmawiali podniesionymi głosami, jakby się kłócili. Obserwował ich w napięciu. Wsiada do samochodu czy stana obok i będą dyskutować? Butle są już pewnie prawie puste. Jeszcze trochę i steżenie gazu zacznie spadać. Mężczyźni zamilkli i wsiedli.

MacLean przygotował zapalki. Ale czy w rynsztoku zebrano się już tyle oparów benzyny, żeby zapalić gaz w samochodzie? Postanowił zwlekać tak długo, jak to będzie możliwe. Mężczyźni znów zaczęli się kłócić. Kierowca wyjął paczkę papierosów i wyciągnął jednego ustami. MacLean zamarł w oczekiwaniu.

Palacz unosił zapalniczkę i pstryknął. Wnętrze mercedesa wypełniła ognista kula. Opary benzyny zajęły się i nocna cisza rozdarł huk eksplozji. Jean-Paul Rives splonął wraz ze swoimi mordercami.

MacLean odszedł. Minał dwie przecznice i złapał taksówkę. Pojechał na drugi

koniec miasta i wrócił do hotelu bardzo późno. Podniecony nocny portier natychmiast opowiedział mu, co stracił. MacLean zachował się naturalnie; udal zainteresowanie i wypytał o szczegóły. Potem poszedł do pokoju i sięgnął po whisky. Pił, dopóki nie zasnął nad szklanką.

Rano podleczyl kaca kawa i pogodził się z tym, że ostatnia noc nie była tylko koszmarem. Dwojka jego przyjaciół nie żyła, a on zabił trzech ludzi. Policja usunęła już wypalony wrak mercedesa; w końcu był w Szwajcarii. Jedynie na murach domów w małej uliczce pozostały czarne ślady.

Miał nazwisko May Haas i nic więcej. Co to za kobieta? Kim jest? Prawdopodobnie pracuje w Lehman Steiner. Ale jako kto? Lekarka? Pielęgniarka? Naukowiec? Wie to dział personalny, tylko czy mu powiedzą?

O jedenastej MacLean zadzwonił do firmy i poprosił o połączenie z szefem kadr. Po chwili odezwała się kobieta. Zapytała, czym może służyć.

–Nazywam się Dieter Haas – wyjaśnił MacLean. – Jestem z Niemiec Wschodnich. Poszukuje mojej bratanicy; ma na imię May.

Nie bardzo rozumiem...

–Dawno temu mojego brata i mnie rozdzielił Mur Berliński. Ostatnio dowiedziałem się, że brat zmarł przed dwoma laty. Jego żona też nie żyje. Ale mieli córkę May. To moja jedyna żyjąca krewna i bardzo chciałbym ją odnaleźć. Powiedziano mi, że pracuje w firmie Lehman Steiner. Czy mogłaby mi pani jakos pomóc? Jest pani moja ostatnia nadzieja.

–Rozumiem... – odpowiedziała współczująco kobieta. Wydawała się szczerze przejęta. Miła osoba, pomyślał MacLean. Nie cierpiał oszukiwać miłych ludzi.

–Zazwyczaj nie udzielamy żadnych informacji o personalu. – ciągnęła – ale to rzeczywiście wyjątkowa sprawa. Kto by pomyślał, że Mur Berliński zniknie w ciągu jednej nocy...

–Właśnie.

–W jakim charakterze pracuje u nas panna Haas?

–Niestety, nie mam pojęcia.

–Szkoda... – westchnęła kobieta.

–Będzie problem? – zapytał z obawą MacLean.

–Nie, nie, po prostu znalezienie jej trochę potrwa. Może oddzwonie do pana?

MacLean podziękował, ale powiedział, że nie będzie go pod telefonem przez większość dnia. Lepiej on zadzwoni.

–Proszę bardzo – odrzekła kobieta. – Wyobrazam sobie, jakie to dla pana ważne. Za godzinę powinienam już wszystko wiedzieć.

–Bardzo dziękuję.

MacLean wyłączył się i przez godzinę spacerował po pokoju. Z wybiciem dwunastej podniósł słuchawkę.

–Obawiam się, że musiała być jakaś pomyłka – usłyszał.

–Pomyłka? – zdumiał się. W jednej chwili stracił nadzieję.

–Niestety, nie pracuje u nas osoba o nazwisku May Haas.

–Ach tak... – powiedział wolno MacLean.

–Bardzo mi przykro.

–Dziękuję pani. – MacLean w zamysleniu odłożył słuchawkę. I co teraz?

12

Był piękny, słoneczny dzień, ale MacLean nie zwracał na to uwagi. Spacerował bez celu po ulicach zajęty własnymi myślami. Kiedy wyrosła przed nim katedra St. Pierre, pod wpływem nagłego impulsu wszedł do środka. Otoczył go półmrok i spokój. Pachniało tu starością i politura do mebli. Przez solidne, kamienne ściany nie przenikał uliczny hałas. MacLean nie wiedział, jak długo chodził po mieście, ale gdy usiadł, jego nogi przyjęły to z ulgą. Wielkość katedry zapewniała mu anonimowość. Mogł tu odpocząć i uporządkować myśli.

Spacerowanie w końcu nic mu nie dało. Musiał ułożyć jakiś plan.

Problem polegał na tym, że zastanawianie się nad obecną sytuacją było zbyt bolesne. Eva i Jean-Paul zginęli, żeby mu pomóc; dostał nazwisko, ale co z tego? Skoro May Haas nie pracuje w Lehman Steiner, gdzie jej szukać? Od czego zacząć? A może kobieta z działu personalnego kłamała? Albo May Haas współpracuje z Von Jonekiem i nie figuruje na oficjalnej liście personelu? MacLean nie miał sposobu, żeby to sprawdzić.

Przypomnił sobie słowa Jean-Paula, że najłatwiej byłoby dotrzeć do X 14 i Von

Joneka przez dział personalny. Może warto spróbować? Wiedział jedno: Von Jonek na pewno pracuje dla firmy. MacLean był ciekaw, co by się stało, gdyby zapytał o niego wprost. Musiał się zastanowić, jak to bezpiecznie rozegrać.

Z rozmowy w barze hotelowym MacLean dowiedział się, że wysoki siwowłosy dzentelmen to szef policji z Lyonu. Przyjechał z żoną na urlop i mieszka piętro niżej. Tacy ludzie zawsze noszą przy sobie legitymacje służbowe i niełatwo ich zastraszyć. MacLean ustalił numer pokoju policjanta, a potem zadzwonił do centrali Lehman Steiner. Przedstawił się jako profesor Phillippe Pascal i poprosił o połączenie z dawnym kolegą, doktorem Hansem Von Jonekiem.

–Proszę zaczekać...

MacLean miał nadzieję, że za chwilę odezwie się Von Jonek. Zamiast tego usłyszał ponownie tę samą kobietę. – Ładnie pana...

–Czym mogę służyć? – zapytał inny kobiecy głos. MacLean powtórzył prośbę i znowu kazano mu czekać.

–Jak nazwisko? – rozległo się po chwili.

–Von Jonek.

–Pytam o pańskie nazwisko.

–Profesor Pascal.

–Chwileczkę...

MacLean zaczął się denerwować. Czyżby namierzali, skąd dzwoni?

–Niestety, doktor Von Jonek jest w tej chwili nieuchwytny – powiedziała kobieta. – Może zostawi pan swój adres i telefon? Przekaze mu wiadomość.

MacLean podał nazwę hotelu i numer pokoju szefa lyońskiej policji. Potem przysunął krzesło do okna i usiadł. Nie czekał długo. Po kwadransie przed hotelem zatrzymało się granatowe BMW. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Wyglądali na tych, których się spodziewał. MacLean bez pośpiechu zszedł piętro niżej. Usłyszał zamieszanie, zanim je zobaczył.

Szef policji tłumaczył podniesionym głosem, że nie nazywa się Pascal i nikogo takiego nie zna. Nigdzie z nimi nie pojedzie. Jest policjantem, i to wysokim rangą, a nie profesorem. Zna swoje prawa. A w ogóle, to co oni za jedni? Maja się wylegitymować, ale już!

–Cos sie stalo? – zapytal niewinnie MacLean, podchodzac blizej.

Jeden z mezczyzn zaniepokoil sie, ze wraz z kolega zwracaja na siebie uwage. Oparl dlon na piersi policjanta i wepchnal go do pokoju. Zona napadnietego zaczela przerazliwie wrzeszczec. Na korytarz wyjrzel jakis gosc hotelowy. Doradzil kobiecie, zeby wezwala miejscowa policje. MacLean spokojnie obserwowal cale zajscie. Juz wiedzial, co sie dzieje, gdy ktos pyta w firmie o Von Joneka. Kiedy przyjechala policja, wymeldowal sie z hotelu i znalazl inny.

O trzeciej nad ranem rzeczywiste problemy wydaja sie dwukrotnie wieksze, a perspektywy gorsze. MacLean lezal w ciemnosci, targany watpliwosciami. Czy znajdzie Von Joneka, skoro na sam dzwiek tego nazwiska zjawiaja sie podejrzone typy? Przeciez nie wlamie sie do firmy i nie przetrzasnie kartotek. A gdyby nawet... Adresu Von Joneka z pewnoscia nie ma tak po prostu pod litera V. A moze pod J? Do diabla, nawet nie wiedzialby, gdzie szukac!

Koscielny zegar na pobliskim placu wybil piata. MacLean poddal sie; zupełnie nie wiedzial, co robic. Czas mijal, a on nie posunal sie ani o krok w kierunku zdobycia cytogermu dla Carrie. Od jego przyjazdu do Szwajcarii zginelo piec osob i czego sie dowiedzial? Tylko tego, ze Von Jonek to nie archiwista, lecz naukowiec z budżetem osiemnastu milionow dolarow, odpowiedzialny za projekt X 14. Ale czy to ma cos wspolnego z cytogermem? Nie wiadomo. Aha... ma jeszcze nazwisko kobiety, May Haas.

–Nie zmieniaj planu, dopoki nie jestes zmuszony – powtorzil sobie w ciemnosci. A moze jest zmuszony? Jak ma znalezc Von Joneka, skoro nie wie, jak sie do tego zabrac? Odpowiedz okazala sie prosta: potrzebuje pomocy. Fachowej rady, jak dostac sie do biur firmy Lehman Steiner. Ktos musi mu powiedziec, jak zdobyc niezbedne informacje. Znal tylko dwoch odpowiednich ludzi: Doyle'a i Leaveya. Postanowil ich odszukac.

MacLean sprawdzil na poczcie glownej, czy nic nie przyszlo na poste restante. Czekal na niego list od Tansy. Miala w koncu dosyc ciaglego okazywania wdziecznosci Neville'owi i Marjory i przeprowadzila sie do wynajetego mieszkania. Martwila sie o Carrie; chirurdzy zaczeli nalegac na przeprowadzenie operacji i nie wiedziala, jak sie z tego wykrecic. Moze moglby do niej zadzwonic? Teraz mieszka sama, wiec nie byloby zadnego ryzyka. U dolu listu widnial numer telefonu dopisany czarnym flamastrem, jakby w ostatniej chwili.

MacLean zadzwonil do Tansy wczesnym popoludniem. Na dzwiek jej glosu przelkнал z trudem. Zapowiedzial, ze wraca do domu najblizszym samolotem.

–Juz to zdobyles?! – wykrzyknela podniecona. MacLean zamknal oczy. Wiedzial, jak bardzo ja rozczaruje.

–Jeszcze nie. To troche trudniejsze niz myslalem.

–Rozumiem... – odrzekla Tansy. – W takim razie moze nie powinnam dluzej powstrzymywac chirurgow?

MacLean wyczul w jej glosie zwatpienie. Wbil paznokcie w dlon lewej reki, jakby podswiadomie chcial zadac bol sobie zamiast jej.

–Jeszcze sie nie poddalem. Moj powrot to tylko zmiana planow.

Samolot MacLeana wyladowal na londyńskim Heathrow z pietnastominutowym opoznieniem. To wystarczylo, zeby uciekl mu wahadlowiec British Airways odlatujacy do Edynburga. Godzine pozniej zlapal lot British Midland i z ulga opuscil ponury, mglisty Londyn. Saczyl dzin i patrzyl na slonce i blekitne niebo wysoko nad chmurami.

Po godzinie maszyna znalazla sie nad wschodnimi obrzezami stolicy Szkocji. Przechylila sie ostro nad Firth of Forth i zaczela schodzic ku ziemi. MacLean specjalnie poprosil o miejsce po lewej stronie, zeby zobaczyc ten moment. Mial teraz pod soba dwa wielkie mosty przerzucone nad ujsciem rzeki. Stary, wiktorski most kolejowy byl czerwony i zbudowany z wymyslnej stalowej plataniny. Wiszacy most drogowy wyrozniat sie prostota konstrukcji. Znajomy widok zawsze poprawial mu nastroj.

Z lotniska zadzwonil do Tansy. Z ulga stwierdzil, ze mowi troche weselszym tonem. Obawial sie, ze wpadnie w depresje z powodu fiaska jego wyprawy do Genewy. Ale wygladalo na to, ze pogodzila sie z tym. Dala mu swoj nowy adres. Obiecal, ze bedzie za dwadziescia minut, jesli zaraz zlapie taksowke.

Kiedy przestapil prog, Tansy rzucila mu sie na szyje. Dluugo tulili sie do siebie w milczeniu. W koncu puscila go.

–Dzieki Bogu, ze wrociles calo. Tak sie o ciebie balam... Chcialam ci to powiedziec przez telefon, ale... Jak uslyszalam, ze nie zdobyles tego przekletego preparatu, myslalam tylko o tym, co bedzie z Carrie.

MacLean przyciagnal ja do siebie.

–Doskonale cie rozumiem. Ja tez nie przestaje o tym myslec. Juz ci mowilem, ze nie zrezygnowalem.

Popatrzyła na niego pytajaco.

–Nie spodziewalem sie, ze to bedzie takie trudne. Wrocilem po pomoc. Sam sobie nie poradze.

–Wiec wiesz, gdzie zdobyc cytogerm? – zapytala.

MacLean zaczął od tego, co mu się powiodło w Genewie.

–Udalo mi się dowiedzieć, że firma Lehman Steiner wydaje rocznie osiemnastę milionów dolarów na badania prowadzone przez Hansa Von Joneka. To ten, który kiedyś zeznał ode mnie całej dokumentacji dotyczącej cytogermu pod pretekstem, że jest archiwista. Wszystko wskazuje na to, że te badania mają związek właśnie z cytogermem.

Złe wieści zostawił na koniec.

–Jean-Paul Rives ustalił, gdzie znaleźć Von Joneka, ale niestety zginął, zanim zdążył mi to przekazać.

–Jak to zginął?

MacLean chciał oszczędzić Tansy szczegółów, lecz wiedział, że nie wykrepi się byle czym. Opowiedział jej całą historię. Zbladła.

–Nie mogę w to uwierzyć – szepnęła, krecąc głowę.

–Wiem – odrzekł cicho MacLean. – Ale taka jest prawda.

–Przecież twoi przyjaciele byli niewinnymi ludźmi. – W oczach Tansy pojawiły się łzy. – A teraz nie żyją.

–Zostali brutalnie zamordowani, Tansy. To ofiary Lehman Steinera, jak Jutte i cała reszta. Teraz wiesz, kogo mamy przeciwko sobie. Eva i Jean-Paul zginęli, próbując pomóc Carrie. Musimy walczyć dalej, jesteśmy im to winni.

Tansy otarła oczy i wzięła kilka głębokich oddechów.

–Co zamierzasz zrobić?

–Odnaleźć Doyle'a i Leaveya.

–To ci dwaj z platformy wiertniczej?

–Tak. Sam nie pokonam Lehman Steinera.

–Mylisz, że ci pomogą?

–Kiedy im powiem, o co chodzi, na pewno. Tansy podniosła na niego wzrok.

–Mam nadzieję. – Rozplakana się. – Nie mogę znieść myśli, że będziesz się tak

narazal!

MacLean przytulil ja mocno.

Rano MacLean zadzwonil do koncernu naftowego, w ktorym kiedyś pracowal. Poprosil o polaczenie z dzialem zatrudniajacych robotnikow na platformach wiertniczych. Po wymianie uprzejmosci ze znajomym urzednikiem zapytal o Doyle'a i Leaveya. Pierwszy juz nie figurowal na liscie personelu, drugi ciagle pracowal na "Celtyckiej Gwiezdzie". MacLeanowi dopisalo szczescie; Leavey mial przyleciec do Aberdeen za dwa dni, w najblizszy czwartek. Rownie dobrze moglo sie okazac, ze dopiero za dwa tygodnie. MacLean zapisal, o ktorej laduje helikopter. Oczywiscie, wszystko zalezalo jeszcze od pogody.

W srode MacLean i Tansy odwiedzili w szpitalu Carrie. MacLean obawial sie troche jej reakcji na jego widok. Okazalo sie, ze niepotrzebnie. W rezultacie spedzil pierwszy tak przyjemny dzien od dluzszego czasu. Carrie zablyslly oczy, kiedy go zobaczyla. Na spacerze po parku trzymala go za reke. Bylo tak, jak podczas ich dawnych sobotnich wypraw. Wprawdzie teraz towarzyszyła im Tansy, ale szla z tyłu. Wystarczalo jej, ze cala trojka jest znow razem. Brakowalo tylko szczebiotu Carrie, natomiast jej entuzjazm i radosc zycia byly zarazliwe. Gdy doszli do drzewa wisniowego, MacLean obejrzał sie na Tansy. Skinal glowa, jakby na znak, ze dotrzyma danej tu obietnicy. Uśmiechnela sie, zeby ukryc lzy.

Po przechadzce mieli sie spotkac z doktorem Coulsonem, konsultantem Carrie. MacLean przewidywal, ze rozmowa nie bedzie latwa. Coulson z pewnoscia zaproponuje date pierwszej operacji Carrie i postawi ich w trudnej sytuacji. Ciezar wynajdywania zastrzezen spadnie glownie na Tansy; ona jest matka. MacLeanowi, jako "wujkowi", przypadnie rola drugoplanowa.

–Doktor Coulson oczekuje panstwa – oznajmila mloda pielegniarka. Cala trojka weszla do gabinetu. Coulson jak zwykle sprawial wrazenie, jakby sie dokads spieszyl; nerwowo usuwal papiery z biurka. Najwidoczniej uwazal rozmowy z krewnymi pacjentow za zlo konieczne. Z pewnoscia chcial to juz miec za soba. W kacie pokoju staly kije golfowe. Tansy i MacLean usiedli naprzeciw lekarza na plastikowych krzeselkach.

–Zapisujemy Carrie na zabieg w nastepna srode, pani Nielsen – powital ich Coulson. Jego mina wskazywala, ze oczekuje aprobaty.

–Wolalabym jeszcze zaczekac, panie doktorze – odrzekla Tansy. Lekarz byl zaskoczony. Zastygl z dlugopisem w powietrzu.

–Nie rozumiem pani...

–Carrie wlasnie zaczyna wracac do siebie. Moze dalibysmy jej jeszcze tydzien lub

dwa na odzyskanie sił?

Coulson uśmiechnął się z wyższością.

–Naprawdę uważam, że to ja najlepiej mogę ocenić, czy pani córka jest gotowa do operacji, pani Nielsen.

–Nie kwestionuje pańskich zawodowych kompetencji, doktorze – odparła Tansy. – Ale Carrie to moje dziecko, a ja nie jestem kompletna idiotka. Proszę o opóźnienie zabiegu przynajmniej o dwa tygodnie.

MacLean milczał i słuchał Tansy z podziwem. Doskonale sobie radziła.

–Ależ, pani Nielsen... Im wcześniej zaczniemy, tym lepiej dla Carrie. Zwiększymy jej szanse.

–Na co? – zapytała Tansy.

Coulson zniecierpliwiał się. Rozłożył ręce.

–Na odzyskanie jakiegos ludzkiego wyglądu! – Nie dodał "ty głupia kobieto", ale słychać to było w jego głosie.

–Jakiegos ludzkiego wyglądu... – powtórzyła wolno Tansy.

MacLean zamknął oczy i spuścił głowę. W końcu Coulson to powiedział. Jednym zdaniem pozbawił matkę swojej pacjentki wszelkiej nadziei. A teraz próbował usprawiedliwić własną głupotę.

–No, wie pani... Uszkodzenia twarzy są bardzo rozległe.

MacLean chciał rozładować sytuację, więc zagadnął chirurga, co dokładnie zamierza zrobić. Zauważył wyraz znudzenia na jego twarzy. Dostrzegł, że Coulson tesknie zerkał na kije golfowe.

Lekarz uraczył ich wykładem, który MacLean nazwał w duchu "popularyzacja chirurgii wśród szerokich mas". Patrzył na nich z góry i używał przystępnego – we własnym mniemaniu – słownictwa, żeby zrozumieli, o czym mówi. Często przerywał i pytał, czy wyraża się jasno. Miał wyraźne wątpliwości, czy są w stanie pojąć najprostsze rzeczy. MacLean słuchał go z rosnącym niepokojem. Nie tyle zwracał uwagę na formę wypowiedzi, co na treść. Nadętych osłów nie brakuje w żadnym zawodzie, ale przeraziła go niekompetencja tego człowieka. Coulson opisywał metody nie stosowane już od lat; pionierskie zabiegi wykonywane na poparzonych pilotach w czasie drugiej wojny światowej! MacLean uznał, że nie może dłużej milczeć.

–Czy tej techniki nie zastąpiła jakiś czas temu metoda Gelmana Schwarza? – przerwał wywody chirurga.

Coulsona zatkalo, jakby nagle wpadł na sciane.

–Nie wiedzialem, ze pan... – zaczął niepewnie.

MacLean wycofał się. Miał wielką ochotę zapędzić lekarza w ślepy zaułek i przyprzec do muru, ale co by to dało? Pamiętał, że musi myśleć rzeczowo. Jego zadaniem było opóźnienie operacji.

–Po prostu dużo czytałem na ten temat – wyjaśnił. – Chciałem się dowiedzieć, jakie perspektywy ma Carrie.

Coulson odzyskał pewność siebie. Jak wielu "ekspertów", liczył w dużym stopniu na ignorancję swoich słuchaczy. Ważne, żeby od laików dzielił go bezpieczny dystans. Wszelkie oznaki, że masy posiadają odpowiednią wiedzę, rokowały duży kłopot.

–Rozumiem... – powiedział wolno. – W rzeczywistości opinie w środowisku medycznym są podzielone.

Czyżby? – pomyślał MacLean. W takim razie środowisko medyczne dzieli się na tych, którym zależy, żeby ich pacjenci nie przypominali plastikowych kukieł, i na tych, którym od dwudziestu lat nie chce się zajrzeć do fachowej literatury. "Podzielone opinie" to bardzo wygodne wytłumaczenie i używane o wiele za często. Jest usprawiedliwieniem dla zbyt wielu durniów. MacLean podjął decyzję: nie dopuści, żeby Coulson dotknął Carrie choćby jednym palcem.

Tansy nie miała pojęcia, o co chodzi, ale była wdzięczna MacLeanowi, że włączył się do rozmowy. Wyczuwała, że wewnętrznie aż kipi z gniewu; zauważyła też zmianę w zachowaniu Coulsona. Sprawiał wrażenie mocno zbitego z tropu.

Chirurg skończył przemowę. Spojrzał na zegarek, potem na Tansy.

–Chyba teraz pani rozumie, dlaczego powinniśmy jak najszybciej poddać Carrie operacji?

Tansy szybko zerknęła na MacLeana. Nie była pewna, co odpowiedzieć. Otworzyła usta, ale ją ubiegł.

–Chcielibyśmy opóźnić operację tylko dlatego, że pani Nielsen rozważa wysłanie Carrie do kliniki Mannerheim w Zurychu. Proszę nie traktować tego jako braku zaufania do pana, doktorze. Ale Dieter Klein to światowa sława w dziedzinie rekonstrukcji twarzy. Z pewnością slyszal pan o jego osiągnięciach?

–Oczywiscie – wymamrotal Coulson. – Trzeba bylo od razu powiedziec, to zmienia postac rzeczy. Kiedy beda panstwo cos wiedziec?

–Spodziewamy sie wiadomosci od doktora Kleina w ciagu najblizszych dwoch tygodni – sklamal MacLean.

–Wiec zaczekamy – odrzekl Coulson.

–Dziekujemy, doktorze.

–To bylo genialne! – szepnela z zachwytem Tansy, kiedy wyszli z gabinetu. – Coulson skurczył sie z wrazenia na sam dzwiek tego nazwiska!

–Na razie mamy z nim spokoj – mruknal MacLean. – Bedzie trzymal lapy z daleka od Carrie.

Tansy spojrzala na niego dziwnie. Zastanowil ja uzyty zwrot, ale nie odezwala sie.

MacLean nie wyjawil jej, ze Coulson nie tyle "skurczył sie" z wrazenia, co z zaklopotania. Tak dalece nie wiedzial, co sie dzieje w jego wlasnej dziedzinie, ze z pewnoscia nigdy nie slyszal o Dieterze Kleinie. Chyba od dziesieciu lat nie przeczytal zadnego czasopisma medycznego.

Helikopter z robotnikami z platformy wiertniczej ladowal w Aberdeen o czwartej trzydziesti po poludniu. MacLean wsiadl na stacji Waverley do przedpoludniowego pociagu, wiec mial mnostwo czasu na dotarcie do ladowiska. Od rana wialo coraz mocniej. Kiedy jechal na polnoc przez most Forth, zaczelo padac.

Na otwartej przestrzeni wiatr dal z taka sila, ze deszcz na szybach wagonu calkowicie zaslanial widok na zachod. Pociag byl praktycznie pusty, wiec MacLean przesiadl sie na druga strone i popatrzył na wschod. Widzial teraz terminal przeladunkowy ropy naftowej na Hound Point. Spojrzal w gore i usmiechnal sie; do lotniska zbliżal sie samolot. Czasem dobrze jest moc zerknac na cos z dwoch stron. Wrocil na swoje miejsce i zaczal sie martwic, czy przy takiej pogodzie helikopter zabierze ludzi z platformy.

Zanim dojechal do Aberdeen, troche sie przejasnilo. Wiatr tez nieco oslabil, ale w porywach byl jeszcze tak silny, ze kobiety na Union Street parly do przodu z pochylonymi glowami i z trudem utrzymywaly parasolki. MacLean wstapil na kawe do malej kawiarni, gdzie pachnialo mokrymi ubraniami, potem obszedl wolno supermarket, wreszcie zlapal taksowke i pojechal na ladowisko.

Glosny warkot helikoptera zmienial sie przy podmuchach wiatru. MacLean przyslunil oczy przed siekacym deszczem i obserwowal ladowanie. Duza zolta maszyna typu Chinook usiadla delikatnie na asfalcie i natychmiast otoczyla ja

obsługa naziemna. Mezczyzni w wielkich ochraniaczach na uszy przypominali polne myszy. Oczekiwanie zdawalo sie ciagnac w nieskonczonosc. Wreszcie na plycie pojawili sie pierwsi pasazerowie w obszernych zoltych kamizelkach ratunkowych. Leavey wysiadl jako jeden z ostatnich. Niosl zielona torbe podrozna, ktora MacLean pamietal z dawnych czasow.

MacLean odczekal chwile, zeby zobaczyc, czy Leavey z kims idzie. Nie wygladalo na to. Przecial asfalt i zlupal go przed wejsciem do budynku terminalu.

–Dawno sie nie widzielismy, Nick – powiedzial.

Leavey odwrocil sie. Nie od razu rozpoznal skulona postac.

–Rany boskie! – wykrzyknal. – Sean! Co tu robisz, chlopie?! – Przerzucil torbe do lewej reki i mocno potrzasnal dlonia MacLeana.

–Mam ochote cos wypic – odrzekl MacLean.

–To tak jak ja – usmiechnal sie Leavey.

Ktos z grupy zawolal go, ale machnal reka i odkrzyknal, ze zaraz ich dogoni. Przyjrzel sie MacLeanowi.

–Po prostu steskniles sie za chlopakami czy masz jakas sprawe? – Jego mina wskazywala, ze zna odpowiedz.

–Chce pogadac – odparl MacLean. Leavey kiwnal glowa.

–Dobra. Tylko sie ogarne i odmelduje. Za piec minut w "Kotwicy". Pasuje?

MacLean przeszedl dwiescie metrow i stanal przed barem "Kotwica". Lokal wlasnie otwierano po popoludniowej przerwie. Drewniane drzwi zadrzaly, gdy ktos niewidoczny z zewnatrz odcignal odporne rygle. Szeroko rozchylone polowki trzeba bylo zabezpieczyc hakami. Zwalisty, lisy barman o czerwonej twarzy poczerwienial jeszcze bardziej przy schylaniu sie i mocowaniu z drzwiami. Wyprostowal sie i spojrzal na MacLeana.

–Z platformy?

–Nie tym razem – odparl MacLean i wszedl za nim do srodka. W barze panowal przenikliwy chlod. Popielniczki byly pelne niedopalkow po lunchu i cuchnelo dymem papierosowym. Wilgotne powietrze mialo posmak soli.

–Co ma byc?

MacLean wzial dwie whisky. Czekaajac na Leaveya, ogladal zdjecia wiszace na

scianie za barem. Na jednym była łódź ratunkowa walcząca ze sztormem, na dwóch innych helikoptery, na następnym płonąca platforma wiertnicza Piper Alpha.

Leavey uśmiechnął się na widok whisky na kontuarze.

– Pierwsza od dwóch tygodni – powiedział. – Pamiętasz to uczucie?

– Jasne – odparł z uśmiechem MacLean. – Cieszę się, że znów cie widzę.

– Ja też. – Leavey wypił i zamówił następną kolejkę. Odeszli od baru i usiedli przy stoliku. – Więc to nie towarzyska wizyta? – zagadnął.

MacLean z uśmiechem pokręcił głową.

– Nie. Potrzebuje pomocy. Miałem nadzieję, że zobaczę się też z Mickiem Doyle'em, ale podobno już z wami nie pracuje.

– Mick już z nikim nie pracuje. Nie żyje – wyjaśnił Leavey. MacLean był wstrząśniony.

– Co się stało?

– Wypadek na platformie. Wiała dziewiątka i zmyło go z pokładu. Nie miał szans.

– Szkoda go. Taki równy kumpel...

– Najrowniejszy z chłopaków. – Leavey unosił szklanke. – Za nieobecnych przyjaciół.

MacLean w milczeniu spełnił toast.

– Więc jaki masz problem? – zapytał Leavey.

– Musisz być wykonany – odrzekł MacLean. – Może zaczekamy z tym do jutra?

Leavey przyjrzał mu się uważnie.

– Czas nie gra tu roli?

– Właściwie gra – wyznał MacLean.

– To na co czekasz? Mów.

MacLean opowiedział o podpaleniu domku i obrażeniach Carrie. Dodał, że to był zamach na niego. Mogłoby zrekonstruować twarz dziewczynki, gdyby miał cytogerm. Próbowal go zdobyć, ale to okazało się dużo trudniejsze niż myślał.

Leavey saczył whisky i słuchał. W końcu odezwał się:

–Podsumujmy. Jesli dobrze rozumiem, musisz ukrasc ten cytogerm z firmy Lehman Steiner, ale nie wiesz, gdzie go trzymaja. Znasz nazwisko faceta, który go używa, więc chcesz się włamać do biur firmy, żeby się dowiedzieć, gdzie pracuje. Jedyna alternatywa to odnalezienie tej kobiety, May...

–Haas.

–May Haas. Ale nie masz żadnego tropu. W dodatku przeciwnicy to faceci, którzy bez namysłu wykarczują ludzi. Zgadza się?

–Dokładnie.

Leavey utkwil wzrok w dnie szklanki i zastanowil sie.

–Jest inny sposob.

–Jaki?

–Wspomniales, ze dyrektorzy firmy spotykaja sie regularnie w genewskim hotelu...

–"Stagelplatz".

–Musza wiedziec wszystko o X 14. Dorwiemy jednego i wyspiewa nam, co trzeba.

MacLean przyznal, ze pomysl jest prosty i ze nie przyszlo mu to do glowy. Mozna nawet pominac hotel, bo nazwiska i adresy dyrektorow nie sa tajemnica. Do wiekszosci z nich uda sie dotrzec bez problemu. Po namysle znalazl jednak slaby punkt tego planu.

–Podejrzewam, ze nie wszyscy dyrektorzy sa w to zamieszani.

–Chodzi ci o to, ze moglibysmy sie dobrac do niewlasciwego faceta?

–Wlasnie. A wtedy sprawa wyjdzie na jaw. Nie uciszymy przeciez niewinnego czlowieka.

Leavey skinal glowa.

–Wiec wracamy do wlamania?

–Chyba tak – przyznal MacLean.

–A z ta twoja dziewczynka naprawde jest tak zle? Mam na mysli to, czy nie uda sie jej pomoc w inny sposob?

MacLean zaprzeczyl.

–W gre wchodzi tylko przeszczep skóry, ale do konca zycia mialaby zniekształcona twarz. Cytogerm to jej jedyna szansa, zeby wygladac tak jak przedtem.

–Ile ona ma lat?

–Piec.

–Cholera... – westchnal Leavey. Nagle opróżnił szklanke jednym haustem. – Dobra, wchodzi w to. Mam u ciebie podwojna whisky.

–Dzięki, Mick – uśmiechnął się MacLean. – Masz ich tyle, ile zadasz. – Podniósł się, żeby pójść do baru, ale Leavey powstrzymał go.

–Zaczekaj. Muszę wyskoczyć na piętnaście minut. Wypijemy, jak wroce. – Bez dalszych wyjaśnień wstał i wyszedł z lokalu.

13

Leavey wrócił punktualnie po kwadransie. Towarzyszył mu niski, uśmiechnięty mężczyzna o przeredzonych blond włosach i beczkowatej klatce piersiowej. MacLeanowi wydało się, że go zna, ale nie pamiętał skąd. Tymczasem mina tamtego wskazywała, że muszą być dobrymi znajomymi. MacLean poczuł zakłopotanie. Mężczyzna rozchylił koszulę i pokazał poszarpaną bliznę.

–Willie MacFarlane. Uratowałeś mi życie.

–No jasne! – wykrzyknął MacLean. – Zostałeś ranny na platformie i potem cie już nie widziałem. Jak zdrowie?

–Jak złoto, doktorku – pochwalil się MacFarlane. Zapiał koszulę i usiadł przy stoliku. – Jeszcze nie miałem okazji, żeby ci porządnie podziękować.

–Nie ma sprawy – odparł MacLean. – Znalazłem się po prostu we właściwym miejscu o właściwej porze. – Wstał, żeby coś zamówić, ale MacFarlane złapał go za ramię. – Przynajmniej niech ci postawie kolejkę.

MacLean zgodził się z uśmiechem i MacFarlane poszedł do baru. MacLean spojrzał pytająco na Leaveya.

–Może się przydać – wyjaśnił Leavey.

–Były komandos?

–Nie. Włamywacz.

–Zartujesz!

–Mowie powaznie. Willie potrafi otworzyc zaryglowane drzwi nogami. Kazdy zamek to dla niego osobiste wyzwanie. Co wiecej, idzie z duchem czasu. Elektroniczne systemy zabezpieczajace sa coraz lepsze, ale Willie tez. Kiedys udalo mu sie wlamac do sejfu, ktory przez cala dobe byl w obiektywie kamery.

–Jak on to zrobil, u diabla? – zdumial sie MacLean.

–Wzial magnetowid, wlaczyl sie do obwodu i nagral obraz. Potem odtworzyl go na ekranie monitora kontrolnego. Ochroniarze widzieli na wideo zamkniety sejf, a on w tym czasie wyniosl cala kase.

–Genialne – przyznal MacLean, ale nie kryl watpliwosci co do udzialu MacFarlane'a w ich przedsiwzieciu.

–Spojrz prawdziw w oczy, Sean – odparl Leavey. – We dwoch mozemy wiele zdzialac, ale jak natkniemy sie na elektroniczne bajery zabezpieczajace, bedziemy jak pijane dzieci we mgle. Bez Williego nie wlamiemy sie do budynku z nowoczesnym systemem alarmowym.

–Jeszcze nie wiemy, czy sie zgodzi – zauwazyl MacLean.

Leavey usmiechnal sie.

–Sa dwie rzeczy na swiecie, za ktore Willie dalby sie zabic: pilkarska druzyna Rangersow i ty. Nigdy ci nie zapomni, co dla niego zrobiles na platformie.

–Nie jest mi nic winien i nie chce, zeby dla mnie pakowal sie w klopoty – obruszył sie MacLean. – Mam dosyc na sumieniu. A co z jego rodzina? To byloby nie w porzadku. Nie idziemy ukrasc slodyczy ze sklepu. Ty tez lepiej sie zastanow.

Leavey polozyl mu reke na ramieniu.

–Juz to zrobilem.

MacFarlane przyniosl drinki. Bar zaczal sie zapelniac. Glosne meskie smiechy przypominaly MacLeanowi okres spedzony na platformie wiertniczej. Pierwszy wieczor na stalym ladzie zawsze byl szczegolny. Prysznic, zmiana ubrania i wyjście do pubu z wypchanym portfelem. Nawet zonaci mezczyzni wstepowali na jednego, zanim poszli do domu. Zwyczaj nakazywal, zeby dopelnic tego meskiego rytualu. Wszystko inne moglo zaczekac. Teraz zapach stechlizny zastapila won cygar i wody po goleniu. Twarze byly ozywione, oczy blyszczace.

MacFarlane'owi nie zamykaly sie usta. Zabawial swoich towarzyszy przy stoliku

niekonczącymi się historyjkami z platformy. Pokładali się ze śmiechu. Zartował głównie z samego siebie i MacLean poczuł do niego wielką sympatię. Leavey wtracał czasem niewinne pytania odnoszące się do jego sytuacji rodzinnej. Robił to tak sprytnie, że MacFarlane nawet się nie domyślał, że go przesłuchuje. Na razie Leaveyowi udało się dowiedzieć, że MacFarlane jest żonaty, ale bezdzietny. Wyczuł też, że ukrywa rozgoryczenie.

Po kilku kolejkach Leavey zapytał:

–Pewnie teraz wybierasz się do domu i do żony, Willie? MacFarlane stracił dobry humor. Spuścił oczy.

–Ta suka mnie olała – wyznał ponuro.

–Przepraszam, nie wiedziałem... – Leavey wymienił spojrzenia z MacLeanem. Powiedział to takim tonem, że sprowokował MacFarlane'a do dalszych zwierzeń.

–Przysłała list. Chodzi z jednym facetem. Roger mu na imię. Ma własną firmę i eskorta XR3. Dacie wiary? Eskortą XR3! Gdzie on ma gust? Chyba w dupie!

Leavey i MacLean znów spojrzeli na siebie.

–Długo byłeś żonaty, Willie? – zapytał Leavey.

–Trzy lata.

–Ciekawa sprawa... – westchnął Leavey.

–I pomyślałem, że zrezygnowałem dla niej z błyskotliwej kariery, żeby mogła powiedzieć, że wyszła za uczciwego gościa! – rozszalał się MacFarlane. – Odmrażałem sobie dupę na platformie, a ona nadstawiała swoją jakiemuś Rogerowi na tylnym siedzeniu jego pieprzonego XR3!

MacLean wiedział, że taka sytuacja to nic śmiesznego, ale mimo wszystko... Wyjął chusteczkę i wytarł nos, żeby ukryć swoją minę. Zauważył, że Leavey ma ten sam problem. W końcu Leavey podsumował:

–Nie jest warta, żebyś zwracał sobie nią głowę, Willie. Jeszcze po jednym?

MacFarlane spojrział na zegarek.

–Nie, muszę lecieć. Za piętnaście minut mam ostatni pociąg do Glasgow.

–Cos już sobie zaplanowałeś? – zapytał Leavey. MacFarlane wyglądał, jakby dopiero teraz o tym pomyślał.

–Jeszcze nie.

–To chodźmy wszyscy do mnie. Wypijemy, pogadamy o starych czasach... Możecie przemocować. Miejsca wystarczy.

–Brzmi zachęcająco – przyznał MacFarlane po krótkiej chwili namysłu.

–Dla mnie też – dodał MacLean.

Leavey mieszkał w Aberdeen na trzecim piętrze obskurnego, czynszowego bloku niedaleko Union Street. W deszczu i zapadającym zmroku budynek wyglądał odpychająco. MacLean pomyślał, że w słońcu może nie byłoby tak źle. MacFarlane z uznaniem obejrzał solidne zamki w drzwiach Leaveya.

–Często nie ma mnie w domu – powiedział Leavey tonem wyjaśnienia i wszyscy trzej uśmiechnęli się.

Kiedy weszli do środka, MacLean natychmiast zrozumiał powód tych zabezpieczeń. Mieszkanie okazało się pięknie umeblowanym apartamentem. Wyposażenie musiało kosztować majątek i było w najlepszym guście. Leavey przeprosił za panujące zimno i wyjaśnił, że nie ma sensu ogrzewać pokoi podczas jego nieobecności.

–Zgarnales główną wygraną w totka, czy jak? – zapytał MacFarlane, oglądając z podziwem sprzęt stereo.

–Nie – odparł Leavey. – Po prostu nie mam w co ładować forsy. Kiedy przez większość życia haruje się z dupa w gównie, przyjemnie jest czasem wrócić do takiego miejsca, no nie?

MacLean przytaknął.

–To żaden problem, Willie – ciągnął Leavey. – Teraz z powrotem jesteś kawalerem i też możesz odłożyć na taką chatę.

–Zbieram na ciężarowe volvo z naczepą – odpowiedział MacFarlane.

–Zakładasz własny interes?

–Nie. Chcę rozjechać na miazgę tego skurwiela razem z jego escortem XR3.

MacLean odwrócił się pod pretekstem, że coś ogląda. Przypuszczał, że MacFarlane żartuje, ale wcale nie był tego taki pewien.

Leavey i MacLean siedzieli w fotelach obitych białą skórą. MacFarlane usadowił się na takiej samej kanapie. Saczyli whisky Glenmorangie i słuchali Milesa Davisa.

–Wiec co cie tu przygnalo, doktorku? – zagadnal MacFarlane. – Chyba nie myslisz o powrocie na platforme?

–Mam naprawde duzy problem, Willie. Potrzebuje pomocy – wyznal MacLean.

–Jesli moge sie na cos przydac, powiedz tylko slowko.

–To niebezpieczne.

–Przechodzenie przez ulice tez.

–Mowie powaznie. Mozna skonczyc w zagranicznym wiezieniu albo z kula w glowie.

–Az tak? – zdziwil sie MacFarlane.

–Wlasnie tak – odparl MacLean.

–Mam wobec ciebie dlug, doktorku. Mozesz na mnie liczyc. MacLean uniosl dlon.

–Nic mi nie jestes winien, Willie. Ustalmy to raz na zawsze. MacFarlane spojrzal na Leaveya.

–Ty w to wchodzisz? Leavey przytaknal.

–Dlaczego? – zapytal MacFarlane.

–Bo jest wazny powod – odrzekl Leavey. MacFarlane przeniosl wzrok na MacLeana.

–Powiedzcie, o co chodzi.

MacLean opowiedzial mu cala historie. Kiedy skonczyl, MacFarlane westchnal w zamysleniu:

–Biedna dziewczynka... Wiecie, zawsze chcialem miec coreczke. Po chwili ciszy odezwal sie Leavey:

–Wiec jak? Wchodzisz w to, czy nie? MacFarlane wzruszyl ramionami.

–Jasne, ze wchodze.

Leavey zwrocil sie do MacLeana.

–Kiedy zaczynamy?

–Jak najszybciej.

–Ja jestem gotow – powiedzial Leavey. – A ty, Willie? Nikt nie bedzie za toba tesknil

w Glasgow?

–Tylko bukmacher – odparł MacFarlane.

MacLean zaproponował, żeby rano wyjechali do Edynburga. Zanim zorganizują podróż do Genewy, zamieszkają u Tansy. Leavey zapytał, kto sfinansuje operację. MacLean wyjaśnił, że wszelkie koszty pokryje Tansy z odszkodowania za spalony domek.

–To nie w porządku – sprzeciwił się Leavey.

MacFarlane zgodził się z nim. Oświadczył, że jest gotów "skombinować skromny fundusz". MacLean z uśmiechem podziękował, ale odmówił. Po naradzie zdecydowali, że pojedą nie porannym, tylko przedpołudniowym pociągiem. MacFarlane musiał jeszcze kupić "trochę gratów", które uważał za przydatne. MacLean zamierzał mu towarzyszyć i zapłacić za narzędzia i sprzęt, MacFarlane nie chciał o tym słyszeć.

–To tylko kilka drobiazgów – zapewnił.

Mimo późnej pory MacLean zadzwonił do Tansy. Zapowiedział, że nazajutrz po południu wróci do domu z "dwoma przyjaciółmi". Tansy myślała, że chodzi o Doyle'a i Leaveya. Kiedy dowiedziała się, że Mick Doyle nie żyje, była wstrząsnieta.

–Nagle wokół nas jest pełno śmierci – powiedziała ze smutkiem. MacLean chciał odwrócić jej uwagę od przykrego tematu; poprosił, żeby rano wybrała się do biura linii lotniczych i sprawdziła loty do Genewy. Obiecała to załatwić.

MacLean stwierdził ze zdziwieniem, że choć przez cały wieczór wlewał w siebie whisky, czuje się zupełnie trzeźwy. Kiedy szedł spać, zastanawiał się dlaczego. Znajomość medycyny podpowiadała mu, że tak szybkie spalanie alkoholu świadczy o stanie jego nerwów. Otworzył drzwi pokoju, który Leavey mu przydzielił, i stanął jak wryty. Znalazł się w innym świecie. Sypialnia była urządzona w tradycyjnym japońskim stylu. Zamiast łóżka na środku znajdował się futon. Otaczały go parawaniki ozdobione scenami z zamierzonej przeszłości. Starodawne lampy świeciły przyćmionym blaskiem.

MacLean zdjął buty i przestąpił próg. Odszukał panel sterujący oświetleniem i zauważył na nim dodatkowe włączniki z muzycznymi symbolami. Nacisnął jeden i pokój wypełniły ciche, orientalne dźwięki. W tle szumiała woda. MacLean nie mógł wyjść z podziwu dla twórcy tego pomieszczenia; stanowiło zupełną ucieczkę od rzeczywistości. Rozebrał się, usiadł po turecku na futonie i zaczął oglądać rysunki zrobione tuszem na parawanikach.

Patrzac na placzące drzewa wisniowe, myślał o obietnicy złożonej Tansy w

szpitalnym parku. Stała się jego jedyną racją bytu. Samuraj przed nim dziwnie przypominał mu Leaveya. Nie fizycznie, lecz duchowo. Leavey miał jakąś zagadkową wewnętrzną siłę. Wymykała się wszelkim definicjom, ale była czymś więcej niż zwykła odwaga. MacLean wiedział, że mógłby powierzyć Leaveyowi własne życie, ale nigdy nie mógłby się do niego zbliżyć. Nikt by nie mógł.

MacFarlane bardzo się różnił od Leaveya; przypominał otwartą książkę. Był szczery i miał wielkie serce, ale cechowała go też pewna zawziętość. Pod wieloma względami uosabiał Glasgow. MacLean uwierzył Leaveyowi na słowo, że Willie jest aż tak dobry w swoim fachu. Jeśli rzeczywiście, to nie mógł sobie dobrać lepszych towarzyszy do czekającego go przedsięwzięcia.

Następny rysunek przedstawiał klasyczną ikebana z trzech kwiatów. MacLean pamiętał, jak Jutte tłumaczyła mu kiedyś znaczenie każdego z nich. Górny, zwany Ten, symbolizuje niebo. Dolny, czyli Chi – ziemia. Dużo trudniej zinterpretować symbolikę środkowego, Jin. Oznacza bowiem wszystko, co jest na ziemi i czego władcą jest człowiek. Jutte zataczała rękami szerokie kregi, żeby to zobrazować.

Im dłużej przyglądał się kwiatom, tym wyraźniej wyobrażał sobie, że Chi i Jin zlewają się ze sobą. Powrót życia do ziemi? Co to znaczy? To samo odczuwał po tamtej nocy w Genewie, gdy wysadził w powietrze samochód z trzema ludźmi i patrzył na ich śmierć. Jakby zrobił coś nieodwołalnego i teraz nic już nie będzie takie jak przedtem. Przekroczył swój własny Rubikon. Wszedł na drogę bez powrotu, która musi kroczyć aż do osiągnięcia celu. Zanim dotrze do końca, przejdzie bezlitosną próbę siły i odwagi. Znowu spojrzał na samuraję. Mógłby przysiąc, że dostrzegł uśmiech na obliczu wojownika. A może to whisky zaczęła w końcu działać? Zapadł w sen.

–Ostatni raz byłem w Edynburgu, jak miałem ze czternastu lat – powiedział MacFarlane, gdy wspinali się po stromej pochyłości od stacji Waverley ku zalanej słońcem Princess Street. – Przyjechałem z Karen, moja pierwsza prawdziwa miłość. Zostaliśmy tylko jeden dzień. Kto pochodzi z Glasgow, nie wytrzyma tu dłużej. Wleźliśmy tam... – MacFarlane pokazał strzelista gotycka wieża Scott Monument, gorząca nad ogrodami Princess Street Gardens.

–Nie wiedziałem, że interesujesz się szkocką architekturą, Willie – uśmiechnął się Leavey.

–Bo się nie interesuje – odparł MacFarlane. – Chciałem tylko zobaczyć majtki Karen, jak będzie pierwsza wchodziła po schodach.

–Udało się? – zapytał Leavey. MacFarlane pokręcił głową.

–Było za ciemno.

Tansy podała na kolacje rostbef. MacLean wiedział, że denerwowała się przed spotkaniem z jego przyjaciółmi, ale szybko się do nich przekonała i wieczór upływał w miłej atmosferze. Dusza towarzystwa był MacFarlane. Zachowywał się z wrodzoną swobodą i bez troski. Starł się dobrze wypaść przed Tansy, więc dbał o swoje maniery i język, przez co jego opowieści były jeszcze zabawniejsze.

Kiedy Tansy wyszła do kuchni zrobić kawę, MacLean przyłączył się do niej. Objął ją z tyłu w pasie i pocałował w szyję.

–Wszystko w porządku?

–Tak – odpowiedziała. – Sa sympatyczni.

–Wciąż co ci dreczy? – zapytał MacLean, muskając ustami jej włosy.

–Chciałabym... Nieważne.

–Ważne. Powiedz.

–Chciałabym im podziękować – wyznała Tansy. – Ale nie potrafię znaleźć odpowiednich słów i strasznie mi głupio. Powinnam jakos wyrazić, co czuję, a nie umiem. Po prostu nie wiem, jak.

–Nie martw się. Oni rozumieją – zapewnił MacLean.

–Nie o to chodzi – upierała się Tansy. – Ciągle ich porównuję z ludźmi, których uważałam za moich przyjaciół. Z takimi Neville'ami... z Marjory. Z osobami w "moim rodzaju". Jak mogłam się tak mylić? – Odwróciła się do MacLeana. – Czuję się taka zobowiązana Neville'owi i Marjory za te kilka noclegów i śniadań w ich domu! A tymczasem ci dwaj mężczyźni są gotowi ryzykować życiem dla mojej córki ot tak, jakbym poprosiła ich o wymianę uszczelki w kranie. Pomóż mi, bo nie rozumiem.

MacLean uśmiechnął się.

–To proste. Właśnie odkryłaś to samo, co ja po rozpoczęciu pracy na platformie. Zwyczajni ludzie mają wrodzone dobre cechy charakteru, o które nawet ich nie podejrzewamy. Nie jesteśmy w stanie tego dostrzec, dopóki tkwimy zamknięci we własnych małych światach pełnych uprzedzeń. Niektórzy twierdzą, że nie sposób znaleźć dobro, kiedy wokół jest tyle zła. Ale nie przejmuj się tym; tobie się udało. Teraz należysz do nielicznych uprzywilejowanych.

Tansy uśmiechnęła się.

–Dziękuję ci, Seanie MacLean. Cieszę się, że cie poznałam. MacLean pocałował ją lekko w usta.

–A ja, ze poznałem ciebie, moja damo.

Tansy osuszyła oczy rozkiem kuchennej ściereczki.

–Mam te informacje o lotach, o które prosiles.

–Świetnie.

–Wiec chyba poniedziałek... albo wtorek.

MacLean miał te przewagę, że znalazł wewnątrz budynku firmy Lehman Steiner. Odtwarzał teraz z pamięci rozkład pomieszczeń. Kiedy doszedł do podziemnego garażu, MacFarlane ucieszył się.

–To najlepsza droga na górze. Mogę popracować nad windą służbową.

–Kartoteki działu personalnego są na pewno w komputerach – zauważył Leavey. – Nie walają się po szafkach na akta. Trzeba to brać pod uwagę.

–To żaden problem – odparł MacFarlane. – Chyba że są zabezpieczone.

–Jak to? – zaniepokoił się Leavey.

–Dostęp jest tylko na hasło – wyjaśnił MacFarlane.

–Podejrzewam, że wszystko, co dotyczy X 14, jest zabezpieczone – wtracił MacLean.

–Wiec trzeba znaleźć zbiór haseł.

–A ludzie nie mają ich w głowach? – zdziwił się Leavey. MacFarlane zaprzeczył.

–W wielkich firmach hasła są zapisane i przechowywane w bezpiecznym miejscu.

–Dlaczego? – zapytał MacLean.

–Pracownicy byłiby zbyt silni, gdyby tylko jednostki miały dostęp do akt firmy. W razie zatargu z szefem taki ktoś mógłby odmówić podania mu hasła.

–Szantaz – powiedział Leavey.

–Albo niech jedyna osoba znająca hasło wpadnie pod autobus... – ciągnął MacFarlane. – Wiele ważnych danych mogłoby przepaść na zawsze.

–Gdzie firmy trzymają spisy haseł? – spytał MacLean.

–Zazwyczaj w sejfach – odrzekł MacFarlane. MacLean nie wiedział, gdzie dział personalny ma sejf.

–Nie martw się, znajdziemy – uspokoił go Leavey.

Leavey zaskoczył MacLeana pytaniem, czy używanie nazwiska Keith Nielsen jest nadal bezpieczne. MacLean musiał przyznać, że nie ma absolutnej pewności. Ale skoro bez problemu opuścił Szwajcarię, to chyba wszystko powinno być w porządku.

Leavey w zamysleniu pokiwał głową.

–Staram się po prostu wnikać w umysły przeciwników. Uważają, że Sean MacLean nie żyje, zatem z jego strony nic im nie grozi. Z tego, co mówisz, wynika, że nie mają pojęcia o istnieniu Keitha Nielsena, ale wiedzą, że ktoś interesuje się projektem X 14. Badać czujni. W Genewie załatwiłeś trzech ludzi. Zakładamy, że nie zdążyli zawiadomić nikogo więcej. Jednym słowem, przeciwnicy nie bardzo wiedzą, kogo i czego się spodziewać. Ale z drugiej strony, na pewno będą w pogotowiu.

–Lehman Steiner to wielka organizacja – powiedział MacLean.

Leavey przyjrzał mu się.

–I co z tego?

–Pomyślałem, że nie zdołają wszędzie zastrzyć środków bezpieczeństwa. Może skoncentrują się tylko na wzmocnieniu ochrony wokół X 14.

–Dobrze myślisz – pochwalil Leavey.

–Chodzi ci o to, że nie będą się spodziewać włamania do działu personalnego? – zapytał MacFarlane.

–Chyba że Rives już tam wszedł, zanim go złapali – zauważył Leavey.

–Nie – uspokoił ich MacLean. – Jean-Paul miał taki pomysł, ale nikogo tam nie znalazł. Próbowal dotrzeć do X 14 poprzez dane w księgowości.

–Czy to znaczy, że szukał miejsca, a nie osoby? – odezwała się po raz pierwszy Tansy.

MacLean potwierdził.

–I znalazł je. Ale nie zdążył mi powiedzieć.

–I masz tylko nazwisko kobiety... – powiedziała w zamysleniu Tansy. – May Haas...

W niedziele Leavey i MacFarlane dyplomatycznie zniknęli z domu, żeby MacLean i Tansy mogli spędzić razem ostatni dzień. MacLean zarezerwował trzy bilety lotnicze do Genewy na poniedziałek. Po południu on i Tansy odwiedzili Carrie, a wczesnym wieczorem wybrali się na spacer brzegiem Forth. Doszli do Cramond, małej wioski pamiętającej czasy rzymskich legionów. Wstąpili do miejscowej gospody na drinka. Niewiele rozmawiali. Tansy wiedziała, że MacLean jest coraz bardziej spięty. Zanim wstali od stolika, powiedziała:

–Muszę cię o coś zapytać. – Tak?

–Jak długo można odkładać operację Carrie?

–Cztery tygodnie.

Tansy zaczęła nerwowo wylamywać palce. Po chwili schowała ręce pod blat, żeby to ukryć.

–Jeśli...

–Jeśli z jakiegoś powodu nie wrócę – przerwał jej MacLean – znajdziesz w mieszkaniu mój list z nazwiskiem i telefonem chirurga w Glasgow. To Ron Myers, jeden z najlepszych specjalistów. Oddasz mu zapieczętowaną kopertę ode mnie, a on zajmie się resztą. Pod żadnym pozorem nie pozwól Coulsonowi tknąć Carrie.

Tansy popatrzyła na niego niepewnie. Wyglądał zupełnie bezradnie. Ujęła jego rękę.

–Wróć do mnie, Sean – poprosiła szeptem. MacLean spróbował się uśmiechnąć.

–Mam ten zamiar – odrzekł cicho. – Z cytogermem.

Opuszcili gospodę po zmroku. Nad wierzchołki drzew wypłynął księżyc. MacLean pokazał go Tansy.

–Pamiętaj, że świeci wszędzie nad nami, gdziekolwiek jesteśmy. Spójrz na niego i wymów życzenie. Ja też to zrobię.

MacLean i jego towarzysze mieli pojechać do Londynu nocnym pociągiem. Taki środek lokomocji zasugerował Leavey. Gdyby lecieli samolotem, musieliby przejść przed jeden punkt kontrolny więcej. MacLean nie bardzo wiedział, czy ma to jakieś znaczenie. Zrozumiał, gdy przed wyjazdem Leavey pakował do torby metalowe pojemniki od aparatów fotograficznych i obiektywów.

O północy stacja Waverley nie różniła się od innych dworców. Było tu brudno, ciemno i ponuro. Odjeżdżający podróżni chcieli jak najszybciej znaleźć się w

wagonach, a przyjeżdżający w domach. Bezdomni, którzy z konieczności spędzali tu noc, nie mieli szczęśliwych min.

Wychudła postać w wyswiechtanym fartuchu i czapce popychała wzdłuż peronu wózek z resztką kanapek opakowanych w plastik. Kierownik londyńskiego pociągu spacerował tam i z powrotem i obserwował wagony. Pasażerowie stali w otwartych drzwiach i rozmawiali z odprowadzającymi.

MacLean przyglądał się żołnierzowi, który rozstawał się z dziewczyną. Obok dwaj mężczyźni zegnali kolegę, a dalej rodzice córki. Za chwilę emocje opadną, pomyślał. Gdy pociąg ruszy, mężowie i kochankowie staną się tylko anonimowymi podróżnymi. Dworcowy zegar wskazywał już czterominutowe opóźnienie. Rozległ się gwizdek, trzasnęły zamykane drzwi i rząd wagonów ruszył w noc.

MacLean widział, że jego towarzysze są tak samo śpiący jak on. MacFarlane dawno nie był taki milczący. Leavey wolął czytać niż rozmawiać. MacLean podejrzewał, że tak czują się komandosi przed walką, gdy siedzą w łodzi desantowej mknącej po falach ku wrogiej plaży. Albo kiedy czekają w ciemnym wnętrzu samolotu na sygnał do zrzutu. Leavey na pewno by to wiedział, ale MacLean nie chciał go teraz pytać.

Po dwóch godzinach Leavey zasnął. MacFarlane wkrótce potem. MacLean oparł głowę o szybę i patrzył w ciemność. Niewiele mógł zobaczyć, ale czasami w oknie jakiegoś domu paliło się światło. Zastanawiał się, dlaczego. O tej porze? Chore dziecko? Złe wiadomości? Nigdy się nie dowie. A tamci ludzie nie będą wiedzieli, że go to ciekawiło.

W Londynie wstał już nowy dzień. Większość ludzi nie miała powodu sądzić, że będzie się różnił od innych, a jednak spieszyli na jego powitanie. Na stacji Kings Cross panował poranny tłok. MacLean i jego towarzysze obserwowali przewalający się tłum z bufetu, gdzie jedli śniadanie.

MacFarlane wskazał głową rzeszę ludzi.

–Jednak nie ma to jak na platformie. Leavey wzruszył ramionami.

–Tutejsi są do tego przyzwyczajeni. MacLean nie odezwał się.

Przeczekali poranny szczyt i pojechali metrem na lotnisko Heathrow. Do odlotu pozostały dwie godziny. Zgłosili się do odprawy pasażerów, ale wstrzymali się z przejściem przez kontrole paszportowa. Leavey chciał jeszcze kupić nową książkę na podróż, a MacFarlane przejrzeć magazyny ilustrowane. MacLean zamierzał się umyć i ogolić. Umówili się przed kioskiem z prasą.

MacLean zdążył zmoczyć twarz, gdy usłyszał komunikat: "Pan Keith Nielsen, odlatujący do Genewy samolotem British Airways, jest proszony do stanowiska

naszych linii lotniczych... Powtarzam..." MacLean zastygl w bezruchu. Nie przeslyszal sie, chodzilo o niego. Szybko wytarl twarz, wlozyl z powrotem koszule i marynarkę. Leavey i MacFarlane juz czekali pod drzwiami toalety.

W informacji zastali wiadomosc od Tansy. Wzywala ich do natychmiastowego powrotu.

14

–Wiec nie lecimy do Genewy?! – wykrzyknal zaskoczony MacFarlane. Leavey wzruszyl ramionami.

MacLean spojrzal na zegarek.

–Mamy jeszcze pol godziny. Zadzwoń do niej.

Byl przekonany, ze w domu stalo sie cos niedobrego. Na pewno chodzi o Carrie. Kiedy wybieral numer, trzesly mu sie rece. Uslyszal pierwszy sygnal i przygotowal sie na najgorsze. Po czwartym pomyslal, ze Tansy jest w lazience. Po siodmym, ze siedzi w wannie. Po dziesiatym uznal, ze nie ma jej w domu. Wolno odlozyl sluchawke i odwrocil sie do towarzyszy.

–Nie odbiera – wyjasnil. MacFarlane zerknal na zegarek. – I co teraz?

–Wracamy do Edynburga – zdecydowal MacLean.

Czterdziesti minut pozniej siedzieli w samolocie do Szkocji. Leavey i MacFarlane byli rozczarowani nagla zmiana planu. MacLean zachodzil w glowe, co sie moglo stac. Zaraz po wyladowaniu zadzwonil do Tansy. Nie zastal jej. Nie poprawilo mu to nastroju.

–Pojedziemy do domu i zaczekamy – powiedzial.

Dochodzila piata po poludniu, kiedy Tansy zastala ich na schodach.

–Widze, ze dostaliscie wiadomosc – ucieszyla sie. MacLean na moment zaniemowil.

–Gdzie bylas? Dzwonilem z Londynu, a potem z tutejszego lotniska.

–Przed poludniem siedzialam w bibliotece publicznej. To stamtad wyslalam wam wiadomosc. Po poludniu poszlam do Carrie. Wlasnie od niej wracam.

–Co sie stalo?

–Nic zlego – odrzekla spokojnie Tansy. – Ale co z Carrie?

–Wszystko w porządku. MacLean westchnął.

–Tansy, możesz mi wytłumaczyć, o co chodzi?

–Po prostu coś odkryłam.

–To znaczy?

–Przed wyjazdem mówiłeś, że Jean-Paul Rives szukał miejsca, a nie osoby. Więc zaczęłam się zastanawiać, skąd wziął nazwisko kobiety...

–May Haas – podpowiedział MacLean.

–Właśnie. Nie dawało mi to spokoju. Wreszcie dziś rano przyszło mi do głowy, że May Haas to nie nazwisko, tylko nazwa miejscowości.

. – Nazwa miejscowości?! – wykrzyknął MacLean.

–Byłam tego tak pewna, że poszłam do biblioteki i poszukałam w atlasie.

–I...?

–Najpierw niczego nie znalazłam. Pomyślałam, że jednak się pomyliłam. Ale wspomniałam o tym bibliotekarce. Uczy hiszpańskiego w szkole wieczorowej. Uznała, że nazwa brzmi z hiszpańska. Pokazała mi, jak to się pisze. I znalazłam! To miasteczko na południu Hiszpanii. Nazywa się M-i-j-a-s. Ale wymawia się jak May Haas.

W pokoju zapadła cisza. Wreszcie przerwał ją Leavey.

–To ma sens.

–Na pewno – zgodził się MacLean. – Eva zdążyła mi powiedzieć, że Jean-Paulowi się poszczęściło. Nie byłoby się czym chwalić, gdyby znalazł jedynie nazwisko jakiejś kobiety. Tansy, jesteś genialna! – Przytulił ją.

–Ode mnie też ja usciskaj – zazała MacFarlane. – Nie będę musiał się włamywać do komputerów w Genewie.

Tansy przyniosła mapę Hiszpanii, którą kupiła w mieście po wyjściu z biblioteki. Rozpostarła ją na niskim stoliku do kawy. Wszyscy stoczyli się wokół. Powiodła palcem wzdłuż południowego wybrzeża Hiszpanii.

–Tu. Kilka mil na zachód od Malagi. Trzy lub cztery kilometry w głąb gór.

–W Maladze jest lotnisko? – zapytał Leavey. Tansy przytaknęła.

–Bylam w liniach lotniczych.

–Dobra robota – pochwalil MacFarlane.

–Nie mozemy tam poleciec – sprzeciwil sie MacLean.

–Dlaczego? – zdziwil sie MacFarlane.

–Bo firma zaraz nas namierzy.

–Dopiero co znalezlismy to miejsce, a ty... MacLean przerwal mu.

–Jezeli laboratorium X 14 jest w Mijas, ludzie z Lehman Steiner na pewno obserwuja miejscowe lotnisko dzien i noc.

–Masz racje – zgodzil sie Leavey.

–Poza tym – ciagnal MacLean – Jean-Paul musial im przed smiercia zdradzic, ze zna lokalizacje X 14. Sa pewni, ze ja nam przekazal, nawet jesli przysiegal, ze nie. Prawdopodobnie zastanawiaja sie teraz, dlaczego tak dlugo nic sie nie dzieje. Nie wiedza, ze dopiero dzis wpadlismy na trop.

–Z pewnoscia na nas czekaja – przytaknal Leavey.

–Zaczynam zalowac, ze nic nie wyszlo z Genewy – westchnal MacFarlane.

–Mamy tylko te przewage, ze nie wiedza, kim jestesmy i jak wygladamy.

–I ze nie pokazalismy sie tam wczesniej – dodal Leavey. – Moze mysla, ze jednak Jean-Paul nic nam nie przekazal.

–Wiec co robimy? – zapytal MacFarlane.

–Nie ryzykowalbym lotu do Malagi – powiedzial MacLean. – Trzej mezczyzni, ktorzy nie maja zadnej konkretnej sprawy w Hiszpanii, od razu wzbudza podejrzenia.

–A moze poleciec weekendowym czarterem? – podsunal Leavey.

–To jest jakis pomysl. Krotkie wyjazdy w tamtym kierunku sa bardzo popularne. Ale mimo wszystko, na miejscu naszych przeciwnikow zwrocilbym uwage ma trzech samotnych mezczyzn podrozujacych razem. Lehman Steiner moze miec dostep do list pasazerow.

–A co powiecie na Walencje? – spytal ni stad, ni zowad MacFarlane.

–A co mamy powiedziec? – zdziwil sie Leavey.

–Rangersi graja tam w srode w Pucharze Europy. Po chwili ciszy MacLean wykrzyknal:

–Bomba! To jest to! – Rzucili sie do mapy. Leavey zaznaczyl palcem trase.

–Wynajmiemy tam samochod i pojedziemy na miejsce. MacLean przytaknal, ale zaraz ogarnely go watpliwosci.

–A nie jest za pozno, zeby dostac miejsca w czarterowym samolocie z kibicami?

–Zostawcie to mnie – odparl MacFarlane. Potem z przesadna uprzejmoscia zapytal Tansy, czy pozwoli mu zadzwonic.

Strzepy zdan dochodzace z przedpokoju wskazywaly, ze MacFarlane nie ma latwego zadania. Zalotwienie miejsc w samolocie okazalo sie trudniejsze niz myslal. Tansy, Leavey i MacLean sluchali w napieciu.

–Nie wyglupiaj sie, Rab... Musza sie znalezc... Wiem, ze to wazny mecz i ze jest troche pozno... Sluchaj, Rab! Jesteś mi cos winien, stary... – Zalegla dluga cisza, po czym MacFarlane znow sie odezwal. – Da rade?! Super! Nie zapomne ci tego, Rab... Dobra, podaje szczegoly...

MacFarlane wkroczyl z usmiechem do pokoju.

–Lecimy – oswiadczył. – W srode rano mamy byc na lotnisku w Glasgow. Rab nas wprowadzi.

–Dobra robota, Willie – pochwalil MacLean. Tansy i Leavey przytakneli.

–Teraz trzeba skombinowac sprzet – powiedzial MacFarlane.

–Sprzet?

–No tak. Szaliki, proporczyki, znaczki... Wiecie, barwy klubowe.

–A, tak... – MacLean niepewnie pokiwal glowa. – Barwy klubowe...

Tansy zaslonila dlonia usta, zeby nie parsknac smiechem.

MacLean stal z towarzyszami w hali odlotow portu lotniczego w Glasgow i rozgladal sie. Blogoslawil druzynie Rangersow za jej ostatnie sukcesy. Wyprawa na mecz wyjazdowy byla dla nich doskonala przykrywka. Gineli w tlumie niczym ziarnka piasku na plazy. Pozbyl sie poczatkowych oporow przed wlozeniem szalika i szkockiego beretu z pomponem w barwach klubowych. To przebranie zapewnialo mu anonimowosc, chronilo przed urzednicza dociekliwoscia. Kazdy chcial sie jak najszybciej pozbyc kibicow, ktorym towarzyszyła zla slawa.

Wokół panowała karnawalowa atmosfera, pełna optymizmu i wyczekiwania. Dobry nastrój podgrzewał bezcłowy alkohol i poczucie koleżeńskości wspólnoty. MacFarlane przyniósł z baru trzy duże brandy.

–Trzeba nadrobić zaległości, panowie. Tutaj można się wyluzować, no nie?

MacLean chciał coś odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Wypił bez słowa. Może Willie miał rację; w Hiszpanii nie będzie czasu na relaks. Nie powinien pouczać MacFarlane'a. Razem z Leaveyem ryzykują życiem dla dziecka, którego nie widzieli na oczy.

Dolaczył do nich Rab, kumpel MacFarlane'a. Przyniósł bilety. Był wielkim facetem o szerokich barach i usmiechniętej czerwonej twarzy. Uscisnął dłonie MacLeanowi i Leaveyowi i zapytał, jaki im się udało urwać z pracy.

–My też z platformy – odrzekł Leavey. – Jak Willie.

–Taka robota ma czasem swoje dobre strony – stwierdził olbrzym. – A ja niby chowam tesciową. Już trzeci raz odstawiam ten numer, od kiedy nasi grają w Pucharze! – Wyjął z wewnętrznej kieszeni bilety i dokumenty. – Kto płaci? – zapytał MacFarlane'a.

Willie wskazał MacLeana. Rab stuknął palcem w kartkę przyklejona do okładki z biletami. MacLean odczytał sumę i zapłacił. Olbrzym schował gotówkę i klepnął MacFarlane'a w ramię.

–Muszę wracać do chłopaków.

–Dzięki, Rab – powiedział Willie.

–Nie ma sprawy.

Kibice zaczęli wchodzić do samolotu. Kiedy MacLean mijał uprzejme stewardesy, wyczuł niepokój za ich pogodnymi minami. Jedna widocznie zbyt długo utrzymywała na twarzy sztuczny uśmiech i kąciki jej ust lekko drżały. Przypominała zmęczoną Miss Świata, która na siłę szczerzy zęby do kamer. MacLean pomyślał, że nie muszą stwarzać dobrego nastroju; na pokładzie na pewno go nie brakuje.

Przyciszone tony "Czterech por roku" Vivaldiego ginęły w sporadycznych wybuchach choralnych śpiewów fanatyków klubu. W końcu podchwycił je cały samolot. MacLean zauważył, że mężczyzna po drugiej stronie przejścia między siedzeniami nagle pobił. Rozpoznał objawy leku przed lataniem. Na nieszczęście, koledzy pechowca też się zorientowali i zaczęli mu dokuczać. "Odkryli" kilka pęknięć na skrzydle i trochę dziur w pasie startowym.

Podczas startu w kabinie uciszyło się, ale wrzawa wybuchła na nowo, gdy tylko zgasły napisy ostrzegawcze. Komunikaty kapitana o aktualnej pozycji i szybkości samolotu prowokowały natychmiast dowcipne uwagi. Nad północnym wybrzeżem Hiszpanii w głośnikach zabrzmiał charakterystyczny akcent mieszkańca Glasgow. Sekretarz klubu kibica zamierzał coś ogłosić. Zaczął od dmuchnięcia w mikrofon. Rozległy się burzliwe brawa i okrzyki zachęty. Mówca na bis policzył do trzech.

–Jako sekretarz naszego klubu kibica... – Donosne gwizdy. – ... Czuje się w obowiązku... – Głosne oklaski.

–Postawiłem pięćdziesiąt penów, że będzie "obowiązek"! – zawołał ktoś z tyłu, wzbudzając ogólną wesołość. – ... Przypomnijcie mi, panowie, o odpowiednim zachowaniu w Hiszpanii. W Hiszpanii, jak mówią nasi hiszpańscy przyjaciele. Chciałbym zwłaszcza powtórzyć prośbę naszego prezesa...

Głosne brawa i okrzyki.

–I dwa razy pięćdziesiąt na "obowiązek" i "powtórzenie"! – zawołał mężczyzna z tyłu. ' -... O uprzejmość i szacunek dla hiszpańskiej policji. Głosne gwizdy.

–Klub nie będzie tolerował...

–Potroiles wygrana, Jimmy! – zawołał ktoś z przodu.

–Ten facet to magik! – odkrzyknął głos z tyłu. – ...Takich ekscesów, jak ostatnim razem.

Na lotnisku w Walencji świeciło piękne słońce. Silniki samolotu umilkły i zaczęły trzaskać pokrywy schowków na podręczny bagaż. Ludzie wstawali i rozprostowywali kości.

–Muszę iść do kibla – oświadczył jeden z pasażerów.

–Za późno – odparł kolega.

–Jak to za późno?! – zjeżył się tamten.

–Jak samolot stoi, nie można. Następny złapałby poslizg na pasie. Wszyscy wybuchnęli śmiechem oprócz mężczyzny, który miał problem.

MacLean z ulgą stwierdził, że hiszpańscy urzędnicy chcą się równie szybko pozbyć kibiców jak ich szkocki koledzy. Kontroler paszportowy sprawdzał tylko datę wydania dokumentów podsuwanych mu kolejno pod nos. Mimo wszystko trochę to trwało. Tymczasem w kolejce przybywało chętnych do toalety.

–Jak ten facet sie nie pospieszy, nasikam komus do kieszeni – poskarzyl sie ktos.

–Dobry pomysl – przyznal kolega. – Ja juz nalalem do twojej.

MacLean i Leavey wyszli z budynku terminalu na jasne slonce. Ciepły srodziemnomorski wiatr targal liscmi daktylowcow rosnacych wzdluz wyjazdu z lotniska.

–Jak na razie wszystko gra – powiedzial Leavey. – Co dalej?

–Pojedziemy z innymi do miasta, a potem sie odlaczymy – odparl MacLean. – A gdzie Willie?

Leavey wzruszyl ramionami.

–Pewnie z kims gada.

MacFarlane wylonil sie z budynku. Klocil sie zawziecie o zaslugi kilku pilkarzy, ale gdy zobaczyl swoich towarzyszy, zostawil rozmowcow.

–Przepraszam, chlopaki – usprawiedliwil sie. – Ale tamci mnie porwali.

–Nie ma sprawy – uspokoil go MacLean. – Im bardziej zlewamy sie z tlem, tym lepiej. Chodzmy do autokaru.

Autobusy z nowymi kibicami glosnymi okrzykami powitali ci, ktorzy wczesniej przybyli na glowny plac w centrum Walencji. Wydawalo sie, ze Szkoci w narodowych barwach opanowali cale srodmiescie. Wszedzie bylo widac czerwien, biel i blekit. MacLean, Leavey i MacFarlane wmieszali sie w tłum.

W poblizu zgromadzily sie znaczne sily policyjne, ale na razie czekaly na rozwoj wydarzen. Dzipy i furgonetki staly w bocznych ulicach. Funkcjonariusze w ciemnych okularach spokojnie obserwowali gosci. Przypominali straznikow ze spaghetti westernu, pilnujacych wiezniow skutych wspolnym lancuchem. Wiekszosc sklepow byla zamknieta.

–Sjesta – zauwazyl MacLean.

Przez nastepne dwie godziny nie mogli liczyc na wynajecie samochodu, poszli wiec cos zjesc. Znalezli mala restauracje z ogrodkiem, ktora nie cieszyla sie zbyt wielka popularnoscia wsrod ich rodakow. Usiedli pod parasolem i zamowili tortille i lodowate piwo. W popoludniowym hiszpanskim skwarze czas mijal niemilosierdzie wolno. Przez chwile dyskutowali z wlascicielem o wyniku meczu, ale rozmowa szybko sie urwala z powodu trudnosci jezykowych. Same rzeczowniki i gesty nie wystarczyly.

Po długiej ciszy MacFarlane westchnął:

–Czuje się, jakbym czekał na pociąg.

–Którym do miasta przyjadą bandyci – uzupełnił MacLean.

–Juz otwierają... – Leavey wskazał sklep po drugiej stronie ulicy. Kupiec właśnie odsłaniał witrynę.

–Ruszajmy – powiedział MacLean. Zapłacił i wstał. Właściciel restauracji życzył im milego pobytu bez względu na wynik meczu.

Postanowili oddalić się od srodmiścia, żeby pozbyć się szalików i innych oznak przynależności klubowej. Najpierw szli spacerkiem, ale za pierwszym rogiem znacznie przyspieszyli. Po mniej więcej dwóch kilometrach dogonił ich wóz policyjny. Dwaj mężczyźni w mundurach wysiedli jak na komendę i jednocześnie zatrzasnęli drzwi. Nie wyglądali przyjaźnie.

–Dokąd idziecie? – zapytał jeden.

–Po prostu zwiedzamy – odrzekł spokojnie Leavey.

–Nie ma żadnego zwiedzania. Wracajcie tam... – policjant wskazał centrum miasta.

–Daj spokój, człowieku... – uśmiechnął się MacFarlane. – Przecież nie robimy nic złego.

–Chca żebyśmy wszyscy byli w jednym miejscu, Willie – odezwał się MacLean. – Wtedy łatwiej nas kontrolować.

–Si – przytaknął policjant i uśmiechnął się sztywno. – Jak zwierzęta...

–Zaraz, zaraz, kolego! – natarł na niego MacFarlane.

–Odpusc sobie, Willie – wycedził przez zęby Leavey.

Interwencja Leaveya nie wystarczyła policjantowi. Poczul się obrażony zachowaniem MacFarlane'a, który pochodził coraz bliżej.

–Zawracac! Ale juz! – syknął i wbił Williemu palke w brzuch.

MacFarlane zgął się wpol i osunął na kolana. Leavey delikatnie położył dlon na ramieniu policjanta.

–Spokojnie. Po co te nerwy... Juz idziemy.

Razem z MacLeanem podnieśli MacFarlane'a. Ruszyli z powrotem.

–Zasraniec! – wykrztusił Willie, kiedy złapał oddech.

–Stac! – rozkazał policjant. Usłyszał obraźliwe słowo. Jego kolega szybko powiedział coś po hiszpańsku. Wyglądało na to, że go uspokaja, ale bez skutku. Policjant znowu dzgnął MacFarlane'a pałką. Leavey wtracił się po raz drugi. Unosił ręce w wymownym geście.

–Juz sobie idziemy, nie ma problemu...

–Stac! – powtórzył policjant. – Oprożnić torby.

Leavey zaczął tracić cierpliwość. MacLean w porę go pohamował.

–Wyluzuj, Nick – mruknął pod nosem. – Robmy, co kaze.

Wysypali zawartość toreb na chodnik. Policjant rozgarniał rzeczy czubkiem buta, żeby ich upokorzyć. Jego kolega niepewnie przestępował z nogi na nogę. Nie podobało mu się to, lecz nie mógł nic zrobić.

Leavey szedł, kiedy podeszła celowo zgmiotła jego czysta koszula, ale nie zareagował.

–Co to jest? – policjant wskazał butem jeden z pojemników do sprzętu fotograficznego.

–Teleobiektyw – odrzekł spokojnie Leavey. Potem wymienił szybkie spojrzenie z MacLeanem, z którego można było poznać, że to nieprawda. MacLean przygotował się na najgorsze.

–Otworzyć! – rozkazał policjant.

–Ależ, señor... – zaczął Leavey. – Bardzo proszę... Przepraszamy za wszystkie kłopoty. Wrócimy do naszych kolegów i nie będzie z nami więcej problemów.

–Otworzyć – powtórzył policjant. Wyczuł, że coś jest nie tak.

Leavey z rezygnacją wznosił ramionami i schylił się do pojemnika. Nagle podniósł się i prawym krótkim prostym trafił policjanta w szczękę. Hiszpan zwałił się na chodnik. MacLean spodziewał się tego. Załatwił drugiego, zanim tamten zorientował się, co się dzieje.

MacFarlane złapał się za głowę.

–To już koniec!

–Bierzmy graty i znikajmy stad! – przynaglił MacLean.

Pozbierali rzeczy, wepchneli do toreb, i pobiegli w kierunku srodmiestia, zeby zniknac w tłumie. Po kilku minutach zrozumieli, ze nie zdaza. Z tylu rozleglo sie wycie syreny policyjnej. Przystaneli na skrzyzowaniu i rozejrzeli sie. W poblizu zobaczyli okolo dwudziestu kibicow. Skrecili i dolaczyli do nich. Na moment odetchneli, ale wciaz nie byli bezpieczni. W tak malej grupie trudno sie ukryc.

Wycie syreny narastalo. Po chwili na skrzyzowaniu pojawil sie woz policyjny.

Zatrzymal sie na srodku i syrena stopniowo zamilkla. Leavey zerknal z obawa na MacLeana. Czekali, co bedzie. Zgrzytnal wsteczny bieg, samochod cofnal sie kawalek, po czym wjechal w ich ulice.

Leavey kazal MacFarlane'owi zostac z kibicami. Maly Szkot skinal glowa, mocniej naciagnal beret i szczelniej owinal sie szalikiem.

Leavey szturchnal MacLeana.

–Tam.

Sklep skorzany wydawal sie wystarczajaco ciemny. Wcisneli sie w najdalszy kat i staneli przy paskach do zegarkow.

–Si? – zapytal sprzedawca. MacLean pokazal nadgarstek.

–Chcialbym nowy pasek.

Mezczyzna przyjrzal sie jego rece i zaczal prezentowac towar. Woz policyjny toczyl sie wolno ulica.

–Marokin? – zapytal sprzedawca. Samochod minal wystawe.

–Aligator? – Drzwi radiowozu trzasnely.

–Plastik? – MacLean zobaczyl przez szybe czapki i ciemne okulary.

–Tak. Ten chyba mi sie podoba... – odpowiedzial MacLean.

–Si, senor.

–Moze mi go pan od razu zmienic?

–Si, senor – zgodzil sie bez entuzjazmu sprzedawca.

MacLean uslyszal na zewnatrz zamieszanie. Grzebal sie ze zdjeciem zegarka, jak

mógł najdłużej. Wrzawa narastała, w końcu ucichła. Drzwi samochodu trzasnęły i silnik ożył. Odgłos zaczął się oddalać. MacLean modlił się w duchu, żeby to był wóz policyjny. Sprzedawca przyjął od niego pieniądze z lekkim zdziwieniem. Po co ktoś zmienia doskonały pasek? Ale przez grzeczność nie zapytał. Poza tym, w handlu liczy się zysk. Dobra jest każda peseta, dolar czy rubel; wszystko jedno.

–Muchas gracias, señor.

Leavey i MacLean dołączyli do grupy kibiców. Byli ciekawi, co zaszło. Na szczęście MacFarlane nie odjechał radiowozem, za to wzbudzał teraz ogólne zainteresowanie.

–Straciliście niezłą zabawę, chłopaki – odezwał się ktoś.

–Jak to? Co się działo? – zapytał Leavey.

Pol tuzina mężczyzn zaczęło opowiadać jeden przez drugiego. W końcu MacLean zrozumiał tyle, że policja rozpoznała Williego jako jednego z trzech poszukiwanych, ale inni nie dopuścili do jego aresztowania.

–Dwoch wielkich gliniarzy na jednego małego faceta to nie w porządku!

–Oni tu wroca z kolegami – ostrzegł Leavey.

–A niech wroca! – zawołał jakiś "bohater", który raczej nie dogoniłby autobusu na własnych nogach.

–Lepiej wracajmy na plac do naszych – zasugerował Leavey.

–Pewnie – zgodził się któryś z kibiców. – W kupie bezpieczniej.

–Fakt. Może ktoś w policji ruszy głową, że lepiej sobie odpuścić, niż mieć w mieście rozróbę.

Rozległy się potakujące głosy. Grupa szybko poszła w kierunku placu.

MacLean, Leavey i MacFarlane usiedli na niskim murku otaczającym nieczynną fontannę. Gruba warstwa suchego pyłu wokół postumentu wskazywała, że dawno nie tryskała stąd woda. Ale nie przeszkadzało im to. Na placu czuli się bezpieczni. Setki kibiców w niebieskich szalikach skutecznie odstraszały policję. Wolą się nie zbliżać. Obstawiała tylko wyloty pobliskich ulic, żeby mieć na oku zagranicznych "intruzów" do chwili rozpoczęcia meczu.

–I co dalej? – zapytał Leavey. MacLean wzruszył ramionami.

–Jesteśmy w pułapce.

–Latwiej sie stad urwiemy, jak zaczyna zaganiac nas na stadion – powiedzial Leavey.
– Beda pilnowac trasy, ale nie przyjdzie im do glowy, ze ktos nie idzie na mecz.

–Problem w tym, ze wtedy moze byc za pozno na wynajecie samochodu – odparl MacLean.

–To "pozyczmy" sobie jakis – wtracil sie MacFarlane.

–Mozliwe, ze nie bedzie innego wyjscia – przyznal MacLean. – Ale wolalbym tego uniknac. Gdyby nas zlapali, do pobicia policjantow doszlaby jeszcze kradziez samochodu.

Zapadla cisza. Nagle wzrok MacLeana padl na wielki hotel na wschodnim krancu placu.

–Moglibysmy sprobowac tam – zaproponowal.

Leavey spojrzal na napis "Hotel Plaza" i rzad flag roznych panstw wzdluz budynku.

–Na pewno wynajmuja samochody tylko swoim gosciom.

–Wszystkich nie znaja. Sprobujemy?

Zgodzili sie, ze to jedyna szansa i zaczeli ukladac plan. W odpowiedniej chwili pozbeda sie barw klubowych i przestana byc kibicami. Leavey wejdzie do hotelu i usiadzie w holu. Po kilku minutach zjawi sie MacLean z MacFarlanem. Leavey ich przywita, jakby na nich czekal. Potem wszyscy przejda powoli w prawo. Usytuowanie drzwi wskazywalo, ze jest to mozliwe. Beda udawac zatopionych w rozmowie i rozejrza sie dyskretnie. Kiedy znikna z oczu recepcjonistom, podsumuja obserwacje.

Leavey sciagnal beret i szalik i podal MacLeanowi, ktory wepchnal je do szerokiej szczeliny w murku fontanny. Leavey wstal, zeby odejsc, ale MacLean nagle go powstrzymal.

–Zaczekaj!

W uliczce obok hotelu pojawil sie policyjny dzip. Zaparkowal zbyt blisko glownego wejscia. Gdyby siedzieli w nim pobici policjanci, rozpoznaliby napastnika. Leavey zaklal pod nosem.

Po krotkim postoju dzip zawrocil i odjechal. Widocznie policyjnej zalodze znudzila sie beczynnosc.

–Ide – oswiadczył Leavey. Przecial plac i zniknal w drzwiach hotelu. Po szesciu minutach MacLean i MacFarlane dolaczyli do niego. Plan sie powiodl. Przystaneli

przy ostatnim ze sklepów hotelowych. Udawali, że oglądają figurki Lladro na wystawie.

–Nikt nie zwrócił na nas uwagi – powiedział MacFarlane. MacLean skinął głową.

–W porządku. A co widzieliśmy?

–Windy i koktajlbar są na lewo od wejścia – odrzekł Leavey.

–A na początku tego pasażu handlowego stanowiska dwóch biur podróży i wypożyczalnia samochodów Herza – uzupełnił MacLean.

–Ale nikt tam nie urzęduje – zauważył Leavey.

–W jednym z biur turystycznych była obsługa. W dodatku to angielska agencja.

–Sunkist Tours – dodał MacFarlane.

–Warto spróbować – powiedział Leavey. – Ty czy ja? MacLean zastanowił się szybko.

–Ja. Idźcie powoli za mną i rozmawiajcie.

Wzjął głęboki oddech i ruszył zdecydowanym krokiem z powrotem w stronę Sunkist Tours.

–O, jest nasza dziewczyna! – zawołał, gdy podchodził do lady.

–Czym mogę służyć? – zapytała młoda kobieta w czerwonym mundurku. MacLean dostrzegł jej imię na identyfikatorze.

–Posłuchaj, Vero... – zaczął poufałe. – Chcemy wyskoczyć do Alicante do kasyna. Problem w tym, że nie mamy czym, a Herz jest zamknięty. Mogłabys nam pomóc wynająć samochód?

–Proszę bardzo – odrzekła dziewczyna. Wzięła ich za gości hotelowych i przeprosiła, że nie pamięta nazwisk. Ale nie sposób zapamiętać wszystkich, prawda?
– Może być za pół godziny?

–Doskonale! – ucieszył się MacLean.

–Mały wóz czy duży?

–Najlepiej średni – rozesmiał się MacLean, grając dalej hałasliwego biznesmena na krótkim urlopie.

–Seat ibiza?

–Wspaniale!

–Bedzie mi pan musial przypomniec numer pokoju – powiedziala Vera. Nadszedl moment, ktorego MacLean sie obawial. Zignorowal prosbe, udajac, ze przysluchuje sie dyskusji stojacych z tylu kolegow.

–Zaczekamy w barze, Vero.

–Potrzebny mi numer panskiego pokoju – powtorzyla dziewczyna. – Do rachunku.

MacLean odetchnal z ulga. Machnal reka.

–Zaplace gotowka – odparl. Nachylil sie nad lada i wyjasnil konspiracyjnym szeptem:

–Firma zafundowala nam troche rozpusty dla odpoczynku, ale ksiegowy chyba nie bylby zachwycony, ze rozbijamy sie samochodami po kasynach, jak sadzisz?

–W porzadku. Jak pan sobie zyczy – zgodzila sie poslusznie Vera.

W barze MacLean jednym haustem wypil brandy. Towarzysze pogratulowali mu sukcesu.

–Zasluzyles na Oscara – powiedzial MacFarlane.

–Raczej na wynajety samochod – odparl MacLean.

–Gdzie sie nauczyles takich aktorskich gadek? – zapytal Leavey.

–Swego czasu znalazem wielu lekarzy, ktorzy lubili sie zabawic.

15

Punktualnie o szostej po poludniu przed glowne wejscie do hotelu podstawiono niebieskiego seata. Vera dopelnila formalnosci z MacLeanem i odprowadzila cala trojke do drzwi. Nie omieszkala przypomniec, ze w sobote biuro Sunkist organizuje barbecue.

–Bedziemy na sto procent – obiecal MacLean z szerokim usmiechem i wzial od niej kluczyki.

–Zycze szczescia w kasynie.

–Dzięki.

MacLean celowo przepuścił nadjeżdżający samochód, żeby torował mu drogę. Ruszył za nim przez klebiący się tłum kibiców i wyjechał z placu. Kiedy na zwezeniu jezdni powoli mijal stojący radiowóz, wstrzymał oddech. Leavey i MacFarlane schowali się poniżej linii okien, ale policjanci nie zwrócili uwagi na seata.

–Nareszcie... – odetchnął MacLean i wcisnął gaz. – Wyrwalismy się. – Po kilku chwilach zobaczyli pierwszy drogowskaz i pojechali w kierunku autostrady numer siedem. Dziesięć minut później wydostali się z miasta i skierowali na południe Trasa Sroziemnomorska. W radosnym podnieceniu pokonywali kolejne kilometry. Udało się!

Po pewnym czasie euforia ustąpiła miejsca cichej refleksji. O mały włos potkneliby się na pierwszej przeszkodzie.

–Swoja droga, mieliśmy kupe szczęścia – odezwał się Leavey. Nikt nie zaprzeczył.

Było już ciemno, gdy w oddali zobaczyli światła Alicante. MacLean spojrzal na wskaźnik paliwa. Jeszcze nie musieli tankować. Zapytał, czy ktoś chce się zatrzymać z innego powodu. Cisza świadczyła, że nie.

–Trzeba podjąć decyzję – powiedział. – Tutaj autostrada się kończy. Możemy dalej jechać Trasa Sroziemnomorska wokół wybrzeża albo skrócić w stronę Sierra Nevada. Byłoby bliżej, ale pewnie trudniej. Co wy na to?

Leavey wolał zostać na nadmorskiej szosie. MacFarlane go poparł. W razie jakichś problemów łatwiej sobie poradzić na ruchliwym szlaku niż na zasnierzonych górskich przełęczach.

–Złatwione – zgodził się MacLean.

W Murcji wzięli paliwo i wstąpili do małej restauracji. MacFarlane odchylił się do tyłu, żeby kelner mógł postawić na stole porcję łapas.

–Ile przejechalismy? – zapytał.

–Okolo trzystu kilometrów – odrzekł MacLean, biorąc czarna oliwkę. – Zostało czterysta pięćdziesiąt.

Leavey wrócił z toalety. Zamówili Solomillo i butelkę czerwonego rioja. Po pierwszym kieliszku Leavey zrezygnował z wina. Powiedział, że teraz on będzie prowadził samochód. MacLean nie protestował; popołudniowe wydarzenia i godziny spędzone za kierownicą dały mu się we znaki. Postanowił się zdrzemnąć w drodze.

Ponownie zatrzymali się w Almerii na wschodnim krancu Costa del Sol. Po wyjeździe z Murcji oddalili się od wybrzeża, ale teraz trasa znowu biegła wzdłuż Morza Śródziemnego. Znaleźli całodobowy bar i usiedli na werandzie. Noc była piękna. W milczeniu saczyli zimne piwo i patrzyli na wodę. MacLean słuchał plusku fal rozbijających się o skały. Spojrzał na księżyc i pomyślał o Tansy. Po trudnym początku dalsza część ich misji przebiegała gładko. Odprezył się trochę.

Zerknął na zegarek. Zaproponował, żeby jeszcze odpoczęli. Nie musieli wjeżdżać do Malagi przed świtem. On i MacFarlane wzięli następne piwo, Leavey kawę; nadal pełnił obowiązki kierowcy.

Słońce już świeciło pełnym blaskiem, kiedy zaparkowali w Maladze niedaleko portu. MacLean nie chciał bezlitośnie wykorzystywać przyjaciół; zasugerował kąpiel i kilka godzin snu w hotelu. Odparli, że nie są zmęczeni, więc szkoda czasu. Lepiej zjeść śniadanie i kupić mapy okolicy.

Ku swemu zaskoczeniu, wśród przewodników po Andaluzji MacLean natknął się na folder reklamujący Mijas. Wziął go do ręki z dziwnym poczuciem winy. Nazwa tej miejscowości stała się dla niego symbolem ponurej tajemnicy. Próba jej wyjaśnienia kosztowała życie Jean-Paula i Ewy. Firma Lehman Steiner likwidowała każdego, kto mogłby ujawnić jej sekret, a tymczasem tutaj zachęca się turystów do odwiedzania tego miejsca. Co za okrutna ironia losu.

MacLean kupił folder i dwie mapy. Wyobrażał sobie, że jest teraz śledzony przez tysiąc niewidzialnych oczu. W drodze do samochodu ogarnęły go wątpliwości. Czyba nie ma na świecie drugiej miejscowości o nazwie brzmiącej jak May Haas? Wszyscy trzej byli tak podekscytowani odkryciem Tansy, że nawet nie wzięli tego pod uwagę.

W porcie oparł się o mur i przeczytał folder. Westchnął i pokręcił głową.

–Cos nie tak? – zapytał Leavey.

–Mijas to tylko atrakcja turystyczna, nic więcej. Malownicze andaluzyjskie miasteczko wśród gór. Białe domki z geranium w oknach, osły w wąskich zaułkach, dźwięki gitar... Są tam bary i kafejki, ale o laboratoriach badawczych firmy farmaceutycznej zapomnij.

–Może ulokowali je poza rejonem turystycznym? – podsunął Leavey.

–To wysoko w górach – przypomniał MacLean. – Nie da się tam ukryć takiego obiektu.

Wsiadli do seata i pojechali poszukać dworca autobusowego. Uznali, że podróż do Mijas samochodem byłaby ryzykowna. Leavey przekonywał MacLeana, że Tansy nie mogła się mylić i na pewno są na właściwym tropie. Muszą teraz postępować

rozważnie.

Na zatłoczonym dworcu autobusowym nie zauwazyli młodych turystów. Podczas wakacji letnich byłoby ich pełno, ale teraz roilo się tu od starszych ludzi z północy Europy, którzy szukali ucieczki przed zimą. Byli opaleni i usmiechnięci; słońce pomagało im na artretyzm. MacLean przypomniał sobie zupełnie inne twarze w kolejce na pocztę w Edynburgu.

MacFarlane stanął w ogonku po bilety, ale Leavey wpadł na lepszy pomysł. Agencja nieruchomości prowadziła właśnie promocyjną sprzedaż willi w Mijas i organizowała zwiedzanie nowego osiedla. Autokar odjeżdżał za dziesięć minut i były jeszcze trzy wolne miejsca. Program przewidywał prezentacje domów, a potem samodzielny spacer po Mijas, żeby "odetchnąć atmosferą okolicy". MacLean przyznał, że to całkiem bezpieczny sposób odwiedzenia miasteczka. W grupie zachowują anonimowość.

Autobus pisał się na niskim biegu kreta droga prowadząca w góry Sierra de Mijas. Osiedle znajdowało się na skraju miasteczka. Rozciągał się stąd wspaniały widok na kurort Fuengirola nad brzegiem Morza Śródziemnego. Przewodniczka zapewniała, że można nawet dojrzec północne wybrzeże Afryki. MacLean lekko drżał z zimna i czekał cierpliwie na koniec zwiedzania. Na dole panowało przyjemne ciepło, ale w górach temperatura była dużo niższa.

Dwadzieścia osób z materiałami reklamowymi pod pachą wybrało się na przechadzkę po Mijas. Mieli godzinę do odjazdu autokaru do Malagi. MacLean uzgodnił wcześniej z towarzyszami, że się rozdziela a potem spotkają przy malej arenie do walki byków na zachodnim krancu miasteczka.

MacLean musiał przyznać, że Mijas istotnie jest piękne. Ale im więcej widział, tym większe ogarniało go zwątpienie. Niemożliwe, żeby w tych andaluzyjskich uliczkach i zaułkach kryło się laboratorium z budżetem osiemnastu milionów dolarów. Kwadrans przed spotkaniem przy arenie wstąpił do kawiarenki z ogrodkiem. Zamówił kawę i koniak. Był przygnębiony.

MacLean nawet nie musiał pytać; miny Leaveya i MacFarlane'a mówiły same za siebie.

–Nic – powiedział Leavey.

–Nic – powtórzył jak echo MacFarlane.

–Nic – przyznał MacLean. – To nie może być właściwe miejsce. Gdyby było tu jakieś laboratorium, od razu rzucaloby się w oczy.

–Jeśli w ogóle ktoś dostałby zgodę, żeby je tu zbudować – dodał Leavey. MacLean

cisnal kamyk w piasek areny.

–Kompletna kłapa.

–A może coś przeoczyliśmy? – podsunal bez przekonania MacFarlane.

–Trop wydawał się dobry – westchnął zawiedziony Leavey. – Wszystko pasowało.

Okrzykli mur okalający miasteczko od południowego zachodu. Nizsze partie zboczy Sierry porastały gaje oliwne, dalej rozciągało się morze. MacLean nie był w nastroju do podziwiania widoków. Nie mógł się pogodzić z przegraną. Czas uciekał, Carrie czekała na lek, a oni cofnęli się do punktu wyjścia. Pozostała im tylko podróż do Genewy.

–Wiesz, dlaczego drzewa oliwne mają rozszczepione pnie? – zapytał cicho Leavey.

MacLean pokręcił głową.

–Arabowie mówią, że kiedy umarł Mahomet, z rozpaczy pękły im serca. MacLean uśmiechnął się w zamyśleniu. Spróbował się wczuć w rolę drzewa.

–Morze wygląda zachęcająco – zauważył MacFarlane. MacLean popatrzył na towarzyszy.

–Wiec chodźmy się wykapać. Przyda się nam relaks. Potem coś zjemy, wypijemy i zastanowimy się nad sytuacją. Co wy na to?

–Dobry pomysł – przyznał Leavey. MacFarlane też się zgodził.

Ruszyli pieszo w dół do Fuengirolí. Ich autokar do Malagi już odjechał, a regularny autobus odchodził dopiero za pół godziny. Poza tym ostatnio brakowało im ruchu. Po długiej podróży z Walencji bolały ich mięśnie od drzemania w samochodzie.

Początkowo przyjemnie było rozprostować nogi, ale po pewnym czasie schodzenie stromym zboczem dało się im we znaki. Poczuli to w kolanach i kostkach. Przystanęli w cieniu pod białym, wysokim murem jakiejś posesji. Polkolisty napis nad żelazną bramą głosił, że to "Hacienda Yunque". Zajrzeli przez sztachety do środka.

W odległości około dwustu metrów stał imponujący budynek wcisnięty w skalną ścianę. Przed nim ciągnął się sad pomarańczowo-cytrynowy. Nic nie wskazywało, jaki charakter ma posiadłość i do kogo należy.

Usiedli w chłodzie, oparli się plecami o mur i odpoczywali. Nad wysokimi górami błyszczało oslepiające słońce. Kiedy ból w nogach minal, wstali i poszli dalej. Wędrowka do Fuengirolí zabrała im ponad dwie godziny.

Doszli bocznymi uliczkami do szerokiej esplanady Paseo Maritimo. Spacerowicze przypominali tych z dworca autobusowego w Maladze. Tłumy starszych ludzi z Polnocy przechadzały się w swetrach i wełnianych kamizelkach, jakby w obawie przed nagłym ochłodzeniem.

–Troche tu jak w Brighton – zauważył Leavey.

–Raczej zupełnie jak w Brighton – poprawił go MacLean.

Morze nie nagrzało się jeszcze po zimie, ale nie narzekali. Po długim marszu w dół z przyjemnością ochłodzili ciała i zmyli z siebie pot. Kiedy wycierali się do sucha, poczuli głód.

Nadmorskie kawiarnie i restauracje były przepelnione, ale w jednej z bocznych uliczek natrafili na lokal "U Jose". Właściciel dopiero otwierał drzwi po popołudniowej sjeście i powitał ich jako pierwszych klientów.

Jose okazał się bardzo sympatyczny. Kiedy dowiedział się, że są Szkotami, rozpoczął dyskusję o wczorajszym meczu. Szybko odkrył w MacFarlanie pokrewną duszę. Willie zaproponował mu drinka, na co chemie przystał. Mecz zakończył się remisem, więc rozmowa przebiegała spokojnie. MacFarlane siedział przy barze i gawędził z Jose, a MacLean i Leavey zostali przy stoliku. Piłka nożna niezbyt ich interesowała.

–Jaki masz plan? – zapytał Leavey.

–Zjemy, wypijemy, a potem złapiemy taksówkę i pojedziemy po samochód.

–Nie o to mi chodziło – wyjaśnił cicho Leavey.

MacLean skinął głową.

–Rozumiem... Trzeba polecieć do Genewy i znaleźć Von Joneka w kartotekach firmy.

–W porządku. MacLean uśmiechnął się.

–Nic cię nie potrafi zalać?

–Nie dopuszczam do tego – odrzekł Leavey.

–Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o sobie – westchnął MacLean. – Dzisiaj jestem tak cholernie zawiedziony, że...

–Nie upadaj na duchu – przerwał mu Leavey. – Zdobędziemy ten srodek dla Carrie. W ten czy inny sposób.

MacLean popatrzył na niego.

–Dzięki, Nick.

Obok drzwi restauracji przetoczył się piękny biały mercedes coupe. Za kierownicą siedziała równie piękna blondynka. Uliczka była wąska, więc samochód jechał wolno. Silnik pracował niemal bezszelestnie. Wszystkie rozmowy w lokalu na moment ucichły.

–Klasa! – cmoknął MacFarlane.

–Jest z "Hacjendy Yunque" – wyjaśnił Jose.

MacLean przypomniał sobie posiadłość, którą widzieli schodząc z gór.

–To właścicielka? – zapytał.

–Nie, señor. Zatrzymała się tam – odrzekł Jose.

–Więc to hotel?

Mina Jose wskazywała, że nie. Ale nie mógł znaleźć właściwego słowa.

–Cos dla zdrowia... – powiedział w końcu. Wie pan...

–Sanatorium? – podsunął MacLean.

Jose wykonał nieokreślone gesty oznaczające "i tak, i nie".

–Cos dla bogatych dam, które chcą wyglądać lepiej, niż życzy sobie Bóg. Opis wywołał ogólną wesołość, ale MacLeanowi zjeżyły się włosy na karku. Wymienił spojrzenia z Leaveyem. Obaj pojęli znaczenie słów Jose.

–Więc to bardziej klinika, tak? – zasugerował.

–Si! – wykrzyknął Jose i unosił ręce z wyrazem przesadnej ulgi na twarzy. – Klinika! "Hacjenda Yunque" to klinika.

–Jezu Chryste! – mruknął pod nosem Leavey.

MacLean czuł, jak skoczyło mu tętno. Musiał się opanować i spokojnie zadawać pytania. Więc jednak Tansy miała rację? Znaleźli tutaj to, czego szukają? Czyba los nie jest aż tak złośliwy, żeby okazało się, że "Hacjenda Yunque" w Mijas to tylko zwykła klinika wykonująca niewinne zabiegi kosmetyczne?

–To piękna posiadłość – powiedział.

–Dla wielu nie była taka piękna od środka, señor – odparł Jose.

–Nie rozumiem...

–W czasach Franco należała do rządu. Używała jej policja polityczna. Przywozili tam ludzi na przesłuchania. Niektórych nikt więcej nie widział.

–Wiadomo, co się z nimi stało? – zapytał MacLean.

Jose pokręcił głową.

–Prawda nigdy nie wyszła na jaw. Zaraz po śmierci Franco przyjechali ludzie z zagranicy i zamienili budynek na klinikę. Moja córka Maria pracowała tam trochę po otwarciu. Ale bała się i szybko uciekła.

–Bała się? – zdziwił się MacLean. – Czego?

–Wierzy pan w duchy, señor?

–Nie.

–Ja też nie – przyznał Jose. – Ale dużo ludzi mówi, że w nocy słychać tam krzyki torturowanych więźniów z tamtych lat. Moja córka też słyszała i ja jej wierze.

MacLean wskazał ładną, ciemnowłosą dziewczynę w drzwiach kuchni na zapleczu.

–To Maria?

–Si – przytaknął Jose i zawołał ją. Weszła za bar. Oparła rękę na ramieniu ojca, a on objął ją w pol. – Rozmawiamy o "Hacjendzie Yunque", Mario. Powiedziałem señorom, że kiedyś tam pracowałaś.

–Krotko – odrzekła Maria.

Jej akcent i wymowa zaskoczyły MacLeana. Nie spodziewał się tego u rodowitej Hiszpanki. Zwłaszcza u miejscowej dziewczyny pomagającej w kuchni.

–Jesteś studentka, Mario? – zapytał.

–Tak, señor. A dlaczego?

–Doskonale mówisz po angielsku.

–Dziękuję.

–Co studiujesz? Dziewczyna uśmiechnęła się. – Anglistykę.

Wszyscy wybuchneli smiechem. MacLean poprosil Marie, zeby opowiedziala o duchach. Usiadla przy stoliku. MacFarlane zostal przy barze i dalej rozprawial z Jose o pilce noznej.

–Interesuje pana "Hacjenda", senor"? – spytala Maria. Spojrzzenie jej ciemnych oczu mowilo, iz doskonale wie, ze tak, tylko na razie nie ma pojecia, dlaczego.

–W pewnym stopniu – odparl MacLean.

–Pracowalam tam zaledwie kilka tygodni podczas wakacji. Ale to wystarczylo, zebym sie wystraszyta.

–Tych nocnych odglosow?

–Nie tylko. Choc slyszalam je, przysiegam.

–Wiec czego?

–To miejsce jest jakies dziwne. Ludzie tam znikaja.

–Znikaja? – zdziwil sie MacLean.

Maria przytaknela.

–Co najmniej szesc miejscowych dziewczat poszlo tam pracowac i zniknely.

–Ale chyba policja...

–Nie rozumie pan. One nie zaginely, tylko zniknely.

MacLean zerknal na Leaveya. Obaj nie pojowali, o co chodzi.

–Dostaly posady w klinice, a potem nagle zdecydowaly sie wyjechac i szukac pracy w innych czesciach Hiszpanii. Przyszly od nich pocztowki, ze wszystko w porzadku, ale zadna nie przyslala listu ze swoim nowym adresem.

–Mlodzi ludzie czesto tak robia – stwierdzil MacLean. – Moze w klinice zobaczyly bogate pacjentki i tez chcialy sprobować lepszego zycia. To sie zdarza.

Maria energicznie pokrecila glowa.

–Carla Vasquez nigdy by tak nie zrobila! To moja najlepsza przyjaciolka. Znamy sie od dziecka. Razem chodzilyśmy do szkoły i wszystko sobie mowilyśmy. Nie wyjechalaby bez slowa. Przyslalaby chociaz list.

–I nic o niej nie slyszalas?

–Nie. Jej matka dostała dwie pocztówki. Carla napisała, że ma się dobrze i jest bardzo zadowolona. Ale ja w to nie wierzę. Stało się coś złego. Jestem tego pewna.

–Skąd przyszły te pocztówki?

–Z Madrytu.

–To wielkie miasto – przyznał MacLean.

–Si. I daleko stąd.

MacLean zapytał o pacjentki kliniki.

–Przyjeżdżają głównie z północy Europy – wyjaśniła Maria. – Z Niemiec, Holandii, Skandynawii, Anglii. Wiele z nich to arystokratki.

–Wiesz, dlaczego tu przyjeżdżają?

–Bo "Hacjenda Yunque" ma opinie najlepszej kliniki. Wszystko jest tam na najwyższym poziomie. Nawet najbardziej wymagające kobiety są zadowolone.

–Jakie zabiegi tam wykonują?

–Och... To, co zwykle – Maria położyła dłonie na swoich małych piersiach i podciągnęła je do góry. Potem ścisnęła prawe udo, jakby było większe, niż w rzeczywistości. – Likwidują bryczesy do jazdy konnej.

MacLean uśmieł się z tego określenia.

–A twarze? – zapytał z napięciem.

–O, tak! Mnóstwo. Poprawiają wszystko. Nosy, podbrodki, oczy. Tamtejsi chirurdzy są bardzo dobrzy. Nigdy nie zostają blizny. Nikt nie pozna, że taka kobieta miała operacje.

MacLean przelknął z trudem. Nie zostają blizny... Czy to możliwe, żeby używali cytogermy, nie zważając na ryzyko? Wolal o tym nie myśleć.

–Dlaczego tak pana interesuje klinika, señor?

–Bo podobnie jak ty uważam, że dzieje się tam coś niedobrego. To zbyt długa historia, by ją teraz opowiadać, ale przyjechalismy tu we trzech, żeby dowiedzieć się prawdy. Być może będziemy potrzebowali twojej pomocy, Mario. Co ty na to?

Dziewczyna nawet się nie zawahała.

–Zrobie wszystko, zeby sie dowiedziec, co sie stalo z moja najlepsza przyjaciolka.

–Jose! – zawolal MacLean. – Kolejka dla wszystkich.

Jose przerwal rozmowe o pilce i zajal sie nalewaniem. Maria mu pomogla. MacFarlane podszedl do stolika i zapytal, co swietuja.

–Chyba znalezlismy to, czego szukalismy, Willie – odpowiedzial MacLean.

–Wiec to jednak tutaj?! – ozywil sie MacFarlane.

–Na to wyglada – odparl Leavey. – Z tego, co mowila Maria, wynika, ze siedzielismy tam dzisiaj pod murem.

–To ta "Hacjenda"...?

–"Hacjenda Yunque".

Plan ulegl zmianie. Zrezygnowali z powrotu do Malagi i postanowili zostac w Fuengirola. MacLean zapytal Marie o mozliwosc wynajecia kwatery. Powiedziala, ze nie powinno byc problemu; jeszcze nie sezon. Wiekszosc blokow wzdluz morza wybudowano z mysla o wynajmowaniu mieszkani. MacLean wolal to zalatwic bardziej dyskretnie. Poznal po oczach Marii, ze domysla sie, o co mu chodzi.

Szybko zagadala do Jose po hiszpansku. Z odpowiedzi MacLean wylowil slowo "Perla". Widzial je na jednym z budynkow przy Paseo Maritimo. Maria wyjasnila, ze przyjaciel ojca ma tam mieszkanie. Zaraz do niego zadzwonia.

Dwadziescia minut pozniej MacLean, Leavey i MacFarlane podziekowali nowym hiszpanskim przyjaciolom i wsiedli do taksowki. Umowili sie z Jose i Maria na rano. Na razie pojechali na Paseo Maritimo.

O drugiej nad ranem siedzieli jeszcze na balkonie swojej kwatery i cicho rozmawiali. Powietrze bylo cieple, choc wilgotne. Na pogodnym nocnym niebie swiecil jasny ksiezyc. W dole polyskiwalo morze. Lagodne fale uderzaly o brzeg. Leavey zgasil swiatlo, zeby nie przeszkadzaly im owady.

–Moze jednak powinnismy byli wrocic po naszego seata? – zapytal MacLean.

–Bez obaw – uspokoil go Leavey. – Uznaja go za porzucony. Tak sie ciagle dzieje z wynajetymi samochodami. Nie uszkodzilismy go, wiec nie ma problemu. Policji ta sprawa nie zainteresuje.

MacLean odetchnal. Zazdroscil Leaveyowi zdolnosci analizowania sytuacji i wyciagania optymistycznych wnioskow. Sam mial typowo szkockie przeswiadczenie,

ze kazde zaniebanie musi doprowadzic do katastrofy.

MacFarlane przeciagnal sie i ziewnal.

–Chyba pojde spac.

–Ja tez – powiedzial Leavey. Podniosl sie i skrzywil, gdy jego krzeselko glosno zazgrzytalo na kafelkach balkonu.

–Ciszej! – upomnial go MacFarlane. – Chcesz, zeby sasiedzi sie zlecieli?

MacLean zostal sam. Byl zmeczony, ale w glowie klebilo mu sie od pytan.

Gdyby sie polozyl, nie moglby zasnac. Wstal, oparl sie o porecz i zapatrzył na lodzie rybackie na plazy. Znalezienie odpowiedzi na poszczegolne pytania nie sprawialo mu klopotu; problem stanowilo zlozenie wszystkiego w calosc.

Jesli Von Jonek uzywal cytogermu i mial bogate, wplywowe pacjentki, musial znalezc sposob na wyeliminowanie ryzyka wywoływania raka przez specyfik. Ale skoro tak, po co trzymac to w tajemnicy? I po co wykorzystywac to osiagniecie do prostych zabiegow kosmetycznych? Tak, z pewnoscia znalazl sposob. Nie moglby uzywac cytogermu przy dziesiecioprocentowym wskaźniku smiertelnosci. Do diabla, oczywiscie, ze nie! Arystokracja europejska nie tolerowala takiego wskaźnika zgonow od czasu Rewolucji Francuskiej! To niedorzeczność, nawet nie warto brac tego pod uwage. Istniala trzecia mozliwosc, ktorej MacLean tez nie chcial brac pod uwage: ze Von Jonek wcale nie uzywa cytogermu.

O trzeciej MacLean sie poddal; zmeczenie zwyciezilo. Zdawalo mu sie, ze strasznie dawno nie spal w normalnym lozku. Zastanawiajac sie nad tym, wszedl do pokoju.

Wstali dopiero po jedenastej. MacLean byl zadowolony, ze dobrze wypoczel. Nalezalo im sie, a dzis nie musieli sie spieszyc. Mieli jeszcze sporo pytan do Marii, zanim zaczyna dzialac. Przyszli do lokalu Jose w porze lunchu. Piekna pogoda zachecala do jedzenia na powietrzu, ale ostroznosc nakazywala wejsc do srodka. Usiedli w chlodnym wnetrzu wylozonym bialymi kafelkami.

Ledwo zaczeli rozmowe z Maria, w ogrodku zjawili sie klienci. Przeprosila z usmiechem i poszla ich obsluzyc. MacLeanowi spodobalo sie, ze nie okazala irytacji i nie potraktowala tamtych gosci jak intruzow. W duchu pogratulowal Jose corki.

Im wiecej MacLean dowiadywal sie o "Hacjendzie Yunque", tym bardziej byl zbity z tropu. Wedlug Marii, klinika nie miala prawie zadnych zabezpieczen, nie mowiac juz o uzbrojonej ochronie.

–A po co? – zdziwila sie dziewczyna.

–Masz racje – przyznał MacLean, choć nie mógł w to uwierzyć. Wyobraził sobie, że laboratorium X 14 to silnie strzeżony obiekt otoczony drutem kolczastym. Chyba że to naprawdę zwykła klinika kosmetyczna.

Leavey zapytał, czy "Hacjenda" korzysta z usług miejscowych dostawców. MacLean w lot pojął, do czego zmierza: szukał najlepszego sposobu dostania się do środka.

–Nie – odpowiedziała Maria.

–Zupełnie nie?! – wykrzyknął MacFarlane.

–Wszystko dostarczają z Polnocy – wyjaśniła dziewczyna. – Nasze produkty nie są wystarczająco dobre dla wysoko urodzonych pacjentek.

MacLean zapytał, co z miejscowymi rzemieślnikami: elektrykami, hydraulikami i innymi.

–Nie są potrzebni – odparła Maria. – Klinika ma własny personel techniczny.

–A jednak zatrudniają kogoś stąd – upierał się Leavey.

Maria zrozumiała, że chodzi o nią i "znikające" dziewczęta.

–Tak, osoby do sprzątania i gotowania – przyznała. – Autobus zabiera je rano i odwozi z powrotem po południu.

–Same kobiety? – upewnił się MacLean.

Przytaknęła.

MacLean westchnął i spojrzał na Leaveya.

–Nie mamy wielkich szans, żeby wśliznąć się tam niepostrzeżenie – powiedział Leavey.

MacLean przeniósł wzrok na Marie.

–A co z personelem pielęgniarским i medycznym?

Pokreśliła głową.

–Ani jednej osoby z Hiszpanii. Dyrektor, przełożona pielęgniarek i gospodyni to Niemcy. Reszta pochodzi z innych krajów północnej Europy.

–Dyrektor to doktor Von Jonek, prawda? – strzelił MacLean.

–Nie, señor. Nazywa się Schmidt.

MacLeana ogarnęła rezygnację. Potem pomyślał, że przecież Von Jonek mógł zmienić nazwisko. Podał Marii jego rysopis. Rozłożyła ręce.

–Nigdy nie widziałam tam nikogo podobnego.

MacLean poczul, ze traci grunt pod nogami, skoro Maria nawet nie slyszala o Von Joneku. Wiec jednak sa na falszywym tropie. Wpadl w przygnebienie. Wyciagnal pochopne wnioski na podstawie dowodu posredniego. Dowiedzial sie od Marii, ze pacjentki po operacjach nie maja zadnych blizn i uznal, ze to zasluga cytogerma. Gdyby sie przez moment zastanowil, przypomniałby sobie, ze istotna czescia chirurgicznego zabiegu kosmetycznego jest umiejjetne maskowanie blizn pooperacyjnych. Przedtem zajmowal sie zupełnie innym rodzajem chirurgii. Specjalisci z "Hacjendy" nie mieli do czynienia ze zniszczona tkanka. Ich pacjentki mogly dobrze wygladac nawet po zabiegach bez uzycia cytogerma.

Maria zauwazyla, ze cos go gryzie. Wyjasnil jej, ze byc moze "Hacjenda Yunque" nie jest tym miejscem, ktorego szukaja.

–A Carla i inne?! – zaprotestowala. – Tam sie dzieje cos zlego. Jestem tego pewna. – Nie potrafila ukryc rozczarowania. Towarzysze MacLeana tez nie mieli ochoty rezygnowac.

–Skoro znalezlismy w Mijas klinike chirurgii plastycznej – powiedzial Leavey – to musi istniec jakis zwiazek miedzy nia i projektem X 14. Nie wierze, ze to czysty przypadek.

–Ale gdzie jest Von Jonek? – zapytal MacLean.

–Dlaczego to takie wazne? – chciala wiedziec Maria.

MacLean zdecydowal sie zdradzic jej troche wiecej. Wytlumaczył, ze przed kilkoma laty Von Jonek wykradl mu w Genewie pewien zwiazek chemiczny. Maria skinela glową.

–Rozumiem... Na pewno wart mnostwo pieniedzy?

–Wart o wiele wiecej niz pieniadze – odrzekl MacLean, nie wdajac sie w szczegoly.

Zapadla cisza. Nagle Leavey zapytal:

–Co znaczy slowo "Yunque" w nazwie kliniki, Mario?

Zastanawiala sie przez chwile, nie mogac znalezc angielskiego slowa.

W koncu pokazala na migi, ze uderza w cos mlotkiem. MacLean poczul, ze robi mu sie goraco.

–Kowadlo! – wykrzyknal.

–Tak, senor? – ucieszyła się.

Leavey uśmiechnął się pod nosem. MacFarlane spojrział na niego.

–Miałeś rację. To nie przypadek.

–Na pewno nie – zgodził się MacLean. – Der Amboss i "Hacjenda Yunque" muszą być ze sobą powiązane! Jesteśmy w domu!

Maria była zdziwiona, że nazwa kliniki wywołała takie podniecenie, ale uznała to za dobry znak. Wstąpiła w nią nowa nadzieja na odnalezienie przyjaciółki.

–Cos sobie przypomniałam – powiedziała. – Jest tu jeden zakład, z którego usług korzysta klinika: pracownia analityczna. Robi pacjentkom testy laboratoryjne.

MacLean natychmiast się tym zainteresował. Wypytał Marie o wielkość pracowni, liczbę zatrudnionych tam osób i o to, jak wygląda współpraca z kliniką.

Laboratorium obsługiwał sam właściciel. Jeździł do "Hacjendy" dwa razy w tygodniu, żeby wykonać próby krzyżową krwi pacjentek oczekujących na zabiegi. Zawsze może się zdarzyć, że podczas operacji nastąpi krwotok. W pogotowiu musi być stale zapas świeżej krwi odpowiedniej grupy.

–Jakie jeszcze usługi świadczy ta pracownia? – zapytał MacLean.

–Przeprowadza rutynowe testy kliniczne dla lekarzy z miasta – odparła Maria.

–A co się dzieje, kiedy właściciel jest chory?

–Nie wiem, senor.

–Do kliniki jedzie zastępca – podpowiedział znacząco Leavey. MacLean skinął głową.

–Słusznie. Żebym jeszcze pamiętał, jak się robi próby krzyżową krwi. – I żeby ten facet zachorował – dodał MacFarlane.

Po zmroku MacLean z towarzyszami wybrał się pod wskazany przez Marie adres. Pracownia analityczna znajdowała się na cichej ulicy równoległej do Paseo Maritimo i oddalonej od esplanady o trzy przecznice na północ. Mieściła się na pierwszym piętrze czteropiętrowego budynku. Na zewnątrz wisiał szyld "Juan Tormo Laboratorio". MacFarlane wszedłby obejrzeć drzwi. MacLean i Leavey poszli spacerkiem dalej. Po kilkuset metrach zawrócili i spotkali się z Williem. Jego uśmiech wskazywał, że się powiodło.

–Drzwi otwarte – oznajmił. – Nie uszkodziłem zamka, więc potem będzie można je

zamknac.

MacLean wziął od Leaveya latarkę i wspinał się po schodach. Nie bardzo wiedział, czego ma szukać. Potrzebował po prostu jakiegoś punktu zaczepienia. Pracownia składała się z biura i dwóch laboratoriów: bakteriologicznego i hematologicznego. Nie było tu żadnej ultranowoczesnej aparatury, ale wyposażenie wystarczało do przeprowadzania rutynowych testów w małym mieście.

MacLean nie tracił czasu na dokładne oględziny laboratoriów. Skoncentrował się na biurze. Obok ksiąg rachunkowych i różnych papierów leżał notatnik z kalendarzem. Przy najbliższym wtorku i czwartku widniały litery H.Y. Zapewne oznaczały dni testów krwi w klinice. Tylko jak zastąpić Tormo? MacLean szukał dalej. Na biurku znalazł listy i okólniki z kilku towarzystw naukowych.

Właściciel pracowni należał do różnych komitetów; na ścianie wisiały oprawione zaświadczenia członkowskie. Wśród nich było zdjęcie mężczyzny w tocie akademickiej. MacLean domyślił się, że to Tormo. Zastanawiał się, czemu służy ta wystawa. Przecież pacjenci tu nie wchodzi. Przyjrzał się uważnie fotografii i doszedł do wniosku, że pieta achillesowa Tormo jest wysokie mniemanie o sobie. Jak to wykorzystać?

Zastanawiając się nad tym, MacLean przerzucił kilka stron periodyku Międzynarodowego Towarzystwa Analiz Medycznych. Zatrzymał się przy zdjęciu poważnego mężczyzny w białym fartuchu. Artykuł z cyklu "Tydzień z życia..." poświęcony był tym razem doktorowi Davidowi Schulzowi z Hamburga. Reporter towarzyszył bohaterowi podczas przeciętnego tygodnia pracy. To podsunęło MacLeanowi pewien pomysł. Ułożył wszystko na swoim miejscu i wrócił do Leaveya i MacFarlane'a.

–Skonczyłeś? – zapytał Willie.

–Tak, dzięki – odparł MacLean. MacFarlane wszedł na górę, żeby zamknąć drzwi na zamek.

–Jak poszło? – spytał Leavey.

–Chyba wiem, co zrobimy – odrzekł MacLean.

Następnego ranka MacLean zjawił się w pracowni Juana Tormo. Podał się za przedstawiciela Międzynarodowego Towarzystwa Analiz Medycznych. Właściciel powitał go bardzo serdecznie. Okazał się dużo starszy niż na fotografii; miał teraz dobrze po pięćdziesiątce. Był małym, ruchliwym człowieczkiem z cienkim, czarnym wąsikiem. Przypominał złoconego z niemego filmu. MacLean wyobraził go sobie w scenie zuchwałego napadu na pociąg.

Wyjasnil, ze Towarzystwo zlecilo mu znalezienie hiszpanskiego kandydata do kolejnego artykulu "Tydzien z zycia...". Wczesniej bawil w Madrycie i Barcelonie, gdzie rozmawial z osobami zaslugujacymi na opisanie. Teraz przyjechal na poludnie na krotki wypoczynek. Przypadkiem zobaczyl szyld Tormo i wpadl na pomysl, by tu wstapic.

Tormo polknal przynete. Silil sie na skromnosc, ale perspektywa ujrzenia swojego zdjecia w czasopiśmie wyraznie go ucieszyla. Zapewnil, ze dzialalnosc jego malej pracowni jest bardzo roznorodna i moze byc interesujaca dla czytelnikow.

–Doskonale – powiedzial MacLean. Udawal, ze robi notatki.

–Jak to bedzie wygladalo? – zapytal Tormo.

MacLean uprzedzil, ze zostanie w miescie tylko tydzien. Zadzwoni do przelozonych w Paryżu i przedstawil swoj plan. Jesli go zaakceptuja, poswieci Tormo caly swoj czas. Bedzie obserwowal go przy pracy. Ma nadzieje, ze odwiedza kilka gabinetow zabiegowych i tak dalej.

Zgodnie z oczekiwaniami MacLeana, Tormo zaczal przedstawiac swoj "bogaty" rozklad zajec. We wtorek wybiera sie do "Hacjendy Yunque", jednej z najbardziej prestizowych prywatnych klinik w kraju. Rozwodzil sie dlugo nad znakomita klientela placowki. MacLean pomyslal, ze wlasnie poznal pierwszego hiszpanskiego snoba. To dobrze. Tacy ludzie sa przewidywalni. Wtracil, ze Tormo w roli konsultanta kliniki to wymarzony bohater artykulu. Moze udaloby sie zrobic tam zdjecia, zeby pokazac go przy pracy?

Tormo natychmiast zapalil sie do tego; od razu zobaczyl sie na fotelu prezesa kazdego wplywowego komitetu w regionie. Oczywiscie trzeba uzyskac zgode dyrektora kliniki, ale nie przewiduje zadnych trudnosci. Przeciez to nie prasa codzienna. W "Hacjendzie" przywiazuje sie wielka waga do zachowania dyskrecji i dobrego smaku. Czlonek Miedzynarodowego Towarzystwa Analiz Medycznych bedzie tam z pewnoscia mile widziany... Ale co z przelozonymi MacLeana? Czy aby zaakceptuja pomysl?

–Podejrzewam, ze bez problemu – odparl MacLean. – Powiem wiecej: beda zachwyceni.

Po powrocie do przyjaciol MacLean pochwalil sie sukcesem.

–Myslisz, ze klinika na to pozwoli? – zapytal Leavey.

MacLean przyznal, ze ma pewne watpliwosci. Ale, wedlug Marii, nie jest to silnie strzezona placowka; sprawia wrazenie, jakby nie bylo tam nic do ukrycia. MacFarlane chcial wiedziec, jak MacLean zamierza poszukac cytogerma.

–Bede improwizował – odparł MacLean. Zaznaczył, że byloby dużo łatwiej, gdyby Leavey towarzyszył mu jako fotograf.

W poniedziałek rano MacLean i Leavey przyszli do pracowni Tormo. MacLean trzymał notes dziennikarski, Leavey niosł na ramieniu sprzęt fotograficzny.

–Moi szefowie dali mi wolną rękę – oznajmił MacLean. – Przysłali nawet kolegę do robienia zdjęć.

Tormo był zachwycony. MacLean zauważył, że na wszelki wypadek ostrzygł się.

Dzień spędzili w laboratorium. Tormo wykonywał rutynowe analizy i pozował Leaveyowi do zdjęć. Wpatrywał się w mikroskop i robił skupioną minę przy oglądaniu probówek pod światło.

–Uważam, że lewy profil mam lepszy – zaznaczył na wstępie. MacLean nie wspominał o wizycie w "Hacjendzie Yunque"; liczył na to, że Tormo pierwszy coś powie. Ale do czwartej nie padło żadne słowo na ten temat.

MacLean zaczął się niepokoić. Czyżby klinika nie wyraziła zgody? Tormo skończył ostatnie liczenie krwinek i umył ręce.

–No cóż, panowie... Oto typowy poniedziałek w naszym hiszpańskim miasteczku. Co o tym sądzicie?

–Bardzo interesujące – odparł MacLean, siląc się na entuzjazm.

–Ale jutro wielki dzień, co?

–Wielki dzień? – nie rozumiał MacLean.

–Si, wizyta w "Hacjendzie" – przypomniał Tormo.

–Ach, to już jutro... – MacLean udawał obojętność, ale miał ochotę uściskać faceta. – Klinika nie robiła trudności?

–Kiedy usłyszeli nazwę towarzystwa, zadanych.

–A co ze zdjęciami? – zapytał MacLean z sercem w gardle.

–Jest na to zgoda pod warunkiem, że nie będzie na nich pacjentek.

–To oczywiste – zapewnił MacLean. Zazartował, że trudno fotografować kobiety, które przyjeżdżają do kliniki, żeby wydać tysiące dolarów, a potem udają, że wcale ich tam nie było. Wszyscy trzej się rozesmieli.

Pozna noca MacLean stal samotnie na balkonie mieszkania, patrzyl na morze i myslal o Carrie i Tansy. Na policzku poczul chlodna bryze. Wzdrygnal sie. Mowiono, ze piekna pogoda nie jest normalna o tej porze roku i nie potrwa dlugo. Ksiezyc schowal sie za szybko plynacymi chmurami. Zerwal sie tak silny wiatr, jakby spiacy olbrzym przewrocil sie nagle na drugi bok i zmienil kierunek oddychania.

O czwartej nad ranem rozpoczel sie sztorm. Nadciagnal nad Costa del Sol znad wschodnich wybrzezy Izraela i Libanu. Pedzac przez Morze Sroziemne na zachod, nie stracil wiele na gwaltownosci. Deszcz wsciekle bebnil w szyby i nie dawal spac. W taka pogodzie dzieci placza, a starzy ludzie zegnaja sie niespokojnie. Leavey wstal i zrobil kawe.

–Ta burza moze nam sie przydac – powiedzial, podajac kubki przyjaciolom. Wyjasnil, ze jesli nie przestanie padac, nie robi Tormo porzadnych zdjec przy wejsci do "Hacjendy". Beda mieli pretekst, zeby w czwartek znow tam pojechac.

Musieli odstawic kawe i zabezpieczyc markizy na balkonie oraz przymocowac zaluzje. Przez otwory odpływowe na wszystkich pietrach laly sie na podworze kaskady wody.

Rano deszcz padal dalej. Tormo powital MacLeana i Leaveya z rownym zachwytem jak poprzednio. Byli dla niego dowodem uznania, o którym marzyl. Przed wyjazdem do "Hacjendy" mial do wykonania kilka testow. W jednym z hoteli goscie zatruli sie jedzeniem i podejrzewano, ze to salmonella. MacLean pochwalil sie znajomoscia rzeczy, zeby zyskac na wiarygodnosci.

–Posiew bakterii na pozywce z agaru cytrynianowo-dezoksyholowego? – zapytal z madra mina.

–Si – przytaknal Tormo. – I seleninowa hodowla pochodna.

Leavey wygladal przez okno. Probował zgadnac, ktorym samochodem jezdzi Tormo.

O dziesiatej trzydziesci wsiedli do granatowego peugeota kombi. W drodze do "Hacjendy" MacLean czul rosnace podniecenie. Leavey mial nieprzenikniony wyraz twarzy. Patrzyl przez szybe obojetnie, jak pasazer autobusu jadacy swoja codzienna trasa.

Gorski szlak byl trudniejszy do pokonania niz ostatnim razem. Burza nanioslą ze zboczy bloto, zwir i kamienie. Stawali cztery razy, zeby usunac przeszkody. Kiedy zatrzymali sie przed posiadloscia, Tormo wysiadl i zameldowal przez domofon o swoim przyjezdzie. Wrocil za kierownice i elektrycznie sterowana brama otworzyla sie wolno.

–Jestesmy – szepnal Leavey.

Podjechali do budynku alejka miedzy drzewami. Z bliska klinika sprawiala jeszcze bardziej imponujace wrazenie, choc wiszace nad nia urwisko nadawalo jej posepny wyglad. MacLean nie zdawal sobie dotad sprawy, ze jest doslownie wpuszczona w skalna sciane. Leavey pomyslal o tym samym.

–Nie ma tylnego wyjscia – zauwazyl cicho.

Wspieli sie za Tormo na schody liczace chyba piecdziesiat stopni. Im blizej byli wejścia, tym czuli sie mniejsi. Budowla zdawala sie ich przygniatac.

Leavey szturchnal MacLeana, zeby kazal Tormo stanac przed drzwiami; chcial mu zrobic zdjecie. Tormo przyjal odpowiednia poze, ale Leavey pokrecil glowa, ze nic z tego. Wytlumaczył, ze krople deszczu osiadaja na szkle obiektywu. Sprobował z drugiej strony schodow. Przykucnal na stopniach, co kiedys podpatrzyl u Patricka Lichfielda, ale wciaz nie byl zadowolony.

–Szkoda – powiedzial. – To ujecie byloby dobre na okladke.

–Moze do czwartku pogoda sie poprawi – odparl Tormo. MacLean skwapliwie przytaknal.

Drzwi otworzyla starannie ufryzowana i przesadnie umalowana kobieta po czterdziestce. Tormo przedstawil ja jako Frau Seeler, gospodynie. Sztywno skinela glowa MacLeanowi i Leaveyowi, po czym odeszla. Tormo ruszyl przodem w kierunku laboratorium. MacLean i Leavey rozgladali sie z podziwem. Klinika byla przepieknie urzadzona. Mebli i dzieł sztuki mogloby jej pozazdroscic nie jedno muzeum.

Szli cicho przez czesc rekreacyjna, gdzie odpoczywaly pacjentki w recznikach i plaszczach kapielowych. Siedzialy w wygodnych fotelach z nogami na wyscielanych stolkach i przerzucaly ilustrowane magazyny. Nie zwracaly na nich najmniejszej uwagi. MacLean poczul sie jak "niewidzialny" sluzacy z dawnych czasow.

Zatrzymali sie w pustej sali przy panoramicznym oknie. Za szyba rozciagal sie wspanialy widok. Z ukrytych glosnikow dochodzily dzwieki muzyki Szopena.

–Chetnie bym tu zamieszkal – mruknal Leavey. MacLean przytaknal. Tormo usmiechnal sie.

–"Hacjenda Yunque" to nie miejsce dla zwyklych smiertelnikow, senores.

–Oto moj zyciowy problem – westchnal Leavey.

Male laboratorium bylo doskonale wyposazone. Po tym, co przez chwila widzieli,

nie zdziwilo ich to. Tormo wyznal, ze nieraz mial ochote przywiezc tu probki krwi pobrane gdzie indziej i skorzystac z automatycznego licznika krwinek Coultera. Nie mogli sobie pozwolic na taki zakup. Dopiero tutaj poczuli, ze sa w klinice, a nie w luksusowym hotelu w calym budynku nie pachnialo srodkami znieczulajacymi i dezynfekujacymi, a pod scianami nie staly szpitalne wozki. Nie zauwazyli ani jednej pielegniarki.

MacLean zagadnal o to Tormo.

–Tak to jest urzadzone – uslyszal w odpowiedzi. – Wszelkie pomieszczenia zabiegowe sa na dole. Pacjentki nie schodza tam az do dnia operacji. A pielegniarki na tym pietrze nie nosza uniformow, zeby nie psuc atmosfery relaksu.

MacLean ostroznie podpytywal Tormo i stopniowo dowiadywal sie coraz wiecej. Na glownym poziomie budynku miescily sie apartamenty pacjentek, sale klubowe i czesc rekreacyjna. Pietro nizej byly sale operacyjne i pooperacyjne. W rozleglych podziemiach miescil sie rozbudowany kompleks techniczny. Dostarczal wszystko: od wody po gazy anestezjologiczne. Obok mieszkalala obsluga. Biura i kwatery personelu medycznego ulokowano na najwyzszym pietrze.

MacLean juz wiedzial, ze musi sie dostac do czesci zabiegowej kliniki. Byl pewien, ze znajdzie tam szpitalna apteke i, byc moze, cytogerm. Postanowil sprobowac w czwartek.

Tormo robil testy krwi, a Leavey fotografowal go przy pracy. MacLean zadawal "dziennikarskie" pytania, ale myslal o tym, jak zrealizowac swoj plan. Nagle wpadl na pomysl.

–Jesli jest pan tu jedynym specjalista od analiz, musi pan rowniez czuwac nad sterylnościa sal operacyjnych, prawda? – zwrocil sie do Tormo.

–Oczywiscie. Przeprowadzam rutynowe kontrole przeciwbakteryjne wszystkich powierzchni. A dlaczego?

–Pomyslalem, ze moglibysmy bardziej udramatyzowac artykul o panskiej pracy. Laboratoria sa ciekawe, ale sale operacyjne stwarzaja inny nastroj... Rozumie pan, o co mi chodzi?

–Tak, tak... – odpowiedzial w zamysleniu Tormo. – Zaraz sprawdzę grafik zabiegów.

Wyszedl z pracowni. MacLean spojrzal na Leaveya i uniosl kciuk. Nie czekali dlugo. Tormo wrocil usmiechniety.

–Mamy szczescie. Do poludnia obie sale sa wolne. Mozemy tam teraz pojsc.

Zeszli jasno oświetlona klatka schodowa. Na dole zatrzymali się przed fragmentem podłogi wyłożonym wilgotnym, gąbczastym materiałem.

–Rutynowa dezynfekcja obuwia – wyjaśnił Tormo. – Trzeba po tym przejść. – Wstąpili do malej salki, żeby zostawić okrycia i włożyć zielone fartuchy. – Zakazania pooperacyjne są tu praktycznie nieznane – powiedział Tormo. – Dyrekcji zależy na tym, żeby tak zostało.

Zaprowadził ich do pokoju pielęgniarek. Przy biurkach siedziały trzy kobiety.

–Chcę pobrać próbki z sali numer jeden – zakomunikował Tormo. – Ci panowie są z Międzynarodowego Towarzystwa Analiz Medycznych. Piszą o mnie artykuły.

–To świetnie, señor Tormo – ucieszyła się jedna z pielęgniarek.

Tormo zapalił światło w pierwszej sali i MacLean stanął jak wryty. Spodziewał się supernowoczesnego wyposażenia, ale tu była jeszcze galeria obserwacyjna! Tak się na nią zagapił, że Tormo zapytał, czy coś się stało.

–Rzadko widuje się coś takiego poza szpitalami, w których uczą się studenci – odparł MacLean.

–W "Hacjendzie" często bywają goście z innych klinik – odpowiedział Tormo, wprowadzając MacLeana w jeszcze większe zdumienie. Jak mogą tu używać cytogermy, skoro zapraszają ludzi z zewnątrz?

Tormo był z kolei zdziwiony reakcją MacLeana.

–To zupełnie normalne, że jedni chirurdzy obserwują przy pracy drugich – zauważył. – "Hacjenda" należy do czołówki klinik kosmetycznych.

–Tak, oczywiście – przyznał szybko MacLean. Postanowił skorzystać z okazji. – Sądzi pan, że ja też mogłbym się przyjrzec operacji?

Tormo zmarszczył brwi. Nie bardzo rozumiał, jaki to ma związek z jego sprawą, ale nie chciał zrażać człowieka, który mógł przysporzyć mu sławy. Wzruszył ramionami.

–Nie wiem. To dość niezwykle... Ma pan kwalifikacje medyczne? MacLean przytaknął bez wdawania się w szczegóły.

–Musiałbym zapytać dyrektora.

–Byłbym bardzo zobowiązany – zapewnił MacLean. Jeśli używają tu cytogermy, na pewno to zauważy.

–Może przeszlifujemy do zdjęć? – zaproponował niecierpliwie Tormo. MacLean

wrocil do rzeczywistosci. Ustawil kilka zywych obrazow z udzialem jednego aktora. Tormo pracowicie pobieral probki do badan pod katem skazenia bakteryjnego, a Leavey pstrykal aparatem.

W pewnym momencie MacLean zapytal o toalete. Kiedy Tormo wytlumaczył mu, jak tam trafic, wyszedł poszukac apteki. Znalazł ja na koncu korytarza, na lewo od pokoju pielegniarek.

–Moge w czymś pomoc? – odezwal sie z tylu kobiecy glos mowiacy po niemiecku. MacLean odwrocil sie i zobaczyl pielegniarke. Odpowiedzial po francusku, ze sie zgubil. Probuje wrocic do sali operacyjnej, gdzie ma sesje zdjeciowa z panem Tormo. Kobieta wskazala mu droge; mowila plynna francuszczyzna. Podziekowal i odszedl.

Leavey nadal fotografowal Tormo. MacLean rzucil mu znaczace spojrzenie i zapytal, jak idzie.

–Chyba mam kilka dobrych ujec – odparl Leavey. – Musze miec, do cholery – dodal pod nosem. – Zuzylem trzy rolki filmu!

Powiedzieli Tormo, ze moze juz odpoczac.

–Nie wiedzialem, ze jeden artykul to tyle pracy – stwierdzil.

–Wszyscy sie dzis napracowalismy – odrzekl uprzejmie MacLean. – Wracamy na gore? – Leavey spakowal sprzet fotograficzny, a MacLean przypomnial Tormo o swojej prosbie obejrzenia operacji. Poszli do laboratorium. Tormo zostawil gosci i wyszedl porozmawiac z dyrektorem.

–Znalazlem apteke – pochwalil sie MacLean. – W korytarzu na lewo od pielegniarek.

–Byl tam ktos? – zapytal Leavey.

MacLean przyznal sie, ze nie sprawdzil, bo zaskoczyla go pielegniarka.

–W czwartek bedziemy musieli narobic troche zamieszania – powiedzial Leavey. – Zapamietalem, gdzie sa alarmy przeciwpozarowe.

Wrocil Tormo.

–Nie bylo latwo – oznajmil. – Dyrektor odniosl sie do tego niechetnie, ale zapewnilem go, ze jest pan wybitnym czlonkiem Towarzystwa Analiz z wysokimi kwalifikacjami medycznymi i zgodzil sie.

–Wspaniale! – ucieszył sie MacLean. Serdecznie podziekowal Tormo i przeprosil za kłopot.

Tormo zerknal na Leaveya.

–Niestety, panski kolega nie bedzie mogl przyjsc.

–I dzieki Bogu... – odetchnal Leavey z udawana zgroza. MacLean wyjasnil ze smiechem, ze jego towarzysz mdleje na widok krwi. – Wiec kiedy? – zapytal.

–Dyrektor pozostawil panu wybor – odrzekl Tormo. – Jutro sa dwie operacje; powiekszanie piersi i odciganie tluszczu z ud. W czwartek tylko jedna; usuwanie kurzych lapek i likwidacja podwojnego podbrodka.

MacLean wybral czwartek. Jesli w uzyciu mial byc cytogerm, to tylko do operacji twarzy.

–Swietnie – ucieszyl sie Tormo. – Zatem znow mozemy przyjechac wszyscy razem.

Wrocili do Fuengirola. Pozegnali sie z Tormo do czwartku rano.

–Jutro nie przyjdziecie do pracowni? – zapytal rozczarowany.

–Mamy juz sporo materialu – wyjasnil MacLean. – Zdjecia i notatki. Musimy nad tym popracowac. Szczegoly z jutrzejszego dnia dodamy pojutrze.

Ruszyli pieszo do mieszkania. Obaj milczeli, pogrzeni w myslach. Wreszcie Leavey przerwal cisze.

–Cos za latwo to idzie.

–Tez tak uwazam – przyznal MacLean.

–Niczego przed nami nie ukrywaja i chyba wiem dlaczego – powiedzial Leavey.

–Ja tez – przytaknal MacLean. – Po prostu nie maja nic do ukrycia.

–Ale to musi byc to miejsce!

–Tylko na co Lehman Steiner wydaje osiemnascie milionow dolarow... i gdzie jest Von Jonek?

MacFarlane nie mogl sie doczekac relacji z wyprawy do kliniki. Byl tez ciekaw, czy maja dla niego jakies zadanie.

–Nie trzeba otwierac zadnych drzwi, Willie – odparl Leavey – bo nie sa przed nami zamkniete. – Wyszedl z pokoju, zeby wziac prysznic.

–Ale to chyba wlasciwe miejsce, nie? – zapytal MacFarlane.

–O tym samym rozmawialismy – odrzekl MacLean. Pochwalil sie, ze dostal pozwolenie na obserwowanie czwartkowej operacji.

–Znow bede siedzial bezczynnie – poskarzyl sie MacFarlane.

–Moze nie – pocieszyl go MacLean. – Moze moglbys z nami pojechać.

–Jak to?

MacLean zdradzil mu swoj plan. Gdyby Willie przed wyjazdem ukryl sie w tylnej czesci peugeota Tormo, dostalby sie potajemnie do "Hacjendy". Da sie to zrobic, bo to samochod kombi. Kiedy oni weszliby do kliniki, zbadalby teren. Moglby zakrasc sie do piwnic.

–Czego mialbym szukac? – spytal Willie.

–Wszystkiego i niczego.

–Sami nie wiemy – wyjasnil Leavey. Wszedl akurat do pokoju, wycierajac sie po kapieli.

W czwartek wypogodzilo sie. Leavey zaczal fotografowac Tormo juz przy bramie "Hacjendy". Maly Hiszpan pozowal z teczka w dloni i usmiechem na twarzy. Ciagle przypominal, zeby na kazdym zdjeciu byla widoczna nazwa kliniki. MacLean zerknal na tyl samochodu. MacFarlane spisal sie na medal.

17

Tormo dostal telefon, ze operacja wkrótce sie zacznie. Zaprowadzil MacLeana na galerii obserwacyjnej i wrocil do siebie. MacLean zostal sam i doznal dziwnego uczucia; siedzial w szklanej klatce, zamiast byc na dole, przy stole operacyjnym. Powinien miec na sobie zielony stroj chirurgiczny i wraz z zespolem przygotowywac pacjenta. Tymczasem przypadla mu rola postronnego obserwatora. Zastanawial sie, czy kiedykolwiek powroci do tamtego swiata za szyba. Odruchowo spojrzal na swoje dlonie oparte na poręczach. Na kostce prawej reki pozostaly jeszcze zadrapania po uderzeniu policjanta w Walencji.

Pacjentka byla kobieta po trzydziestce. MacLeanowi wydalo sie, ze widzial ja we wtorek w czesci rekreacyjnej wsrod innych wypielegnowanych, wynioslych dam. Ale teraz nie miala makijazu i aroganckiej miny. Wygladala na niewinna, bezbronna istote. Zawsze chwytal go to za serce, gdy sam operowal. Przypominalo mu o tym, jak bardzo los pacjenta zalezy od lekarza.

Do sali wszedl chirurg. Powital wszystkich, lacznie z MacLeanem. MacLean

odpowiedział skinieniem głowy. Mezczyzna zaczął kreslic markerem linie na twarzy pacjentki. Zwiotczala skora pod broda faldowala sie i musial ja napinac druga reka.

Chirurg skonczyl rysowanie linii. Zapytal anestezjologa, czy wszystko w porzadku, i zrobil pierwsze naciecie. MacLean pochylil sie do przodu. Nie chcial przeoczyć zadnego szczegolu. Po pietnastu minutach wiedzial juz, ze nie uzyja cytogeremu. Lekarz wykonujacy zabieg byl artysta w swoim fachu. MacLean podziwial go mimo rozczarowania, ze nie znalazl cytogeremu.

Chirurg robil cieniutkie naciecia, zeby pozostaly minimalne blizny. Potem maskowal je starannie drobniutkimi szwami. Szkoda takiego talentu na blahe zabiegi, pomyslal MacLean.

Operacja dobiegla konca. Pacjentke wywieziono do sali pooperacyjnej. MacLean uchwycil spojrzenie chirurga. Usmiechnal sie i z uznaniem skinal glowa. Mial ochote wstac i klaskac. Wrocil do pracowni Tormo i udal zainteresowanie jego praca. Leavey od razu poznal, ze MacLean nie znalazl cytogeremu. Kiedy Tormo na chwile wyszedl, zapytal szybko, czy spenetruja apteke.

–Nie ma sensu – odparl MacLean. – Nie uzywaja cytogeremu.

Tormo nieoczekiwanie skonczyl analizy wczesniej. MacLean i Leavey musieli znalezc pretekst, zeby jeszcze zostac w klinice. Chcieli dac Williemu czas na powrot do kryjowki w samochodzie. Gdy schodzili po schodach na parking, MacLean obejrzal sie na urwisko wiszace nad budynkiem.

–Nie odwazylbym sie tam wspiac – powiedzial.

–To niewykonalne – odrzekl Tormo. – Bylby potrzebny helikopter.

–Ale z lewej strony mogloby sie udac – wtracil sie Leavey. MacLean spojrzal na niego ze zdziwieniem; Leavey mowil powaznie.

–Wole helikopter – odparl. Wszyscy sie rozesmieli.

Starali sie opoznic odjazd jak tylko mogli. W koncu podeszli do samochodu. Kiedy Tormo wsiadal za kierownice, MacLean zajrzal do peugeota przez tylna szybe. MacFarlane'a nie bylo! Zerknal na Leaveya i lekko pokrecil glowa. Leavey zareagowal natychmiast. Walnal sie dlonia w czolo i wykrzyknal:

–Ale ze mnie kretyn! Zostawilem w pracowni oslone obiektywu!

–To nie problem – zapewnil uprzejmie Tormo. – Zaraz przyniose. Gdy wbiegal po schodach, MacLean sprawdzil godzine.

–Spozna sie piec minut. Cos sie musialo stac. Leavey przytaknal.

–Jesli sie nie zjawi do powrotu Tormo, bedziemy musieli odjechac bez niego.

Tormo przybiegl po pieciu minutach. Z zalem oswiadczył, ze nie znalazł zguby. Leavey wzruszył ramionami i odparł, ze widocznie gdzieś ja zapodział. Willie MacFarlane nie pojawil sie. Z tego powodu w drodze powrotnej rozmowa sie nie kleila.

Po przyjeździe do Fuengirolí Tormo zaprosil ich do biura na kawe. Nie wypadalo odmowic, ale wyszli tak szybko, jak tylko pozwalala na to uprzejmosc.

–W Bogu nadzieja, ze z Williem wszystko w porzadku – powiedzial MacLean, kiedy szli w kierunku lokalu Jose.

–Pewnie zlazi teraz z gory – odparl Leavey. – Znasz go.

Byli tuz przy restauracji, gdy Leavey syknal:

–Nie wchodzimy! – MacLean zdumial sie; nie dostrzegł nic podejrzanego. Poszli dalej i skrecili za rog. Leavey pociagnal go blizej muru. – Widziales faceta w ogrodku?

–Tak.

–Jak nadchodziliśmy, wzial ze stolika gazete i zaczal czytac. MacLean wzruszył ramionami.

–No to co?

–Trzymal ja do gory nogami. Maskowal sie. Czekal, zebysmy weszli.

–Rany boskie! – szepnal MacLean.

–Cos nie gra. Zauwazyles Jose albo Marie? – Nie.

–Ja tez nie.

Zapuscili sie ostroznie w zaulek na tyloch lokalu. Starannie omijali skrzynki z pomaranczami i warzywami, zeby nie narobic halasu. Wreszcie dotarli w poblize wejścia na zaplecze. Schylili sie i podeszli pod okno. Leavey pokazal, ze sprobuje sie dostac do srodka. Zajrzal do magazynu, potem podciagnal sie na parapet i zniknal wewnatrz.

MacLean zostal sam. Do towarzystwa mial tylko bezdomnego psa. Z restauracji nie dochodzily zadne odglosy. W uliczce unosil sie silny zapach warzyw i owocow.

MacLean przelknal z trudem; zaschlo mu w ustach. Juz chcial wejsc przez okno sladem Leaveya, gdy nagle drzwi poruszily sie lekko. Szybko przywarl do sciany i zacisnal piesci.

Drzwi uchylily sie i w szparze ukazal sie Leavey. Polozyl palec na ustach i gestem przywolal MacLeana. Weszli na palcach na zaplecze. MacLean zamarl ze zgrozy. Na krzesle z wysokim oparciem siedziala Maria. Byla zwiazana i zakneblowana, w oczach miala przerazenie. Na podlodze lezal mezczyzna ze skreconym karkiem. MacLean domyslil sie, ze to robota Leaveya.

Zerknal przez okienko do wydawania potraw. Jose stal za barem i w kolko polerowal jedna szklanke. Wciaz byl przekonany, ze corka siedzi w kuchni pod lufa. MacLean nie mogli dostrzec, czy na sali ktos jest.

–Ilu ich przyszlo? – zapytal szeptem Leavey, zdejmujac Marii knebel.

–Dwoch, senior. Leavey wskazal trupa.

–Ten i tamten w ogrodku?

Gdyby teraz wystraszyli Jose, przygoda moglaby sie zle skonczyc. MacLean lekko uchylil drzwi kuchni.

–Psst! Psst! – Palec na ustach w pore powstrzymal Jose od wydania okrzyku zaskoczenia. Leavey przeczolgal sie przez sale do frontowego wejscia i stanal przy scianie obok drzwi. Spojrzal na Jose i pokazal palcem mezczyzne na zewnatrz.

–Zawolaj go! – szepnal. Jose skinal glowa.

–Senior!

Mezczyzna zerknal na niego, ale nie poruszyl sie.

–Senior!

Mezczyzna wstal od stolika i skierowal sie ku drzwiom. Ledwo postawil noge na progu, cios w ucho pozbawil go przytomnosci. Leavey chwycil bezwladne cialo pod pachy i zaciagnal na zaplecze. Wszyscy zaczeli mowic jednoczesnie.

MacLean uniosl reke.

–Jose?

–Powiedzieli, ze zlapali senior Williego, a teraz zaczekaja na jego przyjaciol. Maria przytaknela.

–O moj Boze... – westchnal MacLean. – To ja go namowilem, zeby z nami pojechal. Na pewno wycisneli z niego prawde.

–Kazdy z nas wiedzial, czym ryzykuje – mruknal Leavey. – Willie musial znalezc to, czego szukamy.

–Ale to znaczy, ze nie realizuja projektu X 14 w samej klinice. Ukrywaja cos w podziemiach. To tam mial sie zakrasc Willie.

Leavey wzruszyl ramionami i kiwnal glowa. Spojrzal na nieprzytomnego mezczyzne na podlodze.

–Jak sie ocknie, wszystko nam wyspiewa. – Szturchnal go butem, ale bez skutku.

–Chyba juz wiedza o naszym mieszkaniu – zauwazyl MacLean. Leavey skinal glowa.

–Pewnie wybierali sie tam pozniej.

–Ojciec ma w porcie lodz – odezwala sie nagle Maria. Popatrzyli na Jose.

–Si, si – potwierdzil. – Nazywa sie "Erinia". Jest do waszej dyspozycji.

–Doskonale – ucieszyl sie Leavey. – Proponuje zaladowac sprzet do lodzi i uderzyc tam, gdzie sie nas najmniej spodziewaja.

MacLean nie po raz pierwszy podziwial jego opanowanie i trzezwosc umyslu. Sam byl zdenerwowany i mial zamet w glowie. Tymczasem Leavey funkcjonowal niczym maszyna; kalkulowal na zimno, ocenial szanse i nigdy nie popelnial bledu. Dopiero co zabil czlowieka, a juz planowal nastepny ruch ze spokojem szachisty. MacLeanowi wydalo sie idiotyczne, ze wpadl na to akurat teraz, ale chyba odgadl, dlaczego Leavey nie jest zonaty. Nie mozna go bylo zranic. Nie mial slabych stron. Nie potrzebowal zyciowej partnerki, zeby go podziwiala, bo sam sobie wystarczyl. John Donne mylil sie; Leavey byl wyspa.

MacLean zamierzal zapytac Leaveya o szczegoly planu, gdy nagle uslyszal za soba halas. Odwrocil sie szybko. Nieprzytomny mezczyzna ocknal sie; zdazyl sie poderwac i chwycic Marie z tyłu. W jego dloni blysnal noz i ostrze dotknelo szyi dziewczyny. Z naciecia na skorze poplynela struzka krwi. Mezczyzna zaczel sie cofac do drzwi. Nie odezwal sie ani slowem, a jego oczy plonely nienawiscia. Zaslal sie nieszczesna dziewczyna i nikt nie mogl mu nic zrobic.

Na moment oderwal noz od jej szyi i siegnal do klamki. Ale trwalo to zbyt krotko; Leavey i MacLean nie zdolali tego wykorzystac. Mezczyzna prawie wydostal sie na uliczke, kiedy bezdomny pies postanowil nagle poszukac szczescia w kuchni. Zaplatal sie w jego nogi i mezczyzna omal nie stracil rownowagi. Maria nie czekala na

lepsza okazje. Szarpnela sie i wyrwala. Leavey zrobil krok naprzod, ale Jose stal blizej. Byl szybszy. W powietrzu mignal uniesiony topor rzezniczy i Maria zamknela oczy.

Musieli sie teraz pozbyc dwoch cial.

Jose poszedl po swojego pikapa i wjechal w zaulek. Uzgodnili, ze Leavey pomoze mu wywiezc zwloki w ustronne miejsce na wybrzezu. MacLean mial pojsc do mieszkania po rzeczy i zaniec je na lodz. O szostej wszedl na poklad duzej motorowki. Ukryl sie na dole w kabinie i czekal na Leaveya. Lezal na koi i patrzyl przez iluminator na odlegle gory. Wiedzial, ze biala plamka na tle skal to "Hacjenda Yunque".

Usiadl wyprostowany, gdy uslyszal kroki.

–To ja – odezwal sie znajomy glos i pod pokladem pojawil sie Leavey. Opadl na wolna koje, zeby zlapac oddech.

–Jak poszlo? – zapytal MacLean.

–Bez problemow.

–Co dalej?

Leavey uniosl sie na lokciu.

–Zaczekamy do zmroku i poplyniemy do "Hacjendy". Nie spodziewaja sie nas. Mysla, ze jestesmy martwi albo ucieklismy.

–Zgoda – odrzekl MacLean. – Willie musial odkryc cos naprawde waznego. Inaczej nie byloby tego calego zamieszania. Pewnie natknal sie na pracownie X 14.

–A to oznacza cytogerm – przytaknal Leavey. Przerzucil nogi nad krawedzia koi i usiadl. – Tym razem wszystko albo nic, Sean – powiedzial powaznie. – Wchodzimy tam uzbrojeni i wychodzimy z Williem i cytogermem dla Carrie... albo nie wychodzimy wcale. – Zamilkl i czekal na reakcje MacLeana.

MacLean podniosl sie i popatrzyl mu w oczy.

–Jasne – zapewnil. Uscisneli sobie rece.

O dziesiatej wieczorem przybili do brzegu. Zeszli na lad w ciemnych ubraniach i z bronia. Leavey mial colta cobre, ktorego przemycil w specjalnie zaprojektowanym pojemniku do aparatu fotograficznego. MacLean zabral jednemu z zabitych w restauracji smith and wesson. Postanowili dotrzec do "Hacjendy" pieszo.

Niebezpiecznie byloby zostawiac samochod na kretej gorskiej drodze. Poza tym na wlasnych nogach mogli pojsc na skroty – wspiac sie do celu po zboczach Sierry.

Po godzinie meczacej wedrowki przystaneli, zeby odsapnac. Oparli sie plecami o wielki glaz i patrzyli w dol na swiatla Fuengirola. Daleko na morzu widac bylo frachtowiec plynacy ku Ciesninie Gibraltarskiej. Jego lampy nawigacyjne zdawaly sie mrugac do gwiazd. Wokol panowal spokoj i cisza, dopoki MacLean nie poczul na policzku zimnej bryzy. Przypomnial sobie jej dotkniecie na balkonie mieszkania.

–Nadciaga sztorm – powiedzial. Leavey zaczal sie zbierac.

–Chyba nie chcesz, zebysmy zamazli tu na smierc?

Ta uwaga rozladowala rosnace napiecie; podzialala jak otwarcie zaworu bezpieczenstwa. Nagle wybuchneli smiechem. Kiedy sie uspokoili, Leavey zapytal:

–Gotow?

MacLean skinal glowa. Podjeli dalsza wspinaczke.

Pol godziny pozniej zobaczyli mur "Hacjendy". Podeszli do posiadlosci od poludniowego wschodu, przy narozniku najbardziej oddalonym od drogi. Leavey pierwszy wdrapal sie na ogrodzenie. Lezal przez chwile na szczycie, potem szepnal:

–Czysto. – MacLean dolaczyl do niego i cicho zeskoczyli miedzy drzewa.

Przemykali sie ostroznie w strona budynku. Swiatla kliniki blyszczaly na tle urwiska jak latarnia morska. W gorze przetoczyl sie grzmot i spadly pierwsze krople deszczu. Blyskawica rozdarla niebo i na moment oswietlila cala skalna sciane.

Leavey pokazal zachodni naroznik kliniki. MacLean uniosl reke na znak, ze zrozumial. Mieli do przebycia trzydziesti metrow otwartej przestrzeni. W polowie drogi zaskoczyla ich blyskawica. Padli na ziemie i lezeli, dopoki znow nie zapadla ciemnosc. Zapach mokrej ziemi przypomnial MacLeanowi noc, kiedy ratowal Carrie z pozaru.

Ledwo ukryli sie pod sciana, rozpadalo sie na dobre. Ze skalnego nawisu laly sie kaskady wody i przeslanialy front budynku niczym kurtyna. Przemokli do suchej nitki, zanim dobiegli do bocznych drewnianych drzwi. Liczyli na to, ze tedy dostana sie do piwnic, ale obok nie bylo okna, zeby zajrzec do srodka. Musieli zaryzykowac. MacLean mocniej scisnal bron i ostroznie pociagnal za klamke.

Znalezli sie na szczycie metalowych schodow. Dziesiec metrow nizej zobaczyli jasno oswietlone pomieszczenie. Na prawo ciagnal sie pomost roboczy. Podczolgali sie tamtedy do miejsca, skad mogli spojrzec w dol miedzy rurami biegnacymi pod

sufitem. Domyslili się, że są w kotłowni. Czterej mężczyźni w kombinezonach obsługiwali urządzenia. MacLean naliczył cztery generatory prądowe, kocioł opalany ropą i trzy sterylizatory parowe. Podpełzli dalej. Piąty mężczyzna siedział przy pulpicie sterowniczym pełnym wskaźnikami i przełącznikami.

MacLean klepnął Leaveya w nogę i pokazał, że czas wracać. Było za wąsko, żeby się obrócić, więc wycofali się na czworakach.

–Co o tym myślisz? – zapytał Leavey, gdy z powrotem stanęli przy drzwiach.

MacLean wzruszył ramionami.

–Wszystko wygląda zwyczajnie.

–Właśnie – przytaknął Leavey. – Willie musiał znaleźć coś innego.

–Spróbujmy z drugiej strony budynku – zaproponował MacLean. Leavey skinął głową.

Wymknęli się w noc i pochyleni przebiegli pod ścianą do zachodniego narożnika. Od frontu hulał wiatr. Spodziewali się, że za rogiem uderzy w nich z pełną siłą. Nie pomylili się; pierwszy podmuch niemal ich zatrzymał. Położyli się na brzuchach, żeby zmniejszyć opór powietrza. Zanim przeczołgali się przed budynkiem, byli wykończeni. Ukryli się na parkingu.

–Stad zaczął Willie – powiedział MacLean, kiedy złapał oddech. – Trzeba pojsć jego śladem.

Wybor trasy nie nastreczał trudności; w bocznej ścianie zauwazyli tylko jedno wejście. Wśliznęli się do krótkiego korytarza. Pod sufitem paliła się słaba lampa. Prowadziło stąd dwoje drzwi. Jedne miały szyby na wysokości wzroku. Dojrzeliby przez nie klatkę schodową. MacLean pokazał na migi, że tam zajrzy. Wyciągnął broń i wszedł.

Przez chwilę nasłuchiwał, potem powoli wspinał się po stopniach. Na gorze zorientował się, że jest przy sali operacyjnej numer dwa. Tego samego ranka obserwował tu z galerii zabieg. Wroczył do Leaveya i pokręcił głową.

–Tedy Willie nie mógł pojsć – zdecydował.

Leavey ostrożnie uchylił sąsiednie drzwi. Znow zobaczyli kotłownię; tym razem znaleźli się na jej drugim końcu. Dostali się na pomost pod sufitem i MacLean szepnął:

–Cokolwiek Willie odkrył, musi być tutaj.

–Zaczekajmy i popatrzmy – odrzekł Leavey.

Na dole zadzwonił telefon i mężczyzna przy pulpicie sterowniczym podniósł słuchawkę. Potem zwołał coś do robotników, ale szum maszyn zagłuszał słowa. Dwaj mężczyźni natychmiast przerwali pracę i przybiegli na wezwanie. MacLean i Leavey wymienili spojrzenia.

–Trudno teraz o taką dyscyplinę – zauważył MacLean.

Mijały minuty i punkt obserwacyjny stawał się coraz mniej wygodny. Tkwili na pomostie bez ruchu, a metalowa krata wbijała się im bolesnie w łokcie i kolana. MacLeanowi zdrewniała szyja. Na chwilę odwrócił głowę w stronę ściany.

Kiedy patrzył na gółę cegły, zastanowił go nagle głośny szum maszyn. Skąd tyle hałasu? Dlaczego pracują aż cztery generatory prądowe? Przecież "Hacjenda" jest podłączona do lokalnej sieci elektrycznej. Wystarczyłby jeden, i to tylko na wypadek awarii. Willie znalazł się na tym i na pewno to go zaintrygowało. MacLean dał znak Leaveyowi, żeby się wycofali, bo chce pogadać.

Opuszcili pomost i rozmasowali kolana. MacLean podzielił się z Leaveyem swoimi spostrzeżeniami.

–Masz rację – przyznał Leavey. – Tyle mocy mogłoby oświetlić miasto.

–Tylko gdzie ono jest? – westchnął MacLean.

–Może pod nami? – podsunął z uśmiechem Leavey. MacLean z powątpiewaniem pokręcił głową.

–Drugie podziemia? To lita skala.

W tym momencie rozległo się zawodzenie. Dochodziło zza ściany.

–Rany boskie, co to?! – wykrzyknął Leavey.

–To, o czym wspominała Maria – odparł MacLean.

–Ale co to jest, u diabła?!

MacLean wzruszył ramionami i wskazał robotników na dole; zachowywali się, jakby nigdy nic.

–Zdaje się, że im to nie przeszkadza.

–Może są za blisko maszyn i nie słyszą?

–Może.

Zawodzenie ucichło. MacLean i Leavey powrócili do problemu "nadprodukcji" energii elektrycznej.

**–Moglibyśmy sprawdzić, dokąd prowadzi kable zasilające – zaproponował Leavey.
– Biegna po ścianie. – MacLean zgodził się. Ponownie wczolgali się na pomost. Leavey nic nie wykrył, ale zwrócił uwagę na rury. Jeden ze sterylizatorów wydał mu się dziwny. Wyglądało na to, że nie jest zaopatrywany w parę.**

Przyjrzeni się uważnie głównej rurze. Ciągnęła się nad sterylizatorami trzy metry od ziemi. Do dwóch skrajnych urządzeń dochodziły odgałęzienia i zawory. Do środkowego nie. Maszyny były otwierane z przodu i wpuszczone w skałę. Nadszedł czas, by znowu zejść z pomostu.

–Musimy zajrzeć do tego sterylizatora – powiedział MacLean. – Tylko jak?

Doszli do wniosku, że nie mogą ryzykować starcia z robotnikami. – Alarm przeciwpożarowy! – wypalił nagle Leavey. Przypomnił sobie, że mieli wykorzystać tę sztuczkę do spenetrowania apteki.

–Świetny pomysł – pochwalił MacLean. – Widziałem włącznik przy sali operacyjnej, na prawo od schodów. Pojść tam.

Uzgodnili, że Leavey zaczeka na pomostcie. Kiedy MacLean wróci, a robotnicy wybiegną z kotłowni, obaj zbadają dziwny sterylizator.

MacLean dał Leaveyowi kilka sekund na wczolganie się na pomost, po czym wymknął się z kotłowni i wspinał na piętro. Był u szczytu schodów, gdy usłyszał kobiece głosy. Cofnął się i przywarł do ściany. Przez moment zdawało mu się, że kobiety idą w jego kierunku. Zamierzał uciec, ale głosy zaczęły się oddalać. Przez pół minuty stał bez ruchu, potem wyjrzał zza rogu. Korytarz przy sali operacyjnej był pusty. Zbił szybkie i popędził na dół przy ogłuszającym dźwięku dzwonków alarmowych. Modlił się, żeby zdążyć na pomost przed robotnikami opuszczającymi kotłownię. Dotarł tam z dziesięciosekundowym zapasem.

Kiedy ostatni robotnik zniknął z widoku, MacLean i Leavey zbiegli z tupotem po metalowych stopniach. Dopadli sterylizatora i Leavey wcisnął guzik sterujący drzwiczkami urządzenia. Zaklął, bo uchylały się potwornie wolno. W końcu otworzyły się na całą szerokość, ale zamiast stalowej komory sterylizatora zobaczyli tunel biegnący w głąb skały. Bez namysłu weszli do środka. Leavey odnalazł na ścianie przycisk i drzwi zamknęły się za nimi z sykaniem. Hałas generatorów całkowicie ucichł.

Znowu mogli głośno rozmawiać, choć nie mieli wiele do powiedzenia. Było jasne, że tunel prowadzi do serca góry. Po trzydziestu metrach dotarli do ostrego zakretu.

MacLean szedł pierwszy. Wychylił głowę i skinął na Leaveya, że droga wolna. Po następnych trzydziestu metrach korytarz rozchodził się w trzech kierunkach. W dwóch odnogach paliło się światło, w trzeciej było ciemno. Nagle usłyszeli głosy i dali tam nura. Przywarli do ziemi z bronią gotową do strzału i wstrzymali oddech.

Głosy zamilkły w oddali. MacLean z ulgą wypuścił powietrze z płuc. Leavey zapalił latarkę. Zobaczyli duże drewniane drzwi, pokryte kurzem i pajęczynami. Były sprochniałe u dołu, a zamek zżerała korozja. Ustąpiły pod kopniakiem Leaveya. Zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały i MacLean powiedział:

–Idź pierwszy.

Leavey oświetlił podłogę i przestąpili próg. Coś uderzyło MacLeana z suchym grzechotem. Odepchnął to z obrzydzeniem, ale znowu poczuł uderzenie i mimowolnie krzyknął, gdy w świetle latarki ujrzeli ludzki szkielet wiszący na zardzewiałym łańcuchu. Rozejrzeli się. Z sufitu zwisało jeszcze siedem.

–Przeciwnicy Franco – domyslił się Leavey.

Wrocili do rozgałęzienia korytarzy i poszli dalej oświetlonym tunelem. Nagle Leavey przystanął i ze zdumieniem dotknął twarzy.

–Co się stało? – zapytał cicho MacLean.

–Czuje wiatr! MacLean stanął obok.

–Masz rację – przyznał. – To niesamowite! Musimy być ze sto metrów w głębi skały.

Dotarli do schodów wykutych w kamieniu. Wspierali się na górze, skreśliли w lewo i wyszli na powietrze.

–Nie do wiary! – mruknął zaskoczony MacLean.

Przykucneli, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. Słyszeli szum wiatru, ale nie docierały do nich podmuchy. Wreszcie pojechali, że zewsząd otaczają ich skały. Znaleźli się w małej górskiej kotlinie. Miała około stu metrów długości i pięćdziesięciu szerokości... i była zupełnie odcięta od świata.

18

Ostrożnie ruszyli naprzód. Gdy zza chmur wypłynął księżyc, dostrzegli kształty budynków.

–To cała wioska! – szepnął Leavey.

MacLean nie zdążył odpowiedzieć, bo w najbliższym domu zapaliło się światło. Przypadli do ziemi. Na tle jasnego okna przeszła młoda kobieta. Wyjęła z szafy kurtkę, ubrała się i zgasła lampę. Po chwili otworzyły się drzwi.

Kobieta włączyła latarkę i skierowała się do innego budynku. Kiedy mocowała się z zamkiem, snop światła padł na jej twarz. Była ładna, ciemnowłosa, i miała niewiele ponad dwadzieścia lat. Weszła do środka.

–Jak wyjdzie – odezwał się MacLean – złapiemy ją i dowiemy się, co tu jest grane.

Wtem rozległ się głośny płacz małego dziecka. Trwał długo i odbijał się echem wśród skal.

MacLean z niedowierzaniem pokręcił głową ale zanim to skomentował, płakalo już kilkoro dzieci. W oknach domu zablysły lampy. Musieli się wycofać w mrok. Z lewej zobaczyli światło latarki. Z prawej też. Obie osoby szły w stronę budynku, z którego dochodził płacz. Na tle okien okazało się, że to młode kobiety. Zamieniły kilka słów po hiszpańsku i weszły.

–To złobek! – mruknął zdumiony Leavey.

Wkrótce zapadła cisza i wszystkie światła pogasły. Dwie kobiety wyszły z budynku. Przez chwilę rozmawiały szeptem, potem pożegnały się i rozeszły. Po pewnym czasie pojawiła się ta, którą widzieli najwcześniej. Zdążyła przejść tylko kilka kroków. Leavey chwycił ją z tyłu i zasłonił jej dłońmi usta. Pociągnął przerażoną dziewczynę na dół i uspokoił.

–Mówisz po angielsku? – zapytał łagodnie MacLean. Leavey powoli zabrał rękę, żeby mogła odpowiedzieć, ale był w pogotowiu na wypadek, gdyby chciała krzyknąć.

–Trochę – odrzekła.

–To dobrze. Kim jesteś i co tutaj robisz?

–Nazywam się Carla Vasquez. Doglądałam dzieci.

–Carla Vasquez? Przyjaciółka Marii?

–Zna pan Marie?! – wykrzyknęła dziewczyna.

–W pewnym stopniu zjawiliśmy się tu z jej powodu – odparł MacLean. – Bala się, że cie uwieziono.

–Ale gdzie indziej – dodał Leavey, patrząc na nocne niebo ponad skalami.

–Twoja matka myśli, że jesteś w Madrycie – wyjaśnił MacLean.

Carla przytaknęła.

–Wysłałam jej pocztówki. Kazano nam napisać do rodziców. Każda z nas dostała widokówki z innego miasta.

–Ile was tu jest? – spytał Leavey.

–Dwunastu, señor. Wszystkie opiekujemy się dziećmi.

–Co to za dzieci? Skąd są? – wypytywał MacLean.

–Nie wiem, señor. Żadna z nas nie wie. Oddają te dzieci pod naszą opiekę i po kilku tygodniach zabierają. Potem już ich nie widzimy.

–I co dalej?

–Przynoszą następne. – Kto?

–Doktor Von Jonek.

MacLeanowi na moment zamarło serce. Nareszcie... Ale ta świadomość pozbawiła go całej energii. Położył się na trawie i spojrzał w gwiazdy. Przeżył długą i ciężką drogę. Leavey oparł dłoń na jego ramieniu.

–To prawie koniec – powiedział pocieszająco.

MacLean zwrócił się do Carli.

–Zabierzemy cię stąd, ale potrzebujemy twojej pomocy. Za trzy godziny zacznie świtać. Musisz nas gdzieś ukryć.

–Chodźcie ze mną. Mieszkam w jednym domku z Fernanda Murillo. Schowamy was.

Carla zapaliła latarkę i poszła przodem. MacLean i Leavey skradali się za nią. Byli blisko drzwi, gdy z wnętrza dobiegły podniesione głosy. Wyglądało to na kłótnię z udziałem pijanego mężczyzny.

Leavey spojrzał pytająco na Carle.

–To jeden ze strażników! – szepnęła z przestrochaniem. – Czasem się upijają i napastują nas. Zamykamy drzwi na klucz, ale widocznie tym razem zapomniałam.

Rozległ się kobiecy płacz. MacLean zrobił krok naprzód, lecz Leavey go powstrzymał.

–Ja to załatwię. – Podbiegł schylony do domku.

Leavey powoli przekrecil klamke i delikatnie uchylił drzwi, żeby sprawdzić, czy nie zaskrzypia. Potem otworzył je szybkim ruchem, wsliznął się do środka i zamknął za sobą. Placz i błagania dziewczyny dochodziły z pokoju na lewo. Przerywały je słowa opowiedane grubym, uspokajającym głosem. Gardłowy język brzmiał jak niemiecki. Leavey przywarł do ściany, przysunął się bliżej i lekko pchnął drzwi. Mężczyzna z wielkim brzuchem piwosza przygniatał sobą dziewczynę leżącą na łóżku. Unosił się na kolanach, żeby odpiąć pasek od spodni, ale wypity alkohol utrudniał mu zadanie.

Dziewczyna skorzystała z okazji, że facet szamocze się z klamrą, i wbila mu paznokcie w twarz. Grubas ryknął z bólu i zamachnął się pięścią. Nie zdążył uderzyć. Leavey złapał go za nadgarstek i szepnął:

–Nie dziś, Hans. Boli mnie głowa. – Potem zadał mu cios.

Dziewczyna usiadła na łóżku, podciągnęła kolana pod brodę i zasłoniła dłońmi usta. W wytrzeszczonych oczach malował się strach. Drżała na całym ciele. Leavey położył palec na wargach i uspokoił ją gestem. Podszedł do drzwi, by wpuszczać MacLeana i Carle. Carla podbiegła do przyjaciółki. Objęła ją, zaczęła pocieszać i przeproszać. Czuli się winni. MacLean zapytał Leavey, czy facet na podłodze jest nieprzytomny.

–Nie – odparł Leavey. – Martwy. MacLean zerknął na zegarek.

–Musimy się go pozbyć, zanim się rozwidni. Może do tunelu?

Po krótkiej naradzie postanowili przenieść zwłoki tam, gdzie natknęli się na szkielety. Przedstawili Carli swój plan, pogasili światła i wynieśli trupa z domku.

Transport zajął dwadzieścia minut, ale nie napotkali żadnych problemów.

Przez ten czas Carla przygotowała kawę i kanapki. Kiedy wrócili, przedstawiła im Fernandę Murillo. Przyjrzała się ich przemoczonym ubraniom i zaproponowała gorącą kąpiel.

Do świtu MacLean i Leavey mieli już pełny obraz życia w ukrytej dolinie. Dwanaście dziewcząt mieszkało w sześciu dwuosobowych, drewnianych domkach. Złobek mieścił się w pojedynczym budynku. Jednorazowo dostarczano tam trzydziścioro małych dzieci. W dzień opiekowało się nimi dziesięć dziewcząt, w nocy czuwały trzy. Ale jeśli dzieci zaczynały płakać, pozostałe opiekunki miały obowiązek pomóc dyzurującym koleżankom. Doktor Von Jonek nie pozwalał na żadne halasy.

–Od skał odbija się echo – wyjaśniła Carla. – Czasem ludzie na zewnątrz coś słyszą.

–Stąd legenda o zablakanych duszach z "Hacjendy Yunque" – domyślił się MacLean.

–Ilu jest straznikow? – zapytal Leavey.

–Pietnastu, choc to nie tylko straznicy; maja tez inne obowiazki. Sa podzieleni na trzy piecioosobowe grupy. Jedna grupa pracuje w kotlowni, druga czuwa nad urzadzeniami technicznymi w "Hacjendzie", a trzecia pilnuje nas.

–Jest tu ktos jeszcze? – spytal MacLean.

–Doktor Von Jonek i dwoch innych naukowcow – odrzekla Carla.

–I Hartmut – dodala Fernanda.

Leavey zmarszczyl brwi.

–Co za Hartmut? Carla skrzywila sie.

–Pomocnik doktora Von Joneka. Jakis dziwny... Nie wyglada normalnie. Leavey chcial wiedziec, gdzie pracuje Von Jonek i jego koledzy.

–Gdzies w glebi skaly. Ale zadna z nas nigdy tam nie byla.

Carla i Fernanda rozpoczynaly dyzur w zlobku o siodmej trzydziesci rano. MacLean i Leavey mieli spedzic dzien ukryci w ich domku. Musieli zaczekac do zmroku, odpoczac i nabrac sil. Potem zamierzali odnalezc laboratorium Von Joneka i cytogerm. Niewiele spali, ale relaks dobrze im zrobil. Pod wieczor byli gotowi do wykonania ostatniej czesci misji.

–Po zdobyciu specyfiku pojawi sie nastepny problem – zauwazyl Leavey.

–Z wydostaniem sie stad? – zapytal MacLean.

–Tez o tym myslales?

MacLean przytaknal. Kiedy weszli do tunelu przez falszywy sterylizator, od razu znalezli przycisk zamykajacy drzwi od wewnatrz, ale nie dostrzegli na scianie guzika do ich otwierania. MacLean spojrzal przez okno na skaly.

–Nie usmiecha mi sie gorska wspinaczka.

–Byloby trudno – zgodzil sie Leavey.

–Nawet gdyby sie udalo, nie wiadomo, czy z drugiej strony mozna zejsc. Tam jest skalny nawis.

–Wiec trzeba zapytac kogos o droge – stwierdzil Leavey ze zwyklym spokojem.

–Musimy stąd zniknąć dzisiaj nocy – przypomniał MacLean. – Niedługo zaczyna poważnie traktować zaginięcie strażnika.

Leavey przyznał mu rację. Na razie nie wyglądało na to, by wszczęto alarm. Zapewne uważano, że do "Hacjendy" nie dostanie się nikt obcy. Zabity grubas był wczoraj pijany, więc prawdopodobnie sadzono, że nie objął dziś służby z powodu kaca. Ale w końcu ktoś zajrzy do jego kwatery, zobaczy rzeczy i że nie opuścił terenu "Hacjendy". Wtedy rozpoczyna się poszukiwania.

Dziewczeta wróciły po zmroku. MacLean zapoznał je z planem działania i polecił przygotować się do natychmiastowej ucieczki. Ostrzegł jednak, żeby nie stawiały spakowanych bagaży przy drzwiach. Gdyby szukano strażnika, wydaloby się to podejrzane. Na wszelki wypadek sprawdzili, czy w domku nie została jakaś rzecz należąca do zabitego. Na szczęście okazało się, że nie.

MacLean i Leavey wymknęli się w ciemność, przebiegli otwartą przestrzeń i przyczaili się wśród skał. Noc zupełnie nie przypominała poprzedniej. Było ciepło i przyjemnie, ale księżyc i gwiazdy na pogodnym niebie powodowały, że trudno im było skryć się w ciemności.

Kiedy ruch w dolinie ustal, opuścili kryjówkę i zakradli się do tunelu. Postanowili zbadać to odgałęzienie, do którego wczoraj nie dotarli. Przed zakretem usłyszeli głosy i musieli dać nura do ciemnej odnogi korytarza.

Minęło ich pięciu żywo dyskutujących mężczyzn. MacLean przypuszczał, że to strażnicy zwolnieni ze swoich obowiązków i wezwani do pomocy w poszukiwaniach kolegi. Zaczekali, aż tamci znikną z widoku i zapuscili się w oświetlone odgałęzienie tunelu. MacLean przyłożył ucho do pierwszych napotkanych drzwi. Z wnętrza dochodziła przytłumiona rozmowa. Skinął na Leaveya, żeby szli dalej. Dotarli do drugiego rozwidlenia korytarza i następnych drzwi. Widział na nich czerwony napis po niemiecku "Wstęp wzbroniony".

–Myślisz, że nas to też dotyczy? – zapytał szeptem Leavey.

MacLean uśmiechnął się mimo zdenerwowania. Unosił broń lufa do góry i trzymając ją przy policzku, stanął z tyłu. Leavey uporał się z zamkiem i weszli do środka. Małe laboratorium nie zrobiło na MacLeana wrażenia; miało standardowe wyposażenie. Przeszukał szuflady i szafki, ale nie znalazł nic ciekawego. W końcu zajrzał do dużej lodówki. Stały tam tylko pojemniki z małymi plastikowymi próbkami. Wziął od Leaveya latarkę i obejrzał dokładnie jeden z nich.

Każda próbka była opatrzona nalepką z nazwiskiem. MacLean powtarzał je pod nosem i wyjmował kolejne pojemniki. Wreszcie nazwiska zaczęły brzmieć znajomo. Wrócił do pierwszych. Karman, zdobywca Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki...

Normark, nagroda w dziedzinie medycyny... Ericson, najwybitniejszy matematyk swojego pokolenia... Lista nazwisk kojarzyła się z największymi osiągnięciami dwudziestego wieku.

–Mowi ci to coś? – zainteresował się Leavey.

–Całkiem sporo – odparł zamysłony MacLean.

–Wiesz, co jest w tych pojemnikach?

–Probki spermy.

–Do czego? – zdziwił się Leavey.

–Nie jestem pewien – przyznał MacLean. – Ale to nic niezwykłego. Wielkich ludzi często prosi się o próbki spermy. Przechowuje się je potem w głębokim zamrozeniu. Tworzą rodzaj banku genetycznego dla przyszłych pokoleń. Tylko nie rozumiem, co Von Jonek ma z tym wspólnego.

–Sztuczne zapładnianie? – podsunął Leavey.

–Dawcy nigdy by się na to nie zgodzili – zaprzeczył MacLean.

–Skoro on położył na tym łapę, wątpię, żeby mieli wiele do powiedzenia – zauważył Leavey. MacLean musiał przyznać mu rację.

–Musi o to chodzić! – powiedział z przekonaniem Leavey. – Używają tych próbek do sztucznego zapładniania pacjentek kliniki!

MacLean odniósł się do tego z powatpiwaniem.

–Taki proceder nie kosztowałby osiemnastu milionów dolarów. I po co byłby ten tajny złobek?

Leavey wzruszył ramionami. Nie upierał się dalej przy swoim.

MacLean otworzył drzwi obok. Znalazł inkubator. W komorze utrzymywano temperaturę ludzkiego ciała, trzydziści siedem stopni Celsjusza. Był w niej beben rotacyjny pełen probówek z czerwonym płynem.

–Nic? – spytał Leavey.

–Rodzaj hodowli komórek – odrzekł MacLean i zamknął drzwi. Otworzył kolejne. Okazało się, że to druga lodowka. Ugięły się pod nim nogi. Na środkowej polce leżał jasnoniebieski pojemnik z napisem "Cytogerm". MacLean chwycił go i pocałował. Udało się! Carrie będzie miała nową twarz!

Leavey usmiechnal sie.

–Wyglada na to, ze mozemy wracac do domu. MacLean nie mogl wymowic slowa. Skinal tylko glowa. Leavey wskazal pojemnik.

–Wystarczy tego?

MacLean przytaknal w milczeniu. Zdjal pokrywke i zaczal przekladac szklane fiolki do kieszeni.

Leavey odruchowo otworzyl ostatnie drzwi. Spodziewal sie schowka, a zobaczył katedre.

Drzwi prowadzily do ogromnej groty w skale. Oswietlal ja tajemniczy zielony blask. Przestapili prog i staneli na metalowej platformie dziesiec metrow nad dnem jaskini. Wzdłuż scian biegla galeryjka odchodzaca od platformy. Sklepienie wznosilo sie drugie dziesiec metrow nad nimi.

–Co to jest, do cholery? – szepnal Leavey.

W dole staly rzedy duzych szklanych zbiornikow z plynem. Calosc przypominala gigantyczne, ciche muzeum. Leavey pierwszy zszedl po schodach. MacLean dolaczyl do niego i przyjrzel sie z bliska jednemu ze zbiornikow.

–Co to jest, do cholery? – powtorzyl Leavey.

–Ludzki plod – odpowiedzial MacLean. Leavey skrzywil sie z obrzydzeniem. W nastepnym zbiorniku bylo to samo. MacLean nic z tego nie rozumial. Po co trzymac tyle jednakowych eksponatow, skoro wszystkie sa absolutnie zdrowe? Z punktu widzenia patologa nic ciekawego.

–W tym otoczeniu czlowiekowi przechodza ciarki po plecach – mruknal Leavey.

MacLean zdziwil sie, slyszac takie slowa z jego ust.

–To najdziwniejsze muzeum medycyny, jakie znam – powiedzial. Oparl dlon na zbiorniku i cofnal ja zaskoczony. Poczul cieplo. Otworzyl usta, ale nie zdazyl sie odezwac. Plod skurczyl sie gwałtownie jak w lonie matki. Obaj odskoczyli do tyłu.

. – One zyja! – wykrzyknal Leavey. MacLean przez chwile nie mogl dojsc do siebie. Odkrycie przejel go groza. Nie wierzyl wlasnym oczom.

–On tu hoduje dzieci! – wyszeptal.

–Czy to mozliwe? – spytal cicho Leavey.

–Myslałem, że nie. Symulować funkcje łożyska przez dziewięć miesięcy?! To nieprawdopodobne.

–Chyba że jest się Von Jonekiem i ma się budżet wynoszący osiemnaście milionów dolarów – zauważył Leavey.

–Ale po co to wszystko? – wymamrotał MacLean. Zaczął chodzić między zbiornikami i oglądać plody.

–Każdy ma jakiś numer – pokazał Leavey. – Na tym jest siedemka.

–To siedmiomiesięczny plod. Całkowicie zdrowy – wyjaśnił MacLean po przyjrzeniu się zawartości zbiornika.

–Jak jest po niemiecku "miesiąc"? – zapytał Leavey.

–Monat.

–Tak mi się zdawało – przytaknął Leavey. – Ale na tabliczce jest Sieben Wochen. To siedem tygodni!

–Ależ to absurd! – zaprotestował MacLean. Rozejrział się, ale wszędzie widniało słowo Wochen. Potrząsnął głową. – To po prostu nie... – Urwał, bo nagle zrozumiał. To cytogermy! Von Jonek używa cytogermy do przyspieszania rozrostu komórek! Skrócił okres ciąży do około dziewięciu tygodni! Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Hodowle komórkowe w inkubatorze to komórki jajowe pobrane zapewne od arystokratek przebywających w klinice. Są zapładniane nasieniem sławnych mężczyzn.

–Ktoś idzie! – syknął Leavey. Przykucnęli i spojrzeli na galerijkę. Na metalowej płycie zadudniły kroki. Leavey dał znak, żeby ukryli się pod zbiornikami. MacLean wpełzł pod jeden, Leavey pod drugi. Wstrzymali oddech. MacLean usadowił się tak, by coś widzieć. Na gorze pojawił się mężczyzna. Oparł dłonie na poręczy i popatrzył w dół.

MacLean chciał odruchowo przyłgnąć twarzą do ziemi, ale nie mógł oderwać od niego wzroku. Mężczyzna był ubrany całkowicie na czarno i kompletnie łysy. Miał grubo ponad sześć stop wzrostu i alabastrową cerę. Nawet z daleka MacLean dostrzegł jego czerwone oczy. Typowy okaz albinosa.

Mężczyzna ruszył wolno wokół galerijki. Jego kroki odbijały się w grocie głośnym echem. Co chwila przystawał i przyglądał się zbiornikom. Przypominał dzikie zwierze, które zwierzyło łup. MacLean i Leavey stopniowo zmieniali pozycje, żeby ich nie zauważył. Albinos zatoczył pełne koło i wyszedł. Jaskinie wypełnił odgłos zatrząskujących się drzwi.

Leavey odetchnał z ulgą.

–To pewnie Hartmut – orzekł.

Ruszyli ostrożnie w kierunku schodów na galeryjkę. MacLean przystanął u podnoża i obejrzał się. Leavey odczytał jego myśli.

–Co chcesz zrobić z tym miejscem?

–Zniszczyć je! – burknął MacLean. – To obraza dla rodzaju ludzkiego! Leavey zastanowił się.

–Niestety, nie mamy nic, żeby zrobić duże "bum". A może termostaty? Zbiorniki były wyposażone w termoregulatory utrzymujące temperaturę trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza. MacLean popatrzył na Leaveya; obaj mieli moralny dylemat. Leavey wskazał główny zawór wodny.

–Maly potop? – podsunął. – Kiedy woda sięgnie przewodów elektrycznych, nastąpi zwarcie.

MacLean zgodził się z nim.

–To brzmi lepiej.

Leavey nie mógł się uporać z pokrętelem zaworu. Rozejrzał się za jakimś dzwignią i dostrzegł duży, płaski klucz do nakrętek. Wsunął go między szprychy koła i zaczął naciskać, aż na czoło wystąpiły mu żyły. Nagle zawór puszczł, klucz upadł z brzękiem i z rury trysnęła woda. Przemoczony Leavey rozciągnął się na podłodze.

Zerwał się i krzyknął:

–Zjeżdżajmy stąd!

Nie zdążyli postawić nogi na pierwszym stopniu, gdy na galeryjce znowu pojawił się Hartmut. Trzej mężczyźni patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, potem albinos wyjął z kieszeni cienki, srebrny gwizdek i przyłożył do ust. Na platformę wbiegły dwa potężne dobermany. Usiadły u stop swojego pana i zaczęły warczeć.

Hartmut wskazał mężczyznę na dole.

–Bierz! – rozkazał po niemiecku. Psy wkroczyły do akcji. Leavey unosił broń i wycelował w pierwszego. Prowadził go lufa do połowy schodów, potem nacisnął spust. Rozległ się tylko cichy trzask; colt nie wypalił. – Cholerna woda! – zaklął wściekle Leavey. MacLean wymierzył w drugiego dobermana, ale pies nagle przesadził poręcz i runął na niego z góry. MacLean cofnął się i wpadł na jeden ze

zbiornikow. Wściekle zwierze skoczyło mu na piers. Popchnięty zbiornik przewrócił się. Wokół rozprysło się szkło i ciepły plyn. MacLean upadł i wypuścił bron.

Rozpaczliwie próbował odepchnąć atakującą bestię, która dobierała mu się do gardła. Wreszcie zdołał uchwycić ją za obrozę i wyciągnąć przed siebie rece. Wiedział, że długo tak nie wytrzyma; pies był niezwykle silny. Natarł z furia i wtedy MacLean przekrecił się na bok. Wysunął się spod niego, ale zwierze nie rezygnowało.

MacLean musiał zaryzykować. Obok wałowało się kilka ostrych kawałków szkła. Wyszukał wzrokiem największy, puścił jedną ręką obrozę i sięgnął po odłamek. Potem z rozmachem wbił go w gardło psa. Trysnęła ciepła, lepka krew.

Nie było czasu na złapanie oddechu. Warczenie drugiego dobermana świadczyło, że Leavey nadal walczy. MacLean wysunął nogi spod martwego psa, unosił się na kolana i podpełzł w tamtą stronę. Leavey miał zakrwawioną twarz i ramiona. Stawiał zaciekły opór, ale nie szło mu łatwo.

MacLean dostrzegł klucz, który posłużył do otwarcia zaworu. Podniósł go, zaszedł dobermana z tyłu i zamachnął się. Ale bestia dojrzała kątem oka, co się święci, puściła swoją ofiarę i skoczyła na niego. Kopnął ją i poczuł, jak kły zatapiają się w jego łydce. Pośliznął się i upadł wprost pod strumień wody z kranu.

Tracił siły. Leżąc na ziemi, zauważył nad sobą Hartmuta. Albinos przechylił się przez poręcz i uważnie śledził walkę. Przypominał kota obserwującego bezbronnego ptaka. MacLean w obronnym odruchu wyciągnął słabnące ramiona, żeby odepchnąć bestię. Uwolniony Leavey poderwał się, złapał klucz i z rozmachem zdzielił psa w leb. Teraz już oba dobermany nie żyły.

Hartmut pobiegł wzdłuż galeryjki.

–Podnieście alarm! – krzyknął ostrzegawczo MacLean. Leavey odwrócił się błyskawicznie i w powietrzu smignął klucz. Trafił albinosa w prawe kolano. Hartmut upadł. Zanim zaczął się podnosić, Leavey był już w połowie metalowych schodów. Hartmut przytrzymał się poręczy i wtedy dosięgnął go pierwszy cios. Próbował walczyć, ale nie dorównywał Leaveyowi sprawnością. Dwa następne uderzenia unieruchomiły go na zawsze.

Leavey wrócił na dół i odszukał w wodzie bron. MacLean usiadł na stopniach i założył sobie na łydkę prowizoryczną opaskę uciskową. Na szczęście mógł chodzić. Leavey osuszył rewolwery, potem oparł dłoń na ramieniu MacLeana.

–Jak nam idzie, Sean? MacLean odwzajemnił gest.

–W porządku, Nick – mruknął.

Wspieli się na galeryjkę i poszli do drzwi, którymi wszedł Hartmut; były najbliżej. Mieli nadzieję, że znajda wyjście z podziemi, ale zawiedli się. Trafili do kilku małych pomieszczeń służących za kwatery albinosowi i jego psom. Zawrocili. Nagle Leavey szepnął:

–Zaczekaj, Sean.

MacLean zorientował się po tonie jego głosu, że coś jest nie tak. Podeszedł bliżej. W malej, ciemnej rozpadlinie skalnej leżało zmasakrowane ciało Williego MacFarlane'a. Leavey przykleknął i zamknął przyjacielowi oczy. MacLean z rozpaczą zacisnął powieki.

–Chodźmy – szepnął Leavey.

Skreśli w prawo, okrzykli galeryjkę i dotarli do drzwi laboratorium. Po raz ostatni spojrzeli w dół. Woda właśnie sięgnęła pierwszych przewodów elektrycznych. Ze skrzynki rozdzielczej trysnęły iskry i unosił się dym. Przeszli próg pracowni. W tym momencie włączył się alarm. Grote wypełniło wycie syreny. W tunelu rozległ się tupot biegnących ludzi. MacLean i Leavey znaleźli się w pulapce.

MacLean wskazał stol. W ostatniej chwili dali nura pod blat. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Przez laboratorium przebiegło pięciu mężczyzn zdążających do grotu. MacLean dostrzegł z ukrycia trzy uniformy strażników i dwa białe fartuchy. Leavey wykorzystał okazję. Kiedy cała piątka wypadła na platformę, zerwał się i zatrzasnął metalowe drzwi. Mężczyźni zostali uwięzieni w jaskini. Blokował zamki, gdy za plecami usłyszał rozkaz:

–Zabij go! – Za nim stał starszy mężczyzna w białym fartuchu i jeden strażnik.

Nie zauważyli schowanego MacLeana, który nacisnął spust. Pocisk trafił strażnika w piers i rzucił go na ścianę. MacLean wypelził z kryjówki, powłócząc ranną nogą. Leavey zdążył wyciągnąć broń i teraz trzymał starszego mężczyznę na muszce.

–MacLean! – wykrzyknął człowiek w białym fartuchu. – Wiesz to ty!

–Ja – przytaknął MacLean. – Dawno się nie widzieliśmy.

W oczach Von Joneka błysnął strach, a zaraz potem nienawiść.

–Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś?! – warknął.

–Chyba tak – odparł MacLean. – Ale spodziewam się, że wprowadzisz nas w

szczegoly.

Von Jonek, jak kazdy megaloman, chetnie przechwalal sie swoimi "osiagnieciaми". Jego slowa potwierdzily wnioski MacLeana. Pozostalo wyjasnic, co dzieje sie pozniej z dziecmi.

Von Jonek usmiechnal sie.

–Spozniles sie. Ziarna nowego porzadku zostaly zasiane.

Po wyjeciu ze zbiornikow niemowleta trafialy pod opieke Carli i jej kolezanek. Potem umieszczano je w rodzinach ultrapravicowych aktywistow wtajemniczonych w projekt "Kowadlo". Dzieki wyjatkowym zdolnosciom zakodowanym w genach i bardzo wysokiej pozycji społecznej dzieci mialy bez trudu zdobyc wykształcenie akademickie, by w przyszłości zajac kluczowe stanowiska we wszystkich dziedzinach życia publicznego. Od najmłodszych lat czekała je indoktrynacja polityczna. Najwybitniejsze jednostki stanęłyby na czele ugrupowań prawicowych w różnych krajach i doprowadziły do zbudowania nowej, silnej Europy. To stworzyłoby odpowiedni klimat do dalszego rozwoju firmy Lehman Steiner. Rozszerzyłaby swoje wpływy i stała się potęgą. Żaloszne wasnie między rządami odeszłyby w przeszłość, bo mocna więź łącząca wychowanków "Kowadła" byłaby gwarancją dobrych stosunków międzynarodowych. Zjednoczona Europa odzyskałaby należną jej pozycję i decydujący głos w sprawach świata. O jego losach rozstrzygałoby twórcy "Kowadła".

MacLean i Leavey sluchali ze zdumieniem. Byli zaskoczeni skala przedsięwzięcia. Von Jonek wzial ich milczenie za dowod podziwu.

–A wiec dostrzegacie korzysci plynace ze zjednoczenia Europy pod jednym silnym przywództwem? – zapytal pojednawczym tonem. – Zapanowaloby prawo i porzadek, pokoj i powszechny dobrobyt.

–A gdyby ktos nie zgadzal sie z nowym rzadem? – spytal MacLean.

–Dlaczego mialby sie nie zgadzac? – zdziwil sie Von Jonek.

–Ale gdyby? – nie ustepowal MacLean.

–Oczywiscie musialyby istniec srodki dyscyplinujace... w celu przypomnienia, ze najwazniejszy jest szacunek dla prawa.

–Wlasnie tak potraktowales Jutte? To bylo przypomnienie? Dla Kurta Immelmana, Lisy Vernay, Maksa Schaeffera, Evy Stahl, Jean-Paula Rivesa tez? Po prostu ich zamordowales.

Von Jonek poruszył się niespokojnie na krzesle.

–Nic nie rozumiesz. Przy tak poważnych zamierzeniach trzeba czasem podejmować trudne decyzje. Naturalnie należy załować, że tak się stało, ale...

Po raz pierwszy odezwał się Leavey.

–Znalazłem tu obok mojego przyjaciela. Von Jonek zirytował się, że mu przerywają.

–Jakiego znowu przyjaciela?!

–Nazywał się Willie MacFarlane. Nie miał takich zdolności i pozycji społecznej, żeby stanowić siłę przewodnią nowej Europy, ale był moim przyjacielem.

Von Jonek wyczuł groźbę w lodowatym tonie Leaveya. Irytacje natychmiast zastąpił strach.

–Nie wiem... o kogo chodzi – wyjąkał.

–O człowieka złapanego przez Hartmuta i rozdartego na strzepy przez psy – odparł Leavey i unosił brzo.

–Co to ma znaczyć?! – przeraził się Von Jonek.

Leavey wycelował w jego głowę.

–W imieniu wszystkich ofiar twoich "trudnych decyzji" zamierzam rozwalić ci łeb.

–Nie odwiesz się, ty... Leavey nacisnął spust.

–Właśnie się odwzięłem – szepnął.

MacLean dokładnie przeszukał biuro Von Joneka i zabrał każdy dokument, który mógł się przydać władzom. Potem pobiegł z Leaveyem do wyjścia z tunelu.

Wokół panowało zamieszanie. Na zewnątrz nikt jeszcze nie wiedział o intruzach, o śmierci Von Joneka i uwięzieniu pięciu mężczyzn w grocie. Jedyni świadkowie wydarzeń nie żyli albo siedzieli w zamknięciu. Pozostali strażnicy myśleli, że alarm ma coś wspólnego z poszukiwanym kolegą. MacLean i Leavey mogli to wykorzystać, ale musieli się pośpieszyć. W gabinecie Von Joneka bez przerwy dzwonił telefon, co wrożyło rychłe pojawienie się nowych przeciwników. W tunelu rozległ się tupot nóg. MacLean i Leavey ukryli się i przepuścili nadbiegającą grupkę.

Leavey szepnął, że zatrzyma strażników, żeby MacLean mógł dotrzeć do Carli. Miał polecić jej, aby zebrała wszystkie dziewczęta. Ledwo skrecił za róg, usłyszał za sobą strzały. Leavey był w opałach. Z przodu ktoś krzyknął: "Nie!" MacLean rozpoznał

głos Carli. Powstrzymała koleżankę, która przez pomyłkę chciała go zastrzelić. Przy wylocie tunelu tłoczyło się dwanaście dziewcząt. Skorzystały z zamieszania i wzięły sprawy w swoje ręce.

MacLean wyjaśnił Carli, że musi wracać do Leaveya. Kazał dziewczętom iść za sobą, ale trzymać się w bezpiecznej odległości. Zanim doszli do rozwidlenia korytarzy, strzelanina ustala. MacLean położył się na brzuchu i ostrożnie podpełzł bliżej. Zobaczył dwóch martwych strażników.

–Nick! – szepnął. Nie było odpowiedzi. Nagle huknął strzał i pocisk odbił się od skały nad jego głową.

–Nick! Wszystko w porządku?

Następny pocisk odłupał kawałek ściany tuż przy jego twarzy. Ktoś z prawej strony odpowiedział ogniem. MacLean wiedział, że to Leavey. Rozległ się jęk.

–Dostałem go – odezwał się w ciemności Leavey. – Wycelowalem w błysk z lufy, kiedy do ciebie strzelał.

–Dzięki – mruknął MacLean. – Myślałem...

–Przyprowadziles... dziewczyny? – zapytał z wysiłkiem Leavey.

MacLeana zaniepokoił jego głos.

–Cos ci się stało, Nick?

–Oberwałem.

MacLeanowi przeszły ciarki po plecach. Uważał Leaveya za niepokonanego.

–Bardzo źle z tobą? – spytał.

–Krwawie... jak cholera.

MacLean zorientował się, że Leavey szybko słabnie.

–Idź do ciebie – powiedział.

–Uważaj! – ostrzegł Leavey. – Chyba... został jeszcze jeden. MacLean podczołgał się do niego i obejrzał rany, na ile mógł. Kula trafiła w prawą górną część piersi i wyszła z tyłu. Na szczęście ominęła płuco, ale strzaskala łopatkę. Prowizorycznie zatamował upływ krwi zagrażający życiu Leaveya.

–Senor! – odezwała się za nim Carla.

–Badz ostrozna! Jesteśmy tutaj – odrzekł MacLean.

Dziewczyna dołączyła do obu mężczyzn. Nikt do niej nie strzelił. Zobaczyła rannego i zajęła się bandażowaniem. MacLean położył się na brzuchu u wylotu odnogi korytarza i unosił broń. Kazał dziewczętom przeskakiwać na drugą stronę rozgalezenia tunelu. Uspokoił, że będzie je osłaniał. Wszystkie bez problemu znalazły się w bezpiecznym miejscu.

MacLean pomógł Leaveyowi wstać. Podtrzymywali go z Carla z obu stron.

–Powinnicie mnie tu zostawić – mruknął Leavey.

–Daruj sobie te gówniane filmowe odzywki! – parsknął MacLean.

Nagle u wylotu przeciwnego korytarza pojawił się strażnik, którego obawiał się Leavey. Czekał na właściwy moment i teraz miał ich na muszce. Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Wycelował dokładnie, ale nie zdążył strzelić. Fernanda Murillo szybciej nacisnęła spust. Stała teraz nieruchomo i z niedowierzaniem patrzyła na dymiący pistolet w swoich dłoniach. Zabrała broń jednemu z pokonanych przez dziewczęta strażników, ale nie spodziewała się, że zastrzeli człowieka.

–Dobra robota! – pochwaliła Carla. Fernanda wybuchnęła płaczem. Inne dziewczęta zaczęły ją pocieszać. Cała grupa ruszyła do wyjścia z tunelu.

Drzwi na końcu korytarza były otwarte, a kotłownia pusta. Strażnicy uciekli w panice, nie znając liczebności atakujących sił. Po "Hacjendzie" rozeszła się wieść o szturmie. Z tyłu rozległ się przytłumiony huk eksplozji, a potem głuchy loskot. Ktoś najwidoczniej zdecydował, żeby zniszczyć dowody istnienia projektu X 14. MacLean z Leaveyem na ramieniu i w otoczeniu dziewcząt wyszedł w noc. Na gorskiej drodze zobaczył światła nadjeżdżających wozów policyjnych.

Ostrożnie posadził Leaveya i odprowadził Carle na bok. Wytłumaczył, że nie może czekać na przesłuchania i składać oficjalnych wyjaśnień; ma do załatwienia pilną sprawę.

–Zajmij się Nickiem – poprosił. – Dopilnuj, żeby trafił do szpitala. Jose i Maria pomogą ci. Odezwe się, jak tylko będę mógł.

–Rozumiem, señor. I dziękuję.

MacLean przykleknął obok Leaveya.

–Tym razem muszę cię zostawić, stary, ale wszystko będzie dobrze. Carla się toba zaopiekuje.

Leavey był polprzytomny, ale zdołał się usmiechnąć.

–Tylko wylecz twarz tamtemu dziecku... słyszysz? – powiedział słabym głosem.

–Na pewno – odparł MacLean. – Popijemy, jak się z tego wyliziesz. – Uscisnął z wdzięcznością dłoń Leaveya, skłonił głowę Carli i odszedł.

MacLean zszedł na dół tą samą drogą, którą przedtem wspieli się z Leaveyem. Wysoko nad nim płonęła "Hacjenda". Nocne niebo rozświetlała czerwona luna pożarów w ukrytej dolinie. Wsiadł do łodzi i pożegnał się w myśli z dwoma przyjaciółmi, potem odwrócił się plecami do góry i odpłynął na zachód. Trzymał się linii brzegowej, ale w takiej odległości, by nie dostrzeżono go z lądu. Wziął kurs na Gibraltary.

Przejrzał papiery zabrane z biura Von Joneka i oddzielił dokumenty dotyczące technik stosowanych przy realizacji projektu X 14. Wyszedł na pokład, podał je na strzepy i rozsypał po morzu. Miał nadzieję, że nikt nie zdoła powtórzyć eksperymentów z "Hacjendy Yunque". Wiedział, że jednocześnie położył kres istnieniu cytogermu – na wypadek, gdyby ktoś wpadł na ten sam pomysł co Von Jonek. Jeśli Bog pozwoli, Carrie będzie ostatnią pacjentką poddana zabiegowi z użyciem tego specyfiku. Od dziobu dmuchnął wiatr i MacLean poczuł na twarzy wodny pył. Patrzył na światła Marbelli, przesuwające się wolno za prawą burzę, i myślał o Tansy i Carrie.

Przekonanie brytyjskich władz w Gibraltarze, że jest tym, za kogo się podaje, nie przyszło MacLeanowi łatwo. Zresztą spodziewał się tego. Ale był tak wykończony psychicznie i fizycznie, że nie wyobrażał sobie powrotu do domu na własną rękę. Uzbroidł się w cierpliwość i odbywał rozmowy z coraz ważniejszymi ludźmi. Zaczął od policji portowej, a skończył na doradcy gubernatora nazwiskiem Hargreaves.

Hargreaves odniósł się sceptycznie do jego wyjaśnień. MacLean nie miał mu tego za złe. W końcu przyplynał tu nocą z Costa del Sol, trasa używana przez większość brytyjskich przestępców sciganych w Europie. Przełom nastąpił dopiero wtedy, gdy wspomniał o "Hacjendzie Yunque". Okazało się, że Hargreaves słyszał o klinice. Zone jednego z jego przyjaciół odmlodżono tam o dziesięć lat. Wreszcie przystał na propozycję MacLeana, żeby zadzwonić do szefa policji w Fuengirolie.

Poszedł zatelefonować i MacLean został sam. Przed drzwiami stał policjant. Miał mundur brytyjskiego "bobby", ale rysy tubylca.

Wrocil Hargreaves.

–W pańskiej historii jednak coś jest, doktorze – przyznał. – Wygląda na to, że nasi hiszpańscy przyjaciele dowiedzieli się podobnych rzeczy od tuzina miejscowych dziewcząt więzionych w "Hacjendzie". Pytanie tylko, co mam teraz z panem zrobić?

Posluguje sie pan falszywym paszportem i zlamal pan chyba wszelkie mozliwe przepisy imigracyjne.

–Panie Hargreaves – zaczął MacLean. – Przed chwila przekonal sie pan, ze mowie prawde. Czy uwierzy pan w cos jeszcze?

–Sprobuje.

–Moj jak najszybszy powrot do Zjednoczonego Krolestwa to sprawa zycia i smierci.

Hargreaves wciagnal powietrze przez zacisniete zeby i przechylil glowe na bok.

–Stawia mnie pan w bardzo trudnym polozeniu, doktorze.

–Mowie powaznie.

–Moment... – Hargreaves wstal i wyszedl z pokoju. Wrocil po kilku minutach. – Dobrze – zgodzil sie. – Zdaje sie, ze ten caly balagan w Mijas potrwa w nieskonczonosc. Zabierzemy panu falszywy paszport i tymczasowo uniewaznimy prawdziwy, ale bedzie pan mogl wjechac do Wielkiej Brytanii. Opatrzymy panu noge i jutro rano wsadzimy pana do samolotu RAF-u.

–Dziekuje.

Przywitanie z Tansy bylo dlugie i pelne lez. Mimo dobrze przespanej nocy, o co zadbal lekarz w Gibraltarze, MacLean wygladal mizernie i kulal. Tansy otarla oczy.

–Boze! Co za szczescie, ze wrociles. Nie powinnam cie byla puszczac. MacLean przytulil ja mocno.

–Zdobyłem to, Tansy. – Wyjal z kieszeni fiolki z cytogermem. – Mam to.

–A co z Williem i Nickiem?

Wzrok MacLeana powiedzial jej wszystko, zanim uslyszala to z jego ust.

–O nie! – szepnela. – Biedny Willie...

–Juz niedlugo, Tansy – odrzekl MacLean. – Obiecuje.

MacLean skontaktowal sie z chirurgiem Ronem Myersem, dawnym kolega praktykujacym w Glasgow. Najpierw poprosil, zeby Myers nie zadawal zadnych pytan, a potem zwrocil sie o pomoc w wynajeciu anestezjologa i sali operacyjnej w prywatnej klinice. Zapytal, kiedy Myers ma wolne. Okazalo sie, ze za dwa dni.

–Kto ma operowac? – chcial wiedziec Myers. – Ty czy ja?

–Ty – odparł MacLean. – Ja bede asystowal.

–Ale chyba powinienes mi powiedziec... – zaczął Myers.

–Zaufaj mi – ucial MacLean. – Przed zabiegiem dowiesz sie wszystkiego, co ci bedzie potrzebne.

–W porzadku – zgodzil sie niechetnie Myers. – Ale to jest naduzywanie przyjazni.

W przeddzien operacji Carrie umieszczono w prywatnej klinice. MacLean siedzial do poznej nocy i rozmyslal. Stanal przed ostatnia przeszkoda do pokonania. Wprawdzie dokladne badanie skory Carrie nie wykazalo zadnych skaz, ktore moglyby sie uaktywnic pod wplywem cytogermu, lecz nie mial absolutnej pewnosci. Przezywial wielki stres. Pomoglby mu alkohol, ale wolal nie ryzykowac. Nazajutrz musial byc przytomny jak nigdy dotad.

Tansy przylaczyła sie do niego. Tez nie mogla zasnac. Podeszła z tylu i delikatnie pomasowala mu ramiona, zeby sie odprezyl. Jej wzrok padl na dwie koperty lezace na obramowaniu kominka. Zastanawiala sie, kiedy je pokazac MacLeanowi. Moze teraz? Zdecydowala sie. Wreczyla mu listy i wyjasnila:

–Od Williego i Nicka. Prosili, zebym ci to dala, gdyby nie wrocili. A gdyby zaden z was nie wrocil, mialam je otworzyc sama.

MacLean wyjal z pierwszej koperty testament Williama Davida MacFarlane'a. Willie zapisal mu wszystko, co posiadal. W wypadku smierci MacLeana spadek mial przejsc na Tansy. MacLean spojrzal w okno. Wstawal swit.

Carrie lezala na stole operacyjnym. Myers przyjrzał sie obrazeniom jej twarzy.

–Mowisz powaznie? – szepnal do MacLeana.

–Zaufaj mi – odparł MacLean. – Usun dokladnie to, co ci powiem, a potem naloz ten specyfik. – Polozył fiolki z cytogermem na metalowej tacy obok instrumentow chirurgicznych.

Myers przez moment wygladal, jakby chcial sie wycofac, ale wzrok MacLeana uspokoil go. Stosujac sie do polecen, wycial zniszczona tkanke i wypelnil ubytki cytogermem. Jedyna trudnosc stanowila rekonstrukcja ust, ale MacLean wierzyl w umiejetnosci kolegi. Obserwowal droge skalpela tnacego idealna linie, potem powiedzial:

–Pierwsza faza za nami. Teraz cytogerm.

W koncu Myers cofnal sie od stolu i zdjal rekawiczki. – No, jak?

–Doskonała robota – pochwalil MacLean. – Dzieki, Ron. Zaloze opatrunki.

Nie ufal wlasnym dloniom, dlatego wolal nie operowac. Ale przy bandazowaniu twarzy Carrie czul sie wystarczajaco pewnie. Wydawalo sie, ze koszmar wreszcie sie skonczyl. Trzeba bylo tylko troche poczekac.

Z kazdym dniem Tansy i MacLean nabierali coraz wiekszego przekonania, ze nie wystapia zadne komplikacje. Cztery tygodnie po operacji MacLean i Myers zdjeli Carrie opatrunki. Przezyli cudowna chwile, gdy ich oczom ukazala sie sliczna buzia dziewczynki. Carrie wygladala dokladnie tak, jak przed pozarem. Tansy rozplakala sie i przytulila do MacLeana. Carrie nie rozumiala, skad te lzy, i patrzyla na nich ze zdziwieniem, ssac palec.

Myers byl oszolomiony.

–Nie do wiary... – mruknal. – Widze to, ale nie wierze wlasnym oczom.

–To odosobniony przypadek, Ron – odrzekl MacLean. – Po prostu potraktuj go jako cud.

Obecne zycie Tansy i MacLeana roznilo sie od poprzedniego jak dzien od nocy. Uratowali Carrie; tylko tego pragneli. Za pieniadze odziedziczone po Williem odbudowali bialy domek nad kanalem. Wprowadzili sie tam trzy tygodnie przed szostymi urodzinami Carrie. MacLean znow chodzil z nia na sobotnie wycieczki. Koszmar z przeszlosci zaczal sie z wolna zacierac w ich pamieci.

W sobote poprzedzajaca urodziny Carrie MacLean zabral ja do miasta, zeby wybrala sobie rower. Zdecydowala sie na czerwony. Byla bardzo rozczarowana, kiedy MacLean oswiadczył, ze nie wroci na nim do domu przez ruchliwe ulice i ze dostarcza go dopiero nazajutrz. Wciaz upierala sie przy swoim, gdy przy wyjsci u sklepu wpadla na jakiegos mezczyzne. Speszyla sie i przeprosila. MacLean z usmiechem poprosil o wybaczenie.

Na ulicy Carrie powiedziala:

–Ten pan byl wczoraj u nas.

MacLeanowi zrobilo sie ciemno przed oczami. Na moment zaniemowil.

–Jak mam to rozumiec, Carrie? – wykrztusil po chwili.

–Widzialam go przy drzwiach. Mamusia mowila, ze cos sprzedawal.

Po herbacie MacLean wyszedl z domu. Oklamal Tansy, ze boli go glowa i chce odetchnac swiezym powietrzem. W rzeczywistosci wyczul powracajacy koszmar;

nadciągał niczym wielka, czarna chmura, która wkrótce przesłoni słońce. Na mostku zobaczył mężczyznę w ciemnym garniturze i okularach w metalowej oprawce. Widział go już w sklepie z rowerami.

MacLean nagle zrozumiał, co musi zrobić. Szybko wrócił do domku. Przez dwie godziny pisał i wkładał do kopert dokumenty dotyczące rodzin należących do programu "Kowadło". O siódmej wieczorem powiedział Tansy i Carrie, że znów wychodzi. Pocałował je lekko w czoło.

Tym razem wziął samochód. Mężczyzna nadal stał na mostku. MacLean zaparkował trzydzieści metrów od niego, żeby było go dobrze widac. Wsiadł i czekał. Mężczyzna odwrócił głowę w jego kierunku. Patrzyli na siebie przez dziesięć sekund, potem MacLean odjechał.

Upewnił się, że mężczyzna jedzie za nim, i przyspieszył. Wyjechał z Edynburga i zatrzymał się na parkingu przy południowym końcu mostu drogowego Forth Road Bridge. Zobaczył w lusterku, że śledzący go samochód stanął dwadzieścia metrów z tyłu.

MacLean wysiadł i skierował się do podziemnego przejścia dla pieszych. Wszedł na chodnik biegnący wzdłuż zachodniej bariery mostu. Przystanął i obejrzał się, czy wciąż jest śledzony. Człowiek za nim nerwowo sięgnął pod marynarkę. MacLean pokręcił głową i unosił prawą dłoń. Mężczyzna cofnął rękę i wzruszył ramionami.

MacLean poszedł dalej przez most. Czuł zapach morza. Nad ujściem rzeki Forth unosiła się wieczorna mgła. Wysoko na mostowych wieżach migaly światelka ostrzegające samoloty. Mężczyzna w ciemnym garniturze trzymał się dyskretnie z daleka.

MacLean stanął w połowie mostu i spojrzął za siebie. Przez moment przyglądali się sobie bez urazy. Potem MacLean wdrapał się na poręcz, zamachał rękami, żeby utrzymać równowagę i obejrzał się po raz ostatni. Skoczył ku zachodzącemu słońcu niczym bezskrzydły Ikar na spotkanie ze śmiercią.

Tansy znalazła pod poduszką list. Kiedy go czytała, po jej policzkach płynęły łzy.

Moja najdroższa Tansy,

Wiem, jak trudno będzie Ci przetrwać to samo po raz drugi, ale spróbuj zrozumieć różnice. Do tego kroku nie popchnęła mnie własna słabość, lecz siła, która dała mi Twoją miłość, kochanie. Ludzie związani z "Kowadłem" wrócili, żeby się zemścić. Z całego serca pragnąłbym pozostać z Toba i Carrie, lecz tylko poświęcając własne życie mogę Wam zapewnić bezpieczeństwo. Warto było żyć, by móc Cię poznać i kochać, ale wiem, że muszę odejść. Moim ostatnim życzeniem jest, byś się z tym pogodziła i wykazała ten sam hart ducha co zawsze. Ucałuj ode mnie Carrie.

**Na zawsze Twój Sean Kiedy umre, najdrozszy, Nie spiewaj mi smutnych piesni; Nie
sadz nad moja glowa roz, Ani cienistego cyprysa; Niech rosnie nade mna trawa
Mokra od deszczu i kropel rosy; I jesli chcesz, pamietaj, A jesli nie – zapomnij.**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-11-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/